ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIV.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

str.

Druk ukończono dnia 7 października 1891 r.



Pogląd na świat,

JAKO PRZEDMIOT BADANIA UMIEJĘTNEGO.



Poglądem na świat nazywamy całokształt naszych sądów, mniemań i wierzeń o otaczającym nas świecie i o sobie samych. Każdy człowiek myśląoy posiada jakikolwiek pogląd na świat, a nie są go pozbawione nawet ludy, stojące na niskich względnie szczeblach kultury; ale im wyżéj wznosimy się w rozwoju umysłowości, tém więcéj dążymy do tego, aby poglądowi owemu nadać jednolitość, wyzuć go ze sprzeczności, które cechują koncepcye myśli nieumiejętnéj, aby wreszcie utrwalić go na pewnych podstawach przez wiedzę zdobytych.

Poglądy na świat nieumiejętne, wylęgłe nawpół z marzeń fantazyjnych, nawpół z potocznych spostrzeżeń krytycznie nieopracowanych, sklejone cementem myśli nieścisłéj, ustępują miejsca coraz innym, coraz krytyczniejszym, ściślejszą spójnią wewnętrzną ujednostajnionym i na doświadczeniu naukowém opartym. Jest-to świat myśli filozoficznéj. Filozofią bowiem określić możemy jako krytycznie przetopiony, na podstawach wiedzy osnuty pogląd na świat. Nasuwają się natychmiast zapytania:

Z jakich wymagań umysłowości naszéj wynika potrzeba podobnego utworu?

Jakie są cele umiejętności takiéj?

Wreszcie, w jakim stosunku stoi umiejętność, któréj przedmiotem jest wyrobienie poglądu na świat do innych umiejętności?

Powszechnie znaną i uznaną jest właściwość umysłu ludzkiego

dążyć do rozszerzenia się w poznaniu po za granice spostrzeżenia naocznego, również jak i inna — dążyć do jednolitości w myśleniu, do pogodzenia nasuwających się nieraz w spostrzeżeniu sprzeczności za pomocą pewnéj jedności wyższéj. Ludy najrozmaitsze, widząc, że wszystkie znane im przedmioty spoczywają na ziemi, nie zadawalniają się tą wiedzą naoczną. Natarczywie nasuwa się im zapytanie dalsze: na czém też ziemia spoczywa? W odpowiedzi na to powstają różne myty filozoficzne: tu mamy żółwia olbrzymiego, na grzbiecie którego leży krąg ziemi; gdzieindziéj zamiast żółwia występuje słoń, tam znów olbrzym Atlas dźwiga ziemię na barkach swoich.

Myt filozoficzny zadawalnia się tym pierwszym krokiem po za zakres spostrzeżenia zmysłowego; poetyczny urok fikcyi zastępuje mu miejsce dalszego badania; umysł przytłoczony ogromem wytworzonego przez się zwierzęcia lub olbrzyma nie pyta się daléj: na czém też Atlas stoi?

Ale jednocześnie w mycie szuka on zadowolenia innéj potrzeby swojéj, potrzeby jednolitości w myśli. Myt nietylko służy mu za objaśnienie faktu nieruchomości ziemi, ale zarazem i innego sprzecznego z nim faktu spostrzeżenia: wstrząśnień skorupy ziemskiéj. Tak powstaje uzupełnienie mytu pierwotnego przez dodanie opowieści, że olbrzym, znużony utrzymywaniem ziemi na jedném ramieniu w ciągu wieków, przekłada ciężar swój na drugie, a gdy czyni to niezbyt ostrożnie, następuje trzęsienie ziemi.

Dwie te właściwości umysłu, t. j. dążność do przekroczenia granic obserwacyi i poszukiwanie jednostajności wśród rozmaitości wrażeń i spostrzeżeń, uważać możemy za źródła rozumowe filozofii.

Lecz oprócz władz rozumowych, posiada umysł ludzki inne, które nie mogą pozostawać bez wpływu na utworzenie poglądu na świat, gdyż pogląd ów obejmuje całość naszych sądów, mniemań i wierzeń.

Do władz najpotężniéj wpływających na wyrobienie sądów naszych o świecie należą wola i uczucie.

Każdy człowiek posiada poczucie wolności, świadomość dowolnego wyboru w postępowaniu swojém. Poczucie to jest faktem pierwotnym, t. j. nie wynikłym z jakichkolwiekbądź wniosków rozumowych; tkwi ono z niedającą się usunąć przez żadne rozumowania koniecznością w umyśle ludzkim; jest ono również nieprzezwyciężone,

jak poczucie rzeczywistości otaczającego nas świata [1]). Posiadając tę świadomość wyboru dowolnego w postępowaniu, człowiek musi ją uwzględniać przy tworzeniu sądów swoich o wszechrzeczach. Nie zadawalniając się odpowiedzią na zapytanie: jak jest? zadaje inne: jak być powinno? jak chce, aby było? w postępowaniu swojém szuka pewnego celu, a jeśli dojrzał umysłowo do objęcia szerszych zakresów czasu i przestrzeni, rozpowszechnia te zapytania na całe życie swoje i na życie całéj ludzkości, wprowadzając przez to jednolitość i w téj części mniemań swoich.

Tak powstają zapytania: jaki jest cel życia mego, do czego w niém dążyć powinienem? jakie są cele i nadzieje życia ludzkości? zapytania charakteryzujące wysoki rozwój umysłowy jednostki.

Nie zadawalniając się prawdami, zdobytemi przez wiedzę ścisłą, a po części wbrew tym prawdom, dążymy do urzeczywistnienia w życiu naszych ideałów.

Nie mniéj potężny wpływ na koncepcye filozoficzne wywiera uczucie, po części jako czynnik określający wolę, po części niezależnie od niéj. Często wzbraniamy się od przyjęcia pewnego wniosku umysłowego dlatego, że nie chcemy zastosować do niego postępowania naszego; niekiedy tylko dlatego, że wydaje się nam odrażającym, że w sposób niemiły oddziaływa na uczuciowość naszą.

Tak więc w troistej istocie naszej, jako człowieka myślącego, czującego i czynnego, spoczywają źródła poglądu na świat. Myśl nieumiejętna kojarzy często w sposób nielogiczny sądy i twierdzenia, wynikające z tych rozmaitych źródeł, wprowadzając pewną jednolitość sztuczną za pomocą symbolu i mytu.

Aby jednak pogląd na świat stał się filozoficznym, powinien przybrać cechy naukowości, t. j. pewnéj przedmiotowości, musi więc usunąć żywioły podmiotowe, jakiemi są uczucie i wola, z pośród czynników kształtujących poznanie; musi się pozbyć wszelkich sprzeczności logicznych i być ściśle jednolitym. Ale obok tego nie należy zapominać o tych czynnikach, jako źródłach myśli filozoficznéj, wytykających cel téj umiejętności; nie należy uważać człowieka za istotę wyłącznie tylko myślącą, gdyż właśnie z takiego wyłącznego zapatrywania się pochodzą liczne błędy filozoficzne. Należy pamiętać, że nie z saméj potrzeby poznania, lecz również z wymagań uczucia i woli

---

[1]) Nie poruszamy tu kwestyi, o ile jedno i drugie poczucie zgodne jest z prawdą bezwzględną: powołujemy się na nie jedynie, jako na fakt spostrzeżenia.

wynika konieczność utworzenia poglądu jednolitego na świat. Ponieważ zaś ostatecznie każdy taki pogląd jest tylko naszym utworem, wynikiem pewnego ustroju umysłowości naszéj i winien on z konieczności do téj umysłowości się zastosować; winien zawierać w sobie pewną harmonią, aby nie rzucał nas na pastwę nieprzejednanych sprzeczności. Taki więc tylko pogląd zadowolnić nas może, w którym sprzeczności owe doprowadzone zostaną do pojednania. Pojednania tego nie należy pojmować, jako ustępstwo ze zdobytych przez władze poznawcze prawd na rzecz innych potęg umysłowości naszéj. Podobne sztuczne złagodzenie sprzeczności byłoby tylko kompromisem, nasuwającym nową i najbardziéj rażącą sprzeczność, bo niekonsekwencyą logiczną. Pojednanie sprzeczności nastąpić więc powinno w pewnéj jedności wyższéj.

Po za zakresem bowiem tego, co jest przedmiotem poznania, zostaje jeszcze obszerne pole wiary; na tém to polu, t. j. w dziedzinie nieprzystępnéj już dla ściśle rozumowego poznania, może nastąpić pojednanie wszelkich sprzeczności. Samo się przez się rozumie, że przedmiotem wiary, będącéj dowolnym sądem o rzeczach, mogą być tylko rzeczy, o których sąd nie może być wyrzeczony z koniecznością płynącą z praw myślenia naszego. Aby więc wiara była uprawnioną, należy wprzód dowieść, że przedmiot jéj zostaje po za granicami poznania ściśle rozumowego; t. j. że umysł nie jest zmuszony z konieczności praw swoich nietylko inaczéj o rzeczy owéj sądzić, niż wierzymy, ale wogóle jakkolwiekbądź sądzić z pewném prawdopodobieństwem. Aby zaś wiara ta trwałą była, należy dowieść to nietylko dla chwili obecnéj, ale w ogólności; innemi słowy, powinniśmy dowieść, że niemożliwość jakiegokolwiekbądź wniosku umysłowego o przedmiocie badanym nie wypływa z pewnéj niedoskonałości obecnego stanu wiedzy naszéj, lecz z saméj właściwości rdzennéj umysłu naszego, czyli że przedmiot ów wskutek samego ustroju umysłowości naszéj (o ile dziś o takowym sądzić możemy) powinien pozostać nazawsze po za granicami wiedzy ścisłéj. Dowodzenia tego dostarczyć nam może zbadanie ścisłe władz umysłu naszego, czyli teorya poznania, która staje się przeto kluczem wszelkiéj filozofii umiejętnéj; filozofia bowiem nie czém inném jest tylko metodyczną, na wiedzy opartą umiejętnością poglądu na świat.

Wiarę zdobytą w ten sposób nazywamy wiarą filozoficzną, a, jak widać z tego co wyżéj powiedziano, ma ona zupełnie inne znaczenie, niż wiara naiwna, usuwająca dowolnie z pod kontroli myśli to, co niezgadza się z przedmiotem jéj wierzeń.

Na ścisłém więc odróżnieniu pierwiastków poznania od pier-

wiastków wiary filozoficznéj polega krytyka filozoficzna; oczyszczony przez nią pogląd na świat, pozbawiony sprzeczności i niekonsekwencyi logicznych staje się przedmiotem filozofii.

Filozofia w ten sposób pojęta posiada wszystkie cechy naukowości. Jak i każda inna gałąź, składa się ona z faktów poznania (poznanie filozoficzne) i z hypotez (wiara filozoficzna) [1]); jak w każdéj innéj gałęzi, ścisłość myślenia filozoficznego polega na dokładnéj świadomości granicy pomiędzy faktami poznania, a hypotezami, t. j. wiarą filozoficzną, granicy, która się przeprowadza przez krytykę metodyczną źródeł każdego twierdzenia. Różnica jednak między hypotezą naukową a wiarą filozoficzną jest wielka; wypływa ona z samego charakteru filozofii, jako umiejętności powszechnéj, t. j. umiejętności poglądu na świat. W każdéj bowiem nauce szczegółowéj, płynącéj jedynie z dążności do poznania i obejmującéj pewien określony przedmiot, hypoteza odpowiada wymaganiom tylko władzy poznawczéj i ograniczona jest zakresem przedmiotu badania. W filozofii zaś, która wypływa z całokształtu wymagań naszego umysłu i obejmuje całość wszechrzeczy, hypotezy te muszą uczynić zadość nietylko wymaganiom władz poznawczych umysłu, lecz zarówno i innych. Co do charakteru zaś swego, wierzenia filozoficzne różnią się o tyle od hypotez naukowych, o ile przedmioty tych umiejętności są różne.

Jest jeszcze jedna ważna różnica pomiędzy temi zakresami przypuszczeń: każde przypuszczenie naukowe staje się z czasem albo faktem, albo teoryą; fakt zostaje na zawsze, — teorya zaś, gdy zasób wiedzy ją przerasta, gdy się okaże nieodpowiadającą wymaganiu — przez inną bywa zastąpioną. W filozofii zaś, jak widzieliśmy, przedmiotem wiary filozoficznéj zostają rzeczy, o których sądy nigdy udowodnionemi, ani obalonemi być nie mogą; wiara więc filozoficzna — o ile nie zaszła pomyłka w ocenie krytycznéj granicy między nią a poznaniem, — jest trwałą, ale też wiecznie pozostać musi tylko wiarą.

Możemy teraz odpowiedzieć na pytanie o celu filozofii. Obejmując prawdy najogólniejsze ze stanowiska wszechstronnego, podczas gdy inne umiejętności dają tylko szczegółowe i jednostronne, jednocząc to, co w innych umiejętnościach jest rozrzucone i często sprzeczne, poddając wreszcie krytyce metodycznéj teoryi poznania

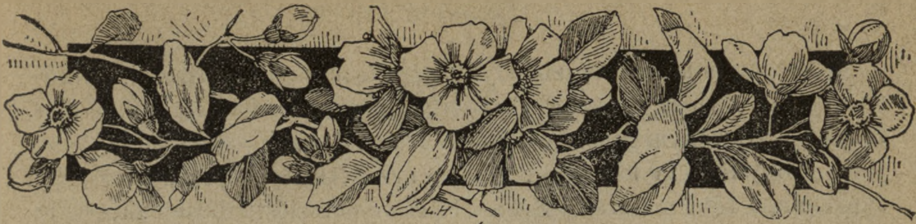
---

[1]) Jak i w innych umiejętnościach, hypoteza jest tu ideą kierowniczą w sądach o szczegółowych faktach téj gałęzi wiedzy.

wszystkie szczegółowe zdobycze wiedzy, filozofia daje nam najbardziéj bezwzględny z możliwych dla nas sądów o wszechświecie, najogólniejszą i najpowszechniejszą z przystępnych dla nas prawd, a zarazem stanowisko, z którego z łatwością oceniać możemy każdą zdobycz wiedzy szczegółowéj. Zadawalnia więc naszą żądzę poznania, i jedności w tém poznaniu; ale obok tego, uwzględniając całokształt umysłowości naszéj, daje nam trwałą podwalinę dla wyrobienia modły postępowania, dla oceny ideałów i pragnień z uczuciowości płynących.

W. M. Kozłowski.





OSTATNIA

KSIĘŻNA MAZOWIECKA.

(Dokończenie) *).

V.

Zygmunt bawił w Warszawie w ciągu kilku tygodni (od 26-go sierp. do 23 wrześ. 1526 r.), bo sprawa wcielenia Mazowsza do Korony wymagała dłuższego czasu, starań i zabiegów. Po tém wszystkiém, co poprzednio było zaszło, nie mogło ulegać żadnéj wątpliwości, że udzielność polityczna księstwa w jakimkolwiekbądź innym kształcie przywróconą nie będzie. Wielkiéj doniosłości zadanie musiało być rozwiązaném tak, jak tego ogólny interes Polski wymagał. Zapewnienie, dane przez króla, wsparte powagą jego słowa, iż pomimo przyłączenia wszystkie przywileje szlachty zatwierdzone będą, działało uśmierzająco, jak oliwa wylana na rozkołysane fale. Najeżone Mazurów umysły dały się ugłaskać uroczystém oznajmieniem, iż prócz zmiany najwyższéj dotychczasowéj zwierzchności, żadna inna w wewnętrznym układzie nie zajdzie. Ostateczne uporządkowanie wzajemnego stosunku odłożono do walnego sejmu koronnego, który późną jesienią tegoż roku miał się odbyć w Piotrkowie. Na razie zarządzono odebranie od dostojników, urzędników i szlachty przysięgi na wierność królowi, po któréj wykonaniu w dn. 13 września, Zygmunt objął księstwo mazowieckie w posiadanie i wcielił je do Korony. Załatwił téż i inne co pilniejsze sprawy, które zwłoki nie cierpiały.

---

*) Patrz „Ateneum“ za m. wrzesień r. b., str. 421.

Wtedy to nareszcie zmarły książę Janusz po tak długiéj, kilkomiesięcznéj zwłoce, doczekał się uroczystego pogrzebu i ciało jego złożono w murowanym grobie w kolegiacie św. Jana.

Pomyślano i o księżnie Annie, o należytém jéj opatrzeniu. Nie zapomniano téż i o starszéj Zofii. Sprawę obu sióstr wzięli zapewnie w swą opiekę najbliżsi po matce krewni Radziwiłłowie, z których Jerzego i Jana bytność w tym właśnie czasie w Warszawie stwierdzają listy urzędowe.

Król, obejmując spuściznę po dwóch ostatnich książętach, poczuwał się do obowiązku, jaki ciążył na obu braciach względem sióstr pozostałych. Téj zasady trzymać się postanowił i według niéj nadal postępował. Ponieważ obaj bracia za życia obowiązani byli zapewnić siostrom w stanie panieńskim „przyzwoite opatrzenie“, — przy zamążpójściu zaś odpowiednio uposażyć z ojcowizny i z macierzyzny, więc i Zygmunt taką samę przyjmował na siebie powinność. Skoro starsza Zofia już poprzednio w ślubne wstąpiła związki, przeto względem niéj zobowiązywał się wypłacić resztę nieuiszczonéj jeszcze sumy posagowéj, po dopełnieniu z jéj strony oraz męża formalności prawnych— pokwitowania, zrzeczenia się dalszych uroszczeń, tudzież ubezpieczenia posagu na dobrach wojewody, jéj małżonka. Taką téż odpowiedź w dniu 17 września dać kazał posłowi króla węgierskiego i Stefana Batorego na poprzednio w ich imieniu wnoszone prośby i czynione przedstawienia. Co zaś do ruchomości, to ponieważ takowemi nie mógł z prawa rozrządzać i do spraw domowych obu sióstr mieszać się nie chciał, pozostawił rzecz tę zobopólnemu między dziedziczkami porozumieniu.

Względem Anny, jako niezamężnéj, zobowiązał się Zygmunt, w myśl powyższéj zasady, dać jéj „uczciwe opatrzenie“ odpowiednio do wysokiéj godności, atoli z warunkiem, że księżna korzystać z niego będzie tylko przez czas pozostawania w stanie panieńskim, w razie zaś zamąż wydania, przeznaczone dla niéj dobra wrócą do króla, a natomiast stosowny posag wypłacony jéj zostanie.

Jakoż już pod dniem 10-ym września wyszedł z kancelaryi królewskiéj list, który szczegółowo wyliczał i określał wszystkie dobra i dochody, jakie stanowić miały owo „uczciwe opatrzenie“ księżnéj Anny, z zastrzeżeniem, pokilkakroć wyraźnie powtarzaném, iż takowe nie dłużéj, jak do czasu zamążpójścia ma służyć. Brzmiał on, z pominięciem tu różnych formuł, w treści swéj, jak następuje:

Księżnie Annie dajemy na używanie, dopóki zamąż wydaną nie będzie, dobra niżéj opisane: zamek liwski z obojem miastem i wsiami zdawna do niego należącemi, które są wolne, a nie zastawione lub ja-

kimbądź sposobem obciążone, wraz z czynszem naszym, ze wsi szlacheckich, ziemi lub powiatu liwskiego zwykle przypadającym. Także miasteczka Latowicz i Garwolin z wsiami do nich przyległemi. Również miasteczko Goszczyn z folwarkiem w Będkowie z wsiami do nich przyległemi; jakotéż miasteczko Piaseczno z wsiami Słomino, Łazy i innemi wsiami do nich należącemi. Podobnież zameczek Osiecko i Dęby z wsiami ich dotykającemi, ze wszystkiemi i szczególnemi tychże miasteczek i dóbr wyżéj opisanych czynszami, dochodami, podatkami, cłami, robociznami, lasami, jeziorami, daninami miodu i t. d., z prawem prezenty do wszystkich i pojedynczych kościołów..."

Jedno tylko domieszczono ograniczenie.

Ponieważ w Liwie miał stałe swe siedlisko starosta grodowy, który i zamku warownego strzegł i karną w ziemi sprawował władzę, więc pozostawiono przy nim jego zwykłą jurysdykcyą. „Ale natomiast—są słowa listu—chcemy, aby każdy starosta liwski, czasowo będący, przysięgę wierności nam i następcom naszym wykonać się obowiązał, że zachowa i strzedz będzie wiernie tegoż grodu, i że gdy oświecona pani księżna w małżeństwo daną będzie, lub przypadkiem zejdzie z tego świata, czego niech Pan Bóg uchowa, że sam rzeczony gród Liw dla nas i następców naszych pilnie zachowa i ów-że nam samym i następcom naszym na nasze i tychże następców naszych zlecenie wyda i wolno opuści. Tenże starosta liwski imieniem i z upoważnienia naszego, jurysdykcyą wykonywać będzie zwykłą, która wraz z innemi prawami zwierzchnictwa naszego we wszystkich i pojedyńczych dobrach wyżéj opisanych nam i następcom naszym zachowujemy."

Prócz pomienionych zamków, dóbr i wsi, inne jeszcze dogodności przyznano księżnie. „Dozwalamy (jéj) wolne używanie domu, czyli zamku książęcego mniejszego, w którym obecnie przebywa, w mieście naszém w Warszawie, aby tam dowoli mieszkać i jego używać mogła, bez żadnéj naszéj i naszych następców lub urzędników naszych przeszkody do czasu wspomnionego. Nadto, dozwalamy jéj wolnego przewozu przez rzekę Wisłę zbóż i innych rzeczy, które zbierają się, pochodzą lub wyrastają na folwarkach i dobrach wyżéj rzeczonych, których używania jéj dozwoliliśmy, a które będą jéj własne, a nie innych, bez żadnéj opłaty ceł naszych królewskich i żadnéj przeszkody, oraz wycinanie wolne drzew i dębów w gajach naszych Stromieckich na wyłączną potrzebę folwarku w Będkowie. Wyjmujemy także oświeconą panią księżnę Annę od wszelkiéj służby i wyprawy wojennéj ogólnéj i szczególnéj, przeciw którymbądź nieprzyjaciołom naszym z królestwa naszego przez nas zapowiedzianych, lub zapowiedzieć się

mających, tak że dopóki dobra pomienione trzymać będzie, żadnych zupełnie wypraw wojennych, nawet przez innych odbywać nie powinna, ani jest obowiązana.“

Po upływie kilku miesięcy, kiedy księżna już w nowych warunkach rozpoczęła swe życie, okazała się potrzeba proszenia o inne jeszcze dogodności, na które król chętnie przystał. Przeznaczono jéj więc 90 beczek piwa corocznie z Rożana, Ciechanowa, Przasnysza i Zakroczymia, z których część miała być na podwodach odsyłana według wskazania księżnéj. Dodano nadto 12 beczek ryb solonych z jezior królewskich łomżyńskich, pewną liczbę beczek soli, oznaczoną miarę miodu, stosowną ilość zwierzyny i t. d. Ponieważ prócz tego król zobowiązał się zaspokoić wierzycieli, o ileby słuszne mieli prawa, uiścić należność dworzanom Janusza, więc opatrzenie dane księżnie, nieobciążone żadnemi obowiązkami, mogło jéj zapewnić odpowiednie środki dla zachowania sług, służebnic, dworzan i urzędników na swoim niezbyt świetnym, ale zawsze dość okazałym dworze książęcym.

Zejść atoli z wyżyn tronu na poziomy powszedniego życia, choćby nawet dostatniego, wyrzec się władzy, blasku i osiąść w zaciszu wiejskiém lub małomiasteczkowém, — byłoby ciężką i przykrą rzeczą dla każdego, o ileż przykrzejszą dla osierociałéj i w rozkwicie młodego wieku będącéj księżnéj. Wprawdzie w osobie króla znalazła ona tkliwego na swą dolę opiekuna-ojca, który ją stale ukochaną córką nazywał i częste dawał jéj dowody swojego przywiązania. Licznym jéj prośbom czynił zadość w miarę sił i środków. O tym dobrym stosunku króla do księżnéj świadczą te różne dogodności i nadania, jakie on czynił za jéj wstawiennictwem na rzecz osób, które dawniéj bądź matce, bądź braciom lub jéj saméj dobrze się zasłużyły. Prośbą jéj poruszony, wyznaczył Zygmunt tysiąc złotych posagu córkom Jakóba ze Rzwienia, byłego marszałka mazowieckiego, które, jak się zdaje, podczas ostatniéj choroby otaczały swą troskliwą opieką dogorywającego w ich domu księcia Janusza. Doktorowi nadwornemu, Baltazarowi Smosarskiemu, który pielęgnował schorzałego brata, księżna obiecała spłacić należne mu sto kóp groszy, ale gdy obietnicy dotrzymać nie mogła, król ją w téj mierze zastąpić obiecał. Rządca dóbr w Latowiczu, Jakób Roguski, ekonom księżnéj, otrzymał za jéj wstawieniem siedm włók lasu królewskiego na własność. Ochmistrzyni jéj dworu, pani Anna Sobiekurska, wyjednała tą drogą dla siebie czynsze z dóbr zmarłego swego męża, które przypadały skarbowi. I tak wiele innych składał dowodów łask i przychylności Zygmunt, jak gdyby szczerze chciał osłodzić ciężki los sierocie, dla któ-

réj zapewne więcéj miał serca, niżeli sama królowa, choć ta się zwała Boną.

Próżni w sercu młodéj, osamotnionéj kobiéty wypełnić jednak nie mogły te różne oznaki królewskiéj dobrotliwości, ani téż te dobre, pobożne uczynki, jakiemi znaczyła drogę swojego powszedniego życia, składając drobne ofiary na rzecz kościołów, uposażając choć skromnie szpitale w swoich dobrach, zajmując się wystawieniem obu braciom pomnika, co do dziś dnia świątynię św. Jana zdobi. Zaledwie kilka lat upłynęło spokojniejszych, aż tu duszę jéj okrył nowy smutek, kiedy w 1528 roku owdowiała starsza siostra Zofia, straciwszy męża, z którym dzieliła tyle zmiennych kolei. Nie winić tu oczywiście Zygmunta, który, wydając ją jako opiekun za mąż za Stefana Batorego, ani mógł przewidzieć, że jéj taką burzliwą przyszłość zgotuje. Choć nie bez pewnych widoków politycznych, król do tego związku zachęcił i namówił, sądził jednak, że dobrze się ze swego obowiązku wywiąże. Tém większą miał teraz powinność, jako opiekun, względem osieroconéj zupełnie Anny.

Nie słychać atoli, żeby jakie w téj mierze czynił starania czy u książąt szląskich, czy u margrabiów lub magnatów węgierskich. A przecież księżna, gdy zstępowała z tronu, była w pełnym jeszcze blasku lat wiosennych i świeciła krasą swéj urody. Wdziękami jéj ujęty Kazimierz, margrabia brandeburski, kruszył kopią na jéj cześć podczas świetnego turnieju, urządzonego z powodu uroczystości zaślubin Bony, w któréj Anna wraz z matką uczestniczyła. W kilka lat późniéj portret jéj, mieszczący na tém samém płótnie obu braci Stanisława i Janusza, zachowany dotychczas w sali ratusza miejskiego w Warszawie, przedstawia nam jéj piękną wysmukłą postać i nadobne jéj oblicze [1]). Kształtna główka o jasném czole, ciemne głębokie oczy, przydłuższy, lecz delikatną linią oznaczony nosek, wąskie usta i ściągły podbródek—składają się na obraz, z którego wyziera rozbu-

[1]) Wbrew wszelkim nieomylnym wskazówkom (długie rozpuszczone włosy i młody wyraz twarzy) szanowny autor „Pomników książęcych Piastów", Piotrków, 1888, str. 141, podając w przerysie cały wizerunek, twierdzi, iż to są portrety ostatnich książąt mazowieckich i ich matki. Widocznie, siostrę ich Annę bierze za matkę tegoż imienia, zmarłą w 1522 roku. Data zgonu jéj, oraz śmierci Stanisława zaszłéj w 1524 roku, wskazuje, że portret, będący współczesnym utworem pędzla, był malowany z natury między 1522 a 1524 rokiem. Cechy jego współczesności stwierdził także p. W. Gerson, który przez szczegółowe, na prośbę naszą, obejrzenie wraz z nami i podanie trafnych wskazówek, ułatwił nam usunięcie wszelkiego powątpiewania co do osoby młodéj księżniczki Anny, wyobrażającéj na płótnie wzmiankowaném — siostrę, a nie matkę obu książąt Stanisława i Janusza.

dzona dusza o lotnéj, skrzydlatéj myśli. Gdyby nie ciemno-rudawy odcień zlekka przebijający—włosów, które zresztą ujęte w perłową przepaskę bujnie ku ramionom spływają, gdyby nie różowawy połysk cery, byłaby harmonia wdzięków niewieścich dosięgła szczytu piękności. Jeżeli czarami swéj krasy rzucićby uroku nie mogła na wybredne oko, to potrafiłaby podbić serce skromnością, dobrotliwością i głębokiém uczuciem religijném piastowskiéj córy. Ale pomimo tych wielkich zalet, nie zgłaszał się nikt, coby takich skarbów duszy szukał.

Wprawdzie, kiedy Anna piastowała rządy Mazowsza, książę pruski Albrecht chciał ją wyswatać za swego brata Wilhelma, ale nie trudno było się domyśléć, że w tych zabiegach o jéj rękę chodziło raczéj o posiadanie księstwa, aniżeli jéj serca. Zresztą, nigdyby księżna z rodu Piastów nie była wyszła za mąż za księcia, który porzucił starą wiarę i do nowéj przystał. Sam król Zygmunt także, jako opiekun, nie byłby się zgodził dla wielu poważnych pobudek na taki niebezpieczny pod względem politycznym związek. Podobno następnie prymas Łaski chciał z księżną Anną skojarzyć swego synowca, ale i to nieodpowiedniém się wydało.

Tak więc w osamotnieniu sierocém schodził rok za rokiem, a serce daremnie tęskniło do spokojnego szczęścia domowego, któreby przy boku kochającego męża pozwoliło zapomniéć o tylu doznanych w krótkiém życiu zawodach. Zbliżała się też niepowstrzymanym biegiem ta groźna w panieńskim wieku chwila, kiedy rok jeden i drugi przybędzie, a wnet po bujnéj wiośnie nastaje jesień i kwiat urody po długotrwałym blasku nagle więdnie i liście swe gubić zaczyna. Już prawie na saméj granicy tego niebezpiecznego kresu, księżna, przestawszy wyczekiwać jak w bajce młodego królewicza, postanowiła za zgodą króla-opiekuna oddać swą rękę młodemu szlachcicowi polskiemu, który się właśnie o nią zgłosił.

VI.

Wybrańcem tym, który ostatnią Piastównę miał pojąć za żonę, był Stanisław ze Sprowy, wojewoda podolski. Był to dziedzic wielkiego rodu i wielkiéj fortuny. Pochodził z Odrowążów, którzy od tak dawna w Polsce świecili niezwykłym splendorem zarówno w kościele, jak i w świeckiéj radzie królewskiéj. Na Rusi przodkowie bywali prawie nieustannie wojewodami. Ta gałąź, z któréj Stanisław brał początek, pisała się na Jarosławiu i Zinkowie, i oddawna dzierżyła w zastawie rozległe dobra starostwa samborskiego. Ojciec odu-

marł go wcześnie, a opiekę nad nim oraz siostrami sprawowali krewni Odrowążyce, z rodu Szydłowieckich, którzy przy Zygmuncie, królu, również na najwyższych stanęli szczeblach — Krzysztof, kanclerz i Mikołaj, podskarbi kor. W 1527 roku Stanisław doszedł do pełnoletności, wtedy dopiéro, kiedy księżna Anna, przyszła jego małżonka, już była skończyła swój zawód polityczny, ustąpiwszy z tronu. W młodym wieku, zaledwie wypuszczony z opieki, Odrowąż ożenił się w końcu 1530 r. z Katarzyną, córką Łukasza z Górki, kasztelana poznańskiego, lecz w krótkim bardzo czasie został bezdzietnym wdowcem we wczesnych latach, licząc ich wtedy chyba nie więcéj nad dwadzieścia jeden. Dla tego téż młodego i niedoświadczonego wieku nie mógł jeszcze żadnego wydatniejszego zajmować w rzeczypospolitéj stanowiska. Był wprawdzie starostą samborskim, ale ta godność, przywiązana do posiadanéj w rodzie dzierżawy królewskiéj, przeszła na niego dziedzicznie. Dopiéro w 1533 roku od razu wielki skok czyni, zostawszy kasztelanem lwowskim. Inni szli latami całemi zwolna przez różne stopnie, nim się do senatu królewskiego dostali. On zaś i na tém kasztelańskiém krześle siedział niedługo, bo wkrótce w 1535 r. obdarzony został godnością wojewodzińską, a do tego niepoślednią. To niezwykła wywyższenie młodego starosty budzi domysł, ażali się to nie stało dla jakich szczególniejszych względów. Jakoż pewną wskazówkę w téj mierze podaje sam list królewski, wynoszący Odrowąża na wysokie dostojeństwo „za wstawieniem się, jak w nim nadmieniono, naszéj najukochańszéj małżonki“, czyli królowéj Bony.

Miałażby więc ona to sprawić w widokach skojarzenia stadła?

Istotnie, zdaje się, jak gdyby na starostę samborskiego i lwowskiego spadła ta wielka godność właśnie w chwili albo rozpoczętych swatów, albo może już ukończonych, po słowie danèm przez księżnę, a zatwierdzonèm przez króla-opiekuna. Ale tak czy inaczéj, — dość, że młodego wojewodę podolskiego, młodszego o lat kilka, postanowiła Anna obrać sobie za dozgonnego w życiu towarzysza, aby nareszcie przerwać tak długie pasmo sierocego osamotnienia. Wprawdzie, przyszły małżonek nie posiadał udzielnego państwa, nie świecił nawet książęcym tytułem, lubo się niekiedy hrabią na Jarosławiu pisał, ale w każdym razie nie cudzym służył panom, nie na obczyźnie przebywał, lecz we własnym kraju dobijał się zaszczytu. Więc między swemi, na ukochanéj rodzinnéj ziemi się zostanie.

A może?... lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Ślub odbył się prawdopodobnie w kwietniu lub w maju 1536 r., jak miarkować można ze skąpych bardzo w tym względzie wiadomo-

ści. Król, który od dłuższego już czasu bawił w Wilnie, nie wziął udziału osobiście w téj uroczystości, uczcił ją jednak przez wysłanych od siebie wysokich dostojników. Zdaje się, że błogosławieństwa udzielił nowożeńcom ówczesny arcybiskup i prymas, Andrzej Krzycki, w towarzystwie Piotra Gamrata, biskupa przemyskiego. Obaj oni wraz z wojewodą mazowieckim, Piotrem Goryńskim, mieli sobie poruczoném dopilnować formalności sądowych celem ubezpieczenia posagu, jaki księżna Anna od króla w myśl dawniejszych jego zobowiązań otrzymać miała przy ustąpieniu z dóbr, wyznaczonych jéj w kształcie oprawy panieńskiéj aż do zamążpójcia.

Ponieważ wypłacenie sumy posagowéj natychmiast po ślubie połączone było z pewnemi trudnościami, również ubezpieczenie jéj na dobrach wojewody Sprowskiego, leżących na odległéj Rusi, gdzie do właściwych akt grodzkich wniesione było być winno, przeto zaszła potrzeba, aby za małżonka księżnéj, za Stanisława Odrowąża Sprowskiego poręczyły właściwe osoby, iż w oznaczonym czasie po odebraniu posagu, formalność ta prawna dopełnioną będzie. Król żądał, aby to nastąpiło w ciągu trzech miesięcy po wypłaceniu sumy posagowéj. Jakoż wymaganą w tym względzie rękojmię piśmienną dali, obecni prawdopodobnie na weselnéj uroczystości w Warszawie powinowaci, przyjaciele i znajomi Stanisława Odrowąża, a mianowicie: Andrzej Oporowski, wojewoda łęczycki, Stanisław z Kutna, wojewoda rawski, kasztelanowie: przemęcki Stanisław Łaski, biechowski Mikołaj Rusocki, sochaczewski Paweł z Woli, rawski Andrzej z Trzciany, Spytek Jordan z Zakliczyna, Andrzej Tarło ze Szczekarzewic i inni w liczbie dwunastu.

Poręczyciele zobowiązywali się w ciągu jednego roku, licząc od chwili wypłacenia posagu, odpowiadać swemi majątkami za Stanisława Sprowskiego, mającego zabezpieczyć takowy na połowie wszystkich swych dóbr ruchomych i nieruchomych. Wysokość sumy nie była podaną. Nadmieniono tylko, że w odpowiednim stosunku, jako posag i wiano, powinna być oprawioną, czyli zapisaną na dobrach, z dołączeniem wartości klejnotów, jakieby księżna Anna w dom jego wniosła.

Żądanie takiéj rękojmi — wypływało z obowiązków króla, jako opiekuna. Dlaczego jednak nie domieszczono wyraźnie wysokości sumy posagowéj?

Czyżby małżonkowie liczyli na wspaniałomyślność Zygmunta? Jeżeli tak istotnie było, to czekał ich wnet przykry zawód.

Król upoważnił podskarbiego koronnego, Spytka z Tarnowa, aby na zamku krakowskim w urzędzie grodzkim wypłacił obu małżon-

kom przy pierwszém zgłoszeniu się, 10,000 dukatów, odebrawszy od nich należyte pokwitowanie [1]).

Taki sam posag w podobnéj wysokości otrzymała starsza siostra, Zofia, w części uiszczony przez zmarłą matkę i braci, w niedopłaconéj zaś części uzupełniony już przez Zygmunta. Do hojniejszéj łaski król nie poczuwał się zobowiązanym. Równą postanowił ręką odmierzyć jednéj i drugiéj siostrze, żadnéj między niemi nie czyniąc różnicy.

A skoro tak stanęło, to wypadało wyznaczony posag odebrać i wyjść „z panieńskiego opatrzenia“, porzucić zamki, miasta i miasteczka, oraz włości na Mazowszu, oddać je królowi, pożegnać ukochaną ojcowiznę, rozstać się z Warszawą i pójść za mężem — hen na Ruś daleką, do Jarosławia.

Zamiast jednak do Krakowa po posag, Odrowąż ruszył do Wilna, do króla, Anna zaś do dóbr swoich, aby z nich wbrew zobowiązaniu nie ustępować. Na całéj linii wydane było przez obu małżonków hasło: niedopuszczać urzędników królewskich, gdyby „wwiązać się“, czyli wejść chcieli w posiadanie Liwa, Osiecka, Garwolina i innych dóbr oprawy panieńskiéj, owszem, bronić się do upadłego.

Widocznie, według mniemania nowożeńców krzywda im się stała.

Już gorliwi w dopilnowaniu pożytku królewskiego, urzędnicy zaczęli nawet czynić starania o objęcie w posiadanie przypadających skarbowi włości. Cofnęli się jednak przed stanowczym i zbrojnym oporem. Pierwsze zaraz niepowodzenie spotkało biskupa przemyskiego, Gamrata, który miał sobie od króla poruczoném odebrać dobra księżnéj i w nich nowy zarząd królewski ustanowić. Posłany w początkach czerwca przez niego do Liwa Arciechowski, przyboczny jego pisarz, opatrzony w odpowiednie listy i upoważnienia, daremnie żądał od starosty liwskiego, Stanisława Sienickiego, aby mu dobrowolnie zamku ustąpił. Rządca przyległych dóbr, Pełka, podobnież stanowczo odmówił. W imieniu zaś księżnéj wystąpił woźny z piśmiennym protestem, w którym przeciwko uroszczeniom króla wystawiano

---

[1]) Wartość dukata węgierskiego w monecie bieżącéj ówczesnéj wynosiła 48 gr. (w r. 1544 Metr. k. 69, f. 172), cały posag w ilości 480,000 groszy równał się według cen zboża z owych lat. przedstawiał wartość mniéj więcéj 80 tysięcy korcy żyta. W każdym razie był to posag niepośledni, magnacki. choć oczywiście nie tak wielki, jakiego się spodziewała udzielna niegdyś księżna, ostatnia z Piastów mazowieckich. Za pierwszą żoną otrzymał Stanisław Odrowąż od swego teścia kasztelana poznańskiego, Łukasza Górki, około 9,000 dukatów (Metr. kor., 54, f. 23).

istotne prawo dziedziczne, przysługujące jakoby księżnie wojewodzinie.

W Warszawie na początku lipca woźny sądowy, wraz z dwoma świadkami ze szlachty udał się do mniejszego zamku warszawskiego, który „Ogródkiem“ zwano, a który był poprzednio ustąpiony księżnie do czasowego użytku,—i urzędownie oświadczył, iż takowy przechodzi odtąd pod zarząd starosty. Gdy jednak obecny w nim podskarbi księżnéj, Jakób Kownacki, nadmienił, iż znajduje się w nim niemało rzeczy, będących własnością jego pani, polecono mu, aby je wyniósł w ciągu dwóch tygodni, zostawiając na miejscu stoły, ławki, błony w oknach, zamki, łańcuchy i t. p., jako należne do inwentarza zamkowego. Wezwany potém przez starostę urząd miejski o podanie zbrojnéj pomocy, poparcia odmówił. Poczciwi mieszczanie warszawscy nie chcieli widocznie przykładać ręki do przykréj sprawy wyrzucania swéj dawnéj pani.

Podobnież zachowali się mieszczanie w Piasecznie, dokąd z polecenia kasztelana i starosty warszawskiego, Jana Dzierzgowskiego, udał się burgrabia w towarzystwie woźnego i świadków ze szlachty, celem objęcia dóbr piaseczyńskich w posiadanie. Było to 10 lipca, kiedy przed dworem w Piasecznie ukazał się urząd sądowy, niosący rozkazy królewskie. Nie usłuchano ich jednak. Na głos rządcy i oficyalistów księżnéj Anny, zbiegli się tłumnie mieszczanie i wieśniacy z sąsiednich folwarków, aby w danym razie stawić opór czynny. Oświadczono jednogłośnie wykonawcom woli królewskiéj, że ich nie dopuszczą do dóbr księżnéj, którą zarówno rządca, jak i urząd miejski uważają za jedyną panią, oraz dziedziczkę i tylko jéj rozkazom ulegać będą. Po otrzymaniu takiéj odpowiedzi zaniechał podstarości warszawski dalszych kroków egzekucyjnych.

W Wilnie, pomimo użytego prawdopodobnie wpływu Radziwiłłów, Odrowąż żadnych ustępstw nie uzyskał. Owszem, król z nieugiętą stanowczością trwał przy swojém postanowieniu. Zarządził nawet najostrzejsze środki, celem natychmiastowego objęcia w posiadanie dóbr danych księżnie, jak wiadomo, tylko warunkowo, aż do czasu zamąż jéj pójścia.

Wykonawcą woli swéj obrał Tomasza Sobockiego, naonczas wojskiego łęczyckiego i dworzanina, który następnie zostawszy podczaszym nadwornym, w niewiele lat późniéj (1545 r.) był wyniesiony na wysoką godność kanclerza koronnego. Przez kilka dni była w Wilnie czynną kancelarya królewska, wydając pod datą 24, 25, 26 oraz 27 lipca różne listy do Anny i Odrowąża, rozporządzenia do starostów, zlecenia do urzędów miejskich i t. d. Sobocki wiózł ze sobą

cały zwój papierów, zawierających, jak burzliwa chmura, gromy gniewu, groźb i kar królewskich.

Pierwszy ich odgłos rozległ się w murach Warszawy na początku sierpnia. Urząd miejski otrzymał surową od Zygmunta naganę za odmówienie staroście pomocy przy objęciu w posiadanie dóbr księżnéj, a jednocześnie został wezwany, aby pod groźbą ciężkiéj odpowiedzialności, siłą swą wsparł pełnomocnika królewskiego, wysłanego umyślnie w téj sprawie. Na rynku Starego Miasta wobec zgromadzonego ludu obwieścił woźny sądowy jeszcze groźniejsze słowa, powtórzywszy po trzykroć, co następuje:

„Aby każdy wiedział, iż j. kr. mość, nasz miłościwy pan, kładzie zakład 30,000 zł. mocą a prawem swém królewskiém przeciwko wielmożnemu panu Stanisławowi Odrowążowi, wojewodzie podolskiemu i przeciwko wielmożnéj paniéj Annie, wojewodzinéj podolskiéj, małżonce jego, aby wolno puścili j. kr. miłości wszystko to imienia koruny polskiéj, które przerzeczona pani Anna, wojewodzina podolska, do czasu w małżeństwo pójścia z łaski j. kr. mości pożywała i którego imienia korunnego, j. kr. miłość raczył był dla wychowania stanu panieńskiego jéj użyczyć z łaski swéj królewskiéj. A tak ten zakład przerzeczony 30,000 zł. j. kr. miłości przepadają, albo przepadną, jeśliżeby bronili wiązowania, a wolno nie puścili tego wszystkiego korunnego imienia za rozkazaniem j. kr. miłości w ręce służebników, a dworzaninów i posłowi j. kr. miłości, panu Tomaszowi Sobockiemu, wojskiemu łęczyckiemu, którego król j. miłość ku temu z dworu swego posłać raczył. A to, aby też każdy wiedział, iż ten zakład ściąga się na wszystki pomocniki, służebniki przerzeczonego pana wojewody podolskiego i paniéj wojewodzinéj, którzybykolwiek z niemi, albo od nich przerzeczonego imienia dworzaninowi i posłowi j. kr. miłości, przerzeczonemu panu Sobockiemu, bronili mocą a gwałtem.“

Podobne wadya, czyli zakłady pieniężne, ustanawiali zwykle starostowie z wyższego polecenia w wypadkach, kiedy dwie strony prywatne, pominąwszy sądy, wszczynały między sobą gwałty, najazdy, krwawe rozprawy z powodu zabójstwa, lub innego jakiego bezprawia. Tym razem król, będący stroną, sam ustanowił taki wysoki i niezwykły, jak na owe czasy, zakład, czyli karę pieniężną w razie sprzeciwienia się jego rozkazom. Również ostre zalecenia otrzymał starosta warszawski i inne urzędy władzy wykonawczéj.

Do uszu księżnéj wnet doszły wieści o nadciągającéj burzy. Uledz, czy nie uledz? Ona, którą król przestał nazywać swą córką ukochaną, którą tytułować kazał tylko wielmożną panią wojewodziną, ona, dotknięta wrzekomą krzywdą, z uczuciem bólu doznanéj zniewagi,

postanowiła niebacznie — stawić opór. W tym też duchu ponowne rozkazy poleciła śpiesznie gońcom zanieść do ekonomów, rządców i urzędów we wszystkich swych dobrach.

VII.

W ustronnym zameczku osieckim, okolonym ciemną wstęgą drzemiącéj puszczy, spędzała na początku sierpnia dnie czarnego smutku ostatnia dziedziczka Piastów mazowieckich. Słodycz szczęścia rodzinnego tak prędko ustąpiła miejsca goryczy. Dawne sieroce osamotnienie znów powróciło. Wojewoda usunął się z widowni — na chwilę rozpoczynającego się przeciwko królowi oporu, pozostawiwszy na posterunku księżnę, która więcéj, niż on sam, mogła mieć słusznych pozorów bronienia kawałka swojéj ziemi mazowieckiéj. Wśród grobowéj ciszy mrocznych borów, w milczącém otoczeniu głuchych ścian, na progu niepewnego jutra, tęskna myśl Anny ulatywała chętnie ku ubiegłéj przeszłości, złocąc ją promiennym blaskiem straconéj władzy. Z tych drogich wspomnień, które się zewsząd tłoczyły do duszy, brało swój nastrój uczucie, tłumiąc głos chłodnéj rozwagi. Jak przed laty dziesięciu, sięgnęła Anna wątłą ręką po berło książęce, wbrew wyraźnemu prawu, tak i teraz, uczuciem się tylko rządząc, bieg prawa wstrzymać zamyślała.

W początkach sierpnia zwykły spokój dworu przerwało przybycie posła królewskiego. Przed obliczem księżnéj stanął Tomasz Sobocki, w towarzystwie dwóch woźnych sądowych z powiatu warszawskiego i czerskiego, tudzież czterech świadków ze szlachty i rzecz swą temi zagaił słowy:

— „Jego królewska mość, pan nasz miłościwy, przysłał mnie tu do wielmożnéj pani, abym jéj z polecenia j. kr. mości przypomniał, jako niedawno księstwo mazowieckie przyłączoném zostało do Korony dla braku męzkich dziedziców i jako król jmość, przybywszy do Warszawy, po wcieleniu puścizny odebrał przysięgę wierności, poczém raczył z łaski swéj wyznaczyć wielmożności waszéj niejakie dobra dla przystojnego wychowania w panieńskim stanie, aż do zamąż pójścia...“ i t. d. I w długim wywodzie, spełniając piśmienne króla polecenie, wyłuszczał Sobocki znane nam okoliczności, jako już wtedy (?) określoną była suma posagowa w razie zawarcia związków małżeńskich w wysokości 10 tysięcy dukatów, która w téj saméj mierze wypłaconą była starszéj siostrze Zofii. Nadmienił daléj, że po ślubie jmkról piśmiennie przyrzekł sumę uiścić, dał ponownie takież zaręczenie wojewodzie i upoważnił podskarbiego do wypłacenia jéj z zachowaniem formalności. Przy-

pominał następnie, że wojewoda wraz z małżonką ociągali się odebrać posag i w zamian zwrócić dobra posiadane warunkowo, że nadto, gdy się zgłosili urzędnicy królewscy celem objęcia takowych w posiadanie, mocą i siłą zbrojną byli odpędzeni ku wzgardzie prawa i powagi króla jegomości. „Dlatego też, — tak rzecz swą prowadząc ku końcowi, oświadczył Sobocki — przysłał mnie tu nasz pan miłościwy, swego dworzanina i posła, abym w imieniu króla jegomości napomniał i wezwał wielmożną panią, iżby wraz z małżonkiem swoim sumę posagową 10,000 dukatów na zamku krakowskim złożoną w wolnym czasie odebrała i z dóbr oprawy panieńskiéj bezwłocznie ustąpiła pod zakładem 30 tysięcy złotych. Prócz tego polecił mi król nasz najmiłościwszy, iż jeżeliby w czemkolwiek woli jego i rozkazowi nie stało się zadość, a ktokolwiek choćby z pomocników lub sług opiérać się ośmielił, uważać i karać to będzie jako obrazę majestatu. A dla lepszéj zaś wiadomości i dokładniejszego zrozumienia rozkazów jego królewskiéj miłości, oraz skutków, jakie pociągnie za sobą ich niespełnienie przez wielmożną panią i jéj małżonka, napominam wielmożność waszę, abyś te listy królewskie przyjęła i pilnie je u siebie rozważyła“.

I rzekłszy te słowa, sięgnął po mandaty do zanadrza, chcąc je księżnie doręczyć.

Anna, która słuchała przemówienia posła z należytą powagą, rąk swych nie wyciągnęła po listy królewskie.

— Nie biorę ich, ani wezmę — odparła krótko i stanowczo — bo nie wiem, co się w nich zawiéra.

— Rozkazy królewskie —powiada Sobocki — które przed chwilą ustnie wyłuszczyłem.

Gdy księżna i po tém objaśnieniu wzdragała się przyjąć piśmienne polecenia od króla, poseł-dworzanin czyniąc zadość wymaganiu prawa, zastąpił doręczenie ich przez położenie listu na jedwabnéj poduszcze, która stojącą obok ławeczkę zdobiła i te dodał słowa:

— Oto są listy j. k. mości, które tu składam, a któremi król jmość ustanawia zakład 30 tysięcy zł. przeciwko wielmożności waszéj i małżonkowi, oraz wszelkim pomocnikom. Przepadną one (czyli przypadną skarbowi), jeżeli w czemkolwiek rzeczonym rozkazom nie stanie się zadość i jeżeli pomienione dobra, należące do Korony natychmiast bez żadnéj zwłoki w ręce moje puszczone nie będą.

— Ani zakładu tego, ani tych listów — odparła księżna — nie przyjmuję, ponieważ zakład taki ustanowiono przeciwko przepisom prawa, a j. król. mość nie jest mocen cokolwiek czynić, co się sprzeciwia postanowieniu prawa pospolitego. Takiemu przeto zakładowi, który położony jest wbrew prawu, nie poddaję się, albowiem zakłady

ustanawia się między stronami, gdy o głowę chodzi, gdy komu przegróżki czynią.

Więc i ten list wadyalny, nieprzyjęty przez księżnę spoczął na jedwabnéj poduszce.

— A teraz, skorom dopełnił przedwstępnéj czynności — mówi daléj niezbity z tropu poseł królewski — pytam się, azali wielmożność wasza ustępuje z przerzeczonych dóbr danych przez króla jegomość aż do pozostawania w stanie panieńskim, azali je wolno puszcza i czyli mogę bezpiecznie objąć je w posiadanie?

— Ja tych dóbr —odpowié księżna wyraźnie, stanowczo i z niezwykłą siłą — nie puszczę wam, ani z nich nie ustąpię, ani obecnie wam puszczam lub z nich ustępuję. Wobec was — zwracając się do woźnych i przytomnéj szlachty — rzekła — oświadczam, że tych dóbr nie ustępuję, ani téż z nich dobrowolnie nie ustąpię.

I powiedziawszy te słowa, kazała obecnym woźnym dać po groszu, jak tego w podobnych wypadkach wymagał zwyczaj sądowy. A wnet potém wśród chwilowego uniesienia, kiedy uczucie gniewu z bólu wezbrało po brzegi, zdobywa się na stanowczość, rzuca jakby rękawicę królowi i oświadcza:

— Czuję się maluczką wobec potęgi króla jegomości i nierówną jego mocy, ale dóbr moich, o ile zdołam, od wszelkiéj siły i gwałtu bronić zamierzam i bronić będę.

Gniew, jak piorun wypadł ze wzburzonéj piersi kobiéty, ulżył chwilowo jéj sercu, minął téż prędko i ustąpił miejsca rzewniejszemu uczuciu.

— Boleję nad têm — rzekła wtedy księżna — że król jmość tak niełaskawie ze mną wychodzi, gdy przecie ojcem moim jest, opiekunem i panem najmiłościwszym. O gdybym ja to przed ślubem była wiedziała, że jkrólewska mość tak niemiłościwym na mnie się okaże, nigdybym za mąż nie była wyszła.

Na szczęście, wojewody przytém wyznaniu, które bynajmniéj nie schlebiało jego miłości własnéj, nie było. Ale dziwićże się nam, takim słowom, które się wyrwały z serca ostatniéj dziedziczki Piastów, skazanéj na wyzucie z ukochanéj ojcowizny?

Niewzruszony temi słowy i tą postawą księżny poseł i pełnomocnik króla Sobocki, daléj swą sprawę prowadząc.

— Pytam więc wielmożności waszéj — rzecze — azali mogę już bezpiecznie i bez obawy przystąpić do objęcia wszystkich innych imion (dóbr) jkrólewskiéj mości i Korony, danych waszéj wielmożności na czas pozostawania w stanie panieńskim, oraz do spełnienia tego, co mi jegomość król polecił?

— Co do mnie — odpowie księżna — ręcze za siebie, za męża, oraz za sługi moje, że możesz, panie Sobocki, bezpiecznie udać się do dóbr bez żadnéj obawy. Jeżeli dla pewniejszéj drogi, potrzeba posłać kogoś, to przydam od siebie kilku służebników. Gdyby kto jednak pomimo sług moich, jak to mówią zwykle, „na mój ślad“ waszmości jaką krzywdę uczynił, nie chcę, aby mnie to za winę poczytano. Dotąd waszmość bezpiecznym tam będziesz, dopóki się wstrzymasz od gwałtu lub przemocy. Zresztą w imionach moich nic innego waszmość nie wskórasz, jeno to, coś tu sprawił. Wszędzie jeden i ten sam od wszystkich respons odbierzesz, jakowy tu odemnie i od moich odbierasz i odbierzesz. Zresztą gdybyś i mnie gwałt zadać zamierzył, zniesiesz waszmość to, co gwałtowników spotyka.

— Jéj osłony, którą mi wielmożność wasza dać chcesz—odparł— snadź nieco urażony poseł królewski, nie potrzebuję, kiedy się na sztych wystawię dla czci swéj i obowiązku mego względem jkmości pana naszego najmiłościwszego. Acz nie z własnéj ochoty spełnię to, co mi jest od króla jegomości poruczoném, oznajmuję jednak wielmożności waszéj, że jego królewska mość dostatecznie mnie opatrzył listami bezpieczeństwa publicznego. I nietylko mnie samego jego królewska miłość w taką zaopatrzył osłonę, ale wszystkich, co mi towarzyszą, albo przy wykonaniu rozkazów królewskich towarzyszyć i popierać będą, oraz tych służebników, którychkolwiek w przerzeczonych imionach, jakie objąć w posiadanie poleconém mi jest, zostawię. Przeto wielmożność waszę, tudzież wszystkich ostrzegam i napominam, aby się wstrzymali od wszelkiéj względem mnie i pomienionych krzywdy, jeżeli nie chcą ściągnć na siebie kary, ustanowionéj przeciwko gwałcicielom spokoju publicznego. I jakkolwiek jego królewskiéj mości, oraz radom jego nie zdawało się potrzebném osłaniać tego rodzaju tarczą listu żelaznego posła swego, skoro wysłańcy jego królewskiéj miłości nietylko w własnych jego, ale i w cudzoziemskich krajach chrześciańskich i pogańskich, jako posłowie bezpiecznie zwykli odbywać podróże, jednakże gdy król jegomość widział, że zuchwałość poddanych do tego doszła stopnia, że nawet posłowie jego nie mogą bezpiecznie się przenosić z miejsca na miejsce i zleceń sobie danych spełniać, gdy nadto spostrzegł, że i wasza wielmożność i małżonek pan wojewoda wraz ze służebnikami pobudkę w téj mierze dają, uznał za stosowne glejtem mnie opatrzyć. Przyjdzie zaiste czas, kiedy jego król. miłość raczy w to wejrzéć, aby tę zuchwałość ludzką złamać tak, aby nadal podobnych listów bezpieczeństwa posłom wydawać nie było potrzeba.

Cierpliwie wysłuchawszy téj długiéj i ostréj przemowy Sobockiego, księżna spokojniejszym odrzekła tonem.

— Ależ nie potrzeba było tego, żadna nie zachodziła konieczność, aby tak król jegomość postąpił. Zarówno mnie jak i męża mego niektórzy panowie tak oczernili w oczach króla jegomości, iż nas znienawidzono. Ja jedna tylko tyle niełaskawego na siebie mam jegomość króla, ale, da Pan Bóg, wkrótce oni sami...

— Nie moja rzecz w to wchodzić. Co do mnie— rzecze poseł— skończyłem wszystko, co mi jego król. mość oświadczyć i uczynić polecił. I powiedziawszy te słowa, odwrócił się i komnatę księżnéj opuścił.

Na dziedzińcu przed zameczkiem stali tu i owdzie, jakby na rozkazy swéj pani czekając, wierni oficyaliści i słudzy, czeladź dworska i folwarczna. Na głos Sobockiego zbiegli się w gromadę.

— Słuchajcie ludzie — odezwie się do nich donośném słowém woźny czerski, Michał z Radwankowa — król jegomość przysłał tu oto swojego i t. d. I począł przysłuchującéj się wiejskiéj rzeszy mówić o tém, jak jego królewska mość przypadające sobie imiona księżnéj w posiadanie obejmuje i jak ustanawia zakład 30 tysięcy złotych przeciwko każdemu, ktoby odważył się sprzeciwiać i t. d.

Zaledwie skończył swe długie przemówienie, aliści z gromady odezwie się pana wojewody stary sługa, zwał się pono Brzeski i takie krótkie a śmiałe wypowiada zdanie.

— Zakład ten przeciwko prawu i wszelkiéj konstytucyi Korony jest wydany, zwłaszcza gdy się rozciąga na sługi, których żadnemi pogróżkami od służenia panom odstręczać się nie powinno.

I na tem skończył.

A pan wojski mu odeprze:

— Więcéj czynić zobowiązani jesteście względem króla jegomości, zwierzchniego pana wszystkich, jako przystało na wiernych i uczciwych poddanych, niżeli względem tych, których najmitami jesteście, zwłaszcza jeśli ci przeciwko jego królewskiéj mości rozkazom powstają.

Ale słowa posła i jego woźnych padały, jak groch na ścianę.

Poszli na wieś. Pan wojski Sobocki zatrzymał się w gospodzie, woźnego zaś posłał wraz ze szlachtą, żeby włodarza i gromadę całego Osiecka do niego, jako do posła królewskiego sprowadzili. I począł wołać Radwankowski po całéj wsi, aż się echo rozlegało. Ale jakoś nikt się nie ruszył. Nuż tedy chodzić od chaty do chaty i wreszcie do włodarza. A ten wraz z innymi powiada.

— My tam nic nie wiema o królewskim panu, oświecona jmść księżna to nasza dziedziczka i téj tylko słuchamy.

Tego więc dnia Sobocki nie doczekał się gromady osieckiéj. Nazajutrz zaś posłał innego woźnego, Jakóba Morę, wraz ze szlachtą do chaty włodarza i kazał go trzymać pod strażą, dopókiby sam do niego nie przybył. A gdy po niejakim czasie poseł królewski tam się ukazał z garstką kilku kmieci, których się udało zwołać, pyta ich, czemuby wczoraj na wezwanie woźnych przed nim nie stanęli?

— W imieniu pani wojewodziny — odpowiedzieli kmiotkowie — nie kazano nam nikogo słuchać, do nikogo chodzić, chociaby do posła królewskiego, ale owszem, obliczności jego unikać.

Wręczył tedy pan wojski włodarzowi listy królewskie, których główną osnowę starał się zebranym obok siebie ludziom osieckim wyjaśnić, nadmieniając, jako dobra pani wojewodziny, dane jéj czasowo, przechodzą odtąd na króla, daléj — jako zabrania się poddanym w czemkolwiek ulegać jéj rozkazom pod utratą wszelkiego imienia, a nawet gardła, a wreszcie jako z rozkazania króla należy słuchać tylko jego jedynie, pana wojskiego, lub tego, którego on im wskaże.

Dla wiadomości zaś ogólnéj, woźny tę samę treść obwieścil donośnym i wyraźnym głosem w czterech miejscach Osiecka wobec licznéj gromady obojga płci ludzi. Rządcą ustanowiono szlachetnego Piotra Krzemieniewskiego, który był służebnikiem pana wojskiego. Włodarza zachowano przy dawnych obowiązkach, przemianowawszy go na włodarza królewskiego, wszystkim zaś zgoła zalecono ponownie przez usta pana Sobockiego, aby odtąd nikogo, a zwłaszcza pani wojewodziny, jéj małżonka i sług ich nie słuchali, pod karami wyraźnie przez woźnego wymienionemi.

Po skończonéj tym sposobem czynności, poseł królewski wrócił do Warszawy, oddawszy Osiecko w zarząd Krzemieniewskiemu. Atoli nowy rządca długo tam nie popasał, księżna bowiem przysłała niebawem swego sługę, Pawła Samborskiego z ostrzeżeniem, aby się nie śmiał wtrącać do zarządu jéj dóbr dziedzicznych i żeby się natychmiast wynosił, jeżeli nie chce się czego gorszego doczekać. Krzemieniewski wziął te pogróżki bardzo do serca, tak, żemu zbrakło odwagi. Uważał więc za stosowne, porzucić zaraz niebezpieczny posterunek, pójść śladami swego pana i cofnąć się ku Warszawie, zwłaszcza gdy spostrzegł, że to nie przelewki, skoro księżna jednego z kmieci, który panu Sobockiemu oświadczył swą chęć poddania się woli królewskiéj, kazała w kłodę zamknąć i podobno nastawała nawet na to, aby mu rękę ucięto.

VIII.

Po tych pogróżkach, jakie spotkały nowego rządcę królewskiego w Osiecku, po czynnym oporze, jaki mu stawiono, po zniewadze, jakiéj sam poseł doznał, nie pozostawało chyba nic innego, jeno zaniósłszy do akt grodzkich właściwą relacyą o tém, co zaszło, odwołać się do zbrojnéj siły. Ale obowiązek nakazywał w innych jeszcze głównych miejscach zarządu dóbr księżnéj takie same czynić usiłowania, celem objęcia ich w posiadanie. Jakoż po dopełnieniu w Warszawie formalności sądowych, wymaganych przez prawo, po szczegółowém opisaniu w relacyi woźnych tego wszystkiego, co się stało, poseł królewski przystąpił do podobnéj jak w Osiecku czynności i niebawem wyruszył w drogę, tym razem obrawszy za przedmiot swoich działań dobra, leżące z lewéj strony Wisły — Piaseczno, Będków i Goszczyn, jakby w nadziei lepszego skutku pod nieobecność w nich księżnéj wojewodziny.

Anna znika istotnie na chwilę z widowni stawianego królowi oporu, przez co urywa się niejako wątek, wiążący opowieść naszę z jéj osobą. Pierwszą rolę zaczyna odtąd grać Sobocki. Jeżeli nie ma on do czynienia wprost z księżną samą, to w każdym razie z tymi, którzy jéj rozkazom ulegali. Jak zaś spełniano dane przez nią zlecenia, jak pod jéj nieobecność zachowywano się względem powagi wysłańców królewskich, to poniekąd pośrednio do dziejów księżnéj się odnosi. Opowieść zaś o tém o tyle mniéj pominiętą tu być może, ile że w tém postępowaniu jéj urzędników przebijają się niezmiernie ciekawe, a mało znane rysy tła społecznego, na jakiém występuje główna sprawczyni oporu. Byłaby to niedbałość pióra dziejopisarskiego, gdyby nie podniosło nieznanych szczegółów, ukrytych w pyle zapomnienia; byłaby dziwną obojętność czytelnika, gdyby nie chciał poznać na téj ostatniéj kartce odmalowanych dziejów, w których wydatnie występują pewne i tak sympatyczne znamiona dawnéj społeczności naszéj.

W piątek 11 sierpnia w kilka zaledwie dni po pobycie w Osiecku, ukazał się pan wojski Sobocki w miasteczku Piasecznie o trzy mile drogi odległém od Warszawy, w otoczeniu, jak poprzednio woźnych, szlachty świadków i sług swoich. U drzwi dworu folwarcznego, do którego się udał, położonego nieco na ustroniu, spotykają go: rządca księżnéj Matyszowski oraz oficyalista Stanisław Chłapowski i Pełka ze Lwowa. Następuje wymiana nazwisk, wzajemne przedstawienie się, poczém poseł królewski wyłuszcza znane nam już powody swego

posłannictwa, oznajmia treść listów królewskich, wskazuje doniosłość zakładu 30 tysięcy złotych, żąda dopuszczenia do objęcia dóbr księżnéj, następnie woźny donośnym głosem odczytuje brzmienie rozkazu, oraz wadyum królewskiego. Rządca wzdraga się przyjąć od posła podane sobie do ręki listy.

— Pytam się was tedy, mości panowie — odezwie się wreszcie wojski Sobocki, czy po wysłuchaniu rozkazów króla a pana naszego najmiłościwszego, który wam takiemi ostremi grozi karami, puścicie mi wolno one imiona, czyli téż bronić ich zamierzacie?

— Jesteśmy—odpowie Matyszowski i zgodni jego towarzysze — służebnikami wielmożnéj pani wojewodziny, pani naszéj najłaskawszéj i niegodzi nam się dla naszéj uczciwości, a prócz tego sami nie chcemy dóbr tych, które nam są powierzone, ustępować, owszem bronić ich i osłaniać je będziemy, bronimy i osłaniamy według sił naszych.

— W takim razie oświadczam wam, mości panowie, iż z rozkazu królewskiego przepadacie zakład. I po tych słowach ruszył Sobocki, wraz ze swą czeredą do miasteczka, a zatrzymawszy się w domu jednego z rajców, kazał natychmiast urząd miejski do siebie przywołać.

W miasteczku tymczasem zapanował niezwykły popłoch, zwłaszcza między starszyzną. Pan burmistrz się ukrył, panowie rajcy także się pochowali. Więc szukać ich od domu do domu. Ale napróżno, daremnie. Bo jak tylko się woźny na progu ukaże, już pan rajca przez tylne drzwi czmycha do ogrodu.

Na rynku tedy woźny Jakób Mora, obwieszcza z rozkazu posła, aby się pospólstwo miejskie niebawem wraz z urzędną radą zebrało dla wysłuchania rozkazów króla. Uczynili to mieszczankowie i poszli do pana Sobockiego. Ale burmistrz i rajcy z niemi nie przybyli. Pyta ich więc wojski, coby było powodem ich nieobecności?

— Ze dworu tak nam kazano, aby pod najsurowszą karą nikt się nie odważył iść przed oblicze posła królewskiego. Zalecono nam także, żeby posłom nikt nie śmiał żywności przedawać, ani posłowi ani jego służebnikom.

Natychmiast zatém do dworu zapytanie, coby to znaczyć miało? A rządca Matyszowski każe odpowiedzieć, że jemu samemu i czeladzi schodzi na żywności z miasta i nawet koni nie masz czém karmić.

Na czterech rogach rynku miejskiego obwołano rozkazy królewskie z ostrzeżeniem, aby nikt odtąd nie słuchał poleceń wojewodziny podolskiéj lub jéj małżonka, albo rządców ich i oficyalistów, ale jedynie pana Sobockiego, jako posła jego królewskiéj mości, oraz tego, którego on ekonomem ustanowi. Ponieważ zaś nikt piśmiennego

rozkazu królewskiego, przyjąć nie chciał, przybito takowy na drzwiach domu jednego z przedniejszych, jak się zdawało, rajców.

Po dopełnieniu tych czynności, po zamianowaniu rządcą szlachetnego Jakóba Samockiego, pan wojski wraz ze swojém otoczeniem, nie chcąc się dać morzyć głodem, zboczył z Piaseczna na nocleg do niedalekiéj wsi królewskiéj Jeziory.

A tu za nimi nazajutrz w ich tropy pędzi Samocki po krótkotrwałych swych rządach, zdaje sprawę z tego, jakiego w Piasecznie doznał „traktamentu“. Nie było co jeść — powiada — nikt kawałka chleba użyczyć nie chciał, z gospody wyrzucili, a na domiar biédy, jeszcze największy, jaki szlachcicowi wyrządzić można, despekt go spotkał — jacyś psotnicy koniowi ogon obcięli, uzdę zdjeli i konia na wolność puścili. Listy królewskie na drzwiach przybite w kawałki poszarpano. —

W Będkowie znów inna scena.

Do Będkowa leżącego opodal Piaseczna w powiecie grodzickim, czyli obecnie grójeckim, przybył poseł królewski wprost z Jeziory, gdzie nocleg odbył — w sobotę 11 sierpnia. Kiedy się zwolna zbliżał do bramy zameczku, który jak wiadomo był niegdyś ulubionėm miejscem pobytu książąt mazowieckich, spostrzegł na dziedzińcu rojny tłum ludu wiejskiego w zbrojnéj postawie. Ten z kosą, ów z mieczem przy boku, jedni mają cepy, inni długie kopie, owi znów łuki, ci kije, tamci rusznice. Więc kazał przystanąć.

Z bramy wychodzi na spotkanie ksiądz w sutannie w towarzystwie dwóch szlachty. Był to pleban z Goszczyna, przyległego tuż miasteczka, a zwał się Benedykt Dzierżanowski. Oświadczył na pierwszym wstępie, że jest rządcą pani wojewodziny i zaraz pyta o powód przybycia.

Więc jak w Piasecznie, zaczyna swój długi wykład pan Sobocki, objaśnia cel swego przyjazdu, woźny zaś listy królewskie odczytuje, zakład obwieszcza. Ale ksiądz pleban, aż nadto dobrze o wszystkiém powiadomiony, nie czekając zbyt długo, temi odezwie się słowy:

— Ja tam o tych waszych listach i zakładach niczego wiedziéć nie chcę. Oświecona księżna, moja pani, oddawna mnie rządcą ustanowiszy, dobra swoje całkowicie mi tu powierzyła. W ciężkich opałach, w jakich się księżna dziś znajduje, ja tam dla tych waszych postrachów i pogrózek, dóbr jéj nie opuszczę, ani ich zdradziecko wydam, bo uwłaczałoby to czci mojéj, gdybym postąpił inaczéj. Jeżeliby mi nawet przyszło życiem przypłacić, to wam powiadam, że i dóbr tych nie ustąpię i nie dopuszczę, żeby ktokolwiek miał je brać w posiadanie.

Pan Sobocki perswadował, nakłaniał, ale bezskutecznie. Ksiądz pleban jak rzekł, tak stał przy swojém mocno — jak mur. Więc go prosić, żeby przynajmniéj kazał gromadzie ludzi, co stała na dziedzińcu, przyjść tu, do posła królewskiego, albo pozwolił jemu samemu pójść do nich, bo ma im coś ważnego oświadczyć w imieniu króla jegomości.

— Ani jedno, ani drugie — odpowié na to proboszcz stanowczo.

— Więc może tam woźnego puścicie?

— I tego także nie.

Rozmowa się skończyła. Ksiądz ze świadkami się cofnął. Wrota za nim zatarasowano. Poseł z woźnymi i szlachtą został za bramą.

Położenie wielce niemiłe.

Jakże się teraz dostać do gromady, żeby jéj rozkazy królewskie obwieścić? Płot odgradza gęsty, jak częstokół, a wysoki jak mur zamkowy.

Rada w radę. Aż nareszcie po pewnym namyśle, z polecenia pana Sobockiego woźny Radwankowski dosiada konia, wspina się na płot, wyciąga szyję, żeby być słyszanym przez ludzi, będących na dziedzińcu i w pospolitym języku, czyli po polsku, ogłasza im, aby nikogo innego nie słuchali, jeno posła króla jegomości, pana Sobockiego, a następnie od słowa do słowa powtarza znowu osnowę listów i rozkazów.

Potém na czterech rogach wioski inny woźny ponownie w téj saméj treści obwieścił mandaty królewskie, które, skoro ksiądz pleban przyjąć ich nie chciał, przybito na froncie, rządcą zaś ustanowiono szlachetnego Mikołaja Krakowieńskiego, o czém znów przez płot podano do wiadomości wiejskiego tłumu. Po dokonaniu téj pracowitéj czynności, wykonawcy poruczeń królewskich, porzucili wioskę i udali się do przyległéj tuż mieściny Goszczyna, która jedno stanowiła z dworem będkowskim. Zaledwie się tam jako tako rozgościli, aż tu za nimi pędem przybywa Krakowieński z oświadczeniem, że już ustąpił ze swego stanowiska, ale nie z dobréj woli, tylko pod groźbą, bo przyszedł do niego ksiądz pleban, wraz ze swoimi.

— Idź stąd—rzecze mu—niecnoto, uciekaj, bo ja tego nie ścierpię, aby ciebie tu kto słuchał, ani pozwolę, żebyś się tu do czego wtrącał. Ruszaj więc w pokoju, jeśli nie chcesz, żeby ci się coś gorszego nie trafiło.

Ponieważ miało się już tego dnia ku wieczorowi, więc się w Goszczynie na noc wszyscy rozlokowali, chociaż i tam nie było zbyt wygodnie, bo z polecenia proboszcza podobnież wszelkiéj w miasteczku żywności odmawiano.

Nazajutrz, a był to dzień niedzielny, zwołano burmistrza, rajców i gmin miejski, którzy się powolniejszymi niż w Piasecznie okazali. Stawili się przed oblicze wysłańca królewskiego natychmiast wszyscy, wysłuchali ze czcią należytą rozkazów i doręczone im przez pana Sobockiego listy przyjęli. Ale kiedy im zalecono, aby sami kazali obwieścić mandaty króla jegomości na czterech rogach rynku miejskiego, oświadczyli w pokorze, że zgoła nie mają pachołków. Więc rad nierad dopełnił tego woźny Radwankowski. Po wysłuchaniu zaś ogłoszeń, znów się do posła zeszli i taką rzecz do niego uczynili:

— Mości panie pośle! Chętniebyśmy we wszystkiém poddali się rozkazom jegomości króla, gdyby nam tylko dwór tego nie bronił. Ale jak my tamtych nie usłuchamy, co we dworze rządzą, to nas zniewolą kaźnią, kłodą i innemi uciążliwościami. Bo i tak już przeciwko zwyczajowi i prawu wycisnęli na nas przed czasem czynsze i wszystkie daniny, zabrali nam woły, konie, krowy i resztę wszystkiego bydła. Więc kogóż my w końcu słuchać mamy, kiedy tego rządcę, co to waszmość go ustanowiłeś, zaraz wypędzono? Gdyby król jegomość przysłał nam tu silniejszego jako zwierzchnika, to co innego, takiegobyśmy słuchali.

A na to, jakby na potwierdzenie słów mieszczan, odezwie się przytomny tam Aron Bylina Suski ze dworu, jeden z towarzyszy księdza plebana:

— Widzę, że mierzi wam życie i światło dzienne.

Po téj krótkiéj, cierpkiéj, lecz jasnéj uwadze, która mieszczankom strachu mogła napędzić nie mało, jakoś ich poseł królewski ośmielił:

— Bądźcie spokojni — rzekł do nich — jeżeli wam się stanie jaka krzywda, albo jeżeli wam nieprawnie co odbiorą, zapiszcie to sobie. Niebawem król jegomość to sprawi, że ciężką karę odniosą ci gwałciele i zmusi ich, iż sami szkody wam wynagrodzą.

IX.

Po drugiéj stronie Wisły, w miasteczkach Garwolinie, Latowiczu i Liwie, dokąd się w dalszym nieprzerwanym ciągu czynności udał sprężysty wykonawca poleceń królewskich, uwydatnił się ten sam jednomyślny, zgodny opór mieszkańców. Wszędzie rozlegały się jednakie woźnych głosy, te same słychać było wezwania Sobockiego, wszędzie jednakową odbierano odpowiedź.

W Garwolinie rządca księżnéj, Kotarski, oświadczył zaraz na

wstępie, że z dóbr nie ustąpi, bo wiernym jest sługą swojéj pani. A burmistrz wraz z rajcami śmiało także mówi Sobockiemu:

— My znamy tylko oświeconą księżnę, naszę panią i dziedziczkę, jéj poddanymi jesteśmy i zostać pragniemy. O królu nic nie wiemy i waszych listów brać nie chcemy. Róbcie sobie z niemi, co wam się tylko podoba.

Kiedy im nowego rządcę przedstawiono w osobie szlachetnego Jana Parulewskiego, wręcz powiedzieli: Bierzcie go sobie, bo tu go nikt nie usłucha.

— My tu — mówili burmistrz i rajcy w Latowiczu, a było to w dzień Matki Boskiéj 15-go sierpnia, — nie znamy króla waszego, naszą panią i dziedziczką jest oświecona księżna mazowiecka— i koniec.

Dotknięty do żywego tém szorstkiém wyznaniem latowickiego urzędu, Sobocki pogroził mu gardłem, na co taką otrzymał natychmiast odpowiedź:

— A no—to już mi wszystko jedno, czy od króla głowę stracę, czy od księżny, kiedy ją zdradzę.

Na zakończenie wreszcie, bo to już ostania była czynność, w Liwie nazajutrz po święcie, jeszcze nowa a niespodziewana zniewaga spotkało posła, na którą on najmniéj był przygotowanym, ile że obok miasteczka w zamku grododzierzca siedział, który miał w swym ręku władzę miecza, i którą w imieniu króla Zygmunta sprawował.

Przed pierwszym mostem zwodzonym, co prowadził do bramy zamkowéj, spotyka urzędno-sądowych przybyszów rządca Arciechowski w licznym poczcie husarzy, zbrojnych pachołków i po wysłuchaniu głośno obwieszczonego zakładu:

— Waszych zakładów — rzecze — i waszych postrachów się nie boję. Jestem sługą oświeconéj pani księżnéj mazowieckiéj, mojéj najmiłościwszéj pani i dlatego imion jéj nie ustąpię i bronić ich będę, póki sił stanie, póki sama tego żądać będzie. Jeżeli zakład przepadnę, a król mnie dobra moje zabierze, to mój pan najłaskawszy wdwakroć mi to wynagrodzi.

A stojący obok husarz Brujnowski:

— Czego z nim gadasz — doda — po co się przed nim składasz, pójdźmy stąd.

I poszli wnet i bramę zamkową za sobą zatrzasnęli.

Więc poseł królewski idzie do burmistrza.

W domu go nie masz. Podobno pan Jan Truchoń, bo tak się zwał pierwszy między rajcami w mieście Liwie, poszedł na ratusz. Po niego przeto posyłać woźnych, żeby zaraz z rajcami przyszedł.

A woźnych nie puszczają raz, drugi. Daremne ich wyczekiwanie. Nareszcie rada miejska wychodzi z ratusza, panowie rajcy dosiadają koni i daléjże do gościńca opodal, czyli do austeryi.

Nuż tedy pytać pani Truchoniowéj, czemu to mąż jéj tak ucieka przed obliczem posła królewskiego, czemu się tak kryje?

A tu burmistrzowa, jak w złość wpadnie, jak rozpuści język, jak zacznie dobierać bezwstydnych wyrazów:

— Łżesz—krzyknie na Sobockiego — czemu on miał przed tobą uciekać? On dawno na Ruś poszedł.

I na ponowne zapytania posła królewskiego, trzykroć tak z wrzaskiem powtarzała.

Pan wojski, pomny poruczonego sobie obowiązku, mając na względzie czas, miejsce, oraz okoliczności, aczkolwiek zuchwałością baby był mocno dotknięty, zapanował jednak nad swoim gniewem, i tylko temi odciął się słowy:

— Przyjdzie czas, że odpokutujesz ciężko za te zniewagi.

Na czterech rogach rynku woźny Radwankowski odczytał mandaty królewskie, ale wśród zebranego tłumu taki powstał zgiełk, taka wrzawa, taki huk, że ledwie sam siebie słyszał. Sypnęły się zewsząd na niego, oraz na króla obelgi, takie rozlegały się słowa, że, jak sam to w aktach grodzkich zeznaje, przyzwoitość powtórzyć ich nie pozwala. Szczególniéj odznaczała się straganiarską wymową niejaka Kowisarska. Ta już najnieuczciwsze miotała przeciwko królowi wyrazy.

Przybito wreszcie listy na drzwiach domu burmistrza i ustanowiono rządcą w mieście Samockiego, tego samego, który z Piaseczna był umknął na koniu bez ogona, zaleciwszy najsurowiéj zgromadzonemu tłumowi, aby jego tylko odtąd słuchali. Ale zaledwie pan Sobocki skończył swe krótkie przemówienie na rynku, aliści zerwie się gwałtowny hałas i krzyk piekielny, nad którym znów zapanowała wściekłym swym głosem pani burmistrzowa, wołając wraz z innymi:

— Wprzód my ciebie zabijemy i twego rządcę, nim go tu kto usłucha.

Pomimo tych głośnych pogróżek, Samocki na miejscu pozostać musiał. Poseł zaś wyruszył z miasteczka. Pospólstwo za nim, tłuszcza obok niego. Ci podnoszą ręce, owi odgrażają się i krzyczą:

— My was tu znamy, już tu drugi raz w tych żółtych kabatach od króla przybywacie! Przyjdźcie ponownie, to cało nie ujdziecie.

Pan Sobocki jak mógł, tak panował nad sobą i cierpliwie te

obelgi znosił, aż nareszcie spokojniéj odetchnął, kiedy się dostał na nocleg do wsi królewskiéj, Kamionki, leżącéj przy drodze do Warszawy.

Tylko Samocki pozostawiony w Liwie spoczynku nie użył. Ledwie poseł królewski opuścił miasteczko, aż tu wnet od Arciechowskiego przychodzi doń podpisek z zamku i pyta:

— Coś ty za acz i skądeś się wziął?

— Rządcą króla jmości jestem — odpowié Samocki na to natarczywe pytanie.

— Wynoś się stąd i idź skądeś przyszedł, bo cię sami wyniesiemy tam, gdziebyś być nie chciał.

Więc nie wiele myśląc, za tą naglącą radą podpiska pójść postanowił.

Jeszcze poseł w Kamionce na popasie bawił, aliści Samocki, nie mało zmieszany powtórném swém niepowodzeniem nadbiegł i osobiście o tém, co ostatnio w Liwie zaszło, zdał mu sprawę.

Skończyła się misya Sobockiego.

Może się tu o niéj zbytecznie tak drobiazgowo rozpisało pióro, podnosząc ulotne pyłki, rozciągając nad miarę szary wątek opowieści o zajściach, jakie się wielekroć przy podobnych czynnościach sądodowych przytrafiały, lub przytrafiać mogły. Ale dziejopisowi i takiemi szczegółami, jak się zdaje, gardzić nie przystoi, choćby ze względu na czas i okoliczności tych zdarzeń. Trzeba niekiedy z wysokości szerokiego życia politycznego zstąpić na poziomy spraw codziennych i uchylić zasłony, która tak szczelnie pokrywa dawne nasze tło społeczne. Nie z pajęczéj przędzy wyobraźni wysnuły się szczegóły, które były wyżéj podane. Wzięło się je żywcem z wiarogodnych zeznań posła królewskiego i woźnych. Więc rzeczywistość się w nich odbiła, niczém nie zabarwiona w swéj nagiéj prawdzie, przynajmniéj nie za przyczynieniem ręki obecnie piszącego. A jakież z nich jasne tryskają promienie, oświecając tło społeczne. Warto niektóre rysy ogólnéj natury podnieść i zebrać w wydatniejszą całość.

Sobocki — to wierny obraz wykonawcy poruczeń królewskich. Wysokiéj władzy zlecenia spełnia on szybko i niestrudzenie. W ciągu dni dziesięciu z dwoma powrotami do Warszawy objechał dobra księżnéj, rozrzucone na długiéj łamiącéj się linii. Wytrawny jak dyplomata, nie poddaje się uniesieniu. Trzyma się w równowadze, pomimo obelg słownych i nigdzie gwałtowniejszego nie wywołuje starcia. Wykonywa swój trudny obowiązek, jak przystało na przedstawiciela porządku prawnego.

Słudzy księżnéj, jéj oficyaliści i rządcy, urzędy w miasteczkach jéj podwładnych—to inny obraz, ale także o typowych rysach, których wyraz mieści się również w słowie — obowiązek. Uczucie wierności, szczere, głębokie i niezachwiane wszędzie z wyjątkiem Goszczyna, jak w karném wojsku, które nie rozumując, ślepo, zgodnie wykonywa polecenia wodza i broni do upadłego powierzonéj sobie chorągwi.

Objawy gorącego uczucia przywiązania do pani i księżnéj mazowieckiéj, wykarmionego w ciągu wieków w szeregu pokoleń starych sług, sięgają niekiedy szczytów tragicznego patosu. Ów ksiądz pleban z Goszczyna za płotem, na czele wiejskiéj zbrojnéj gromady, to jakby ów bohatér nieśmiertelnego wieszcza, albo owi kmiotkowie z Osiecka, owi mieszczankowie z Będkowa, Garwolina i innych, co to w żadne nie wdając się rozumowania, trzymają się niewzruszenie swojéj zwierzchności. Gminność, rubaszność, gburowatość miałomiasteczkowych „łyków“ towarzyszy objawom tego uczucia, i razić może wobec zachowania się dworzanina posła, ale nie dziwić się, boć przecież polor z komnat zamkowych królowéj Bony jeszcze się nie mógł dostać do chat buńczucznych, szorstkich, bo bitnych Mazurów.

Obowiązek z jednéj, obowiązek z drugiéj strony, spełniany z pochwały godną ścisłością, wywoływał jednak starcie, za którego odpowiedzialność moralna spadała na tych, co swym podwładnym wydawali rozkazy.

Taką na siebie ściągnęła księżna Anna.

Z niejaką pociechą spoglądać ona mogła na tę rzeszę swoich podwładnych, którzy życie za nią położyć byli gotowi i otuchę stąd brać do dalszego oporu woli królewskiéj, jak się to stało w podobnym wypadku na szerszéj widowni przed dziesięciu laty podczas sejmu warszawskiego, gdy szlachta mazowiecka gorącém się za nią oświadczeniem, popchnęła do sięgnięcia po władzę, — ale trwałego zwycięstwa oprzéć było niepodobna na wątłéj podstawie wrzekomego prawa.

Opór stawiony przez księżnę i z jéj polecenia przy zamierzoném objęciu jéj dóbr w posiadanie, prowadził za sobą następstwa z góry przewidziane i w listach królewskich ściśle określone.

Księżna Anna wraz z mężem, wojewodą podolskim, „przepadała“, mówiąc ówczesnym językiem, zakład 30 tysięcy złotych, a nadto oboje stawali się winni zbrodni obrażonego majestatu.

Więc nowe i większe jeszcze powikłanie.

Było ono niemniéj kłopotliwém dla samego króla Zygmunta, któremu poseł zapewne wkrótce zdał osobiście sprawę ze swéj bez-

skutecznéj czynności. Ostre starcie z wojewodziną-księżną przypadło na czas dla niego bardzo ciężki. Mnożyły się trudności domowe, wzrastał nierząd i swawola szlachty, zasępiały się widoki. Od południo-wschodu nadciągała groźna chmura, Tatarzyn niszczył i łupił bezkarnie Pokucie, Wołoszyn głowę podnosił, Turczyn stał za nim. Zakon niemiecki sięgał po księstwo pruskie, a tu królowi zdrowie nie dopisuje. Od trzech już prawie lat z małą przerwą, nie ruszając się z miejsca, bawi on ze swym dworem w Wilnie. Skarży się na ogólną niemoc ciała, na brzemię podeszłego wieku, a głównie dokucza mu ból w nodze, podagra. Sejm oddawna już zapowiedziany ma się odbyć w Krakowie późną jesienią na początku listopada. Królowi ciężko się puszczać w daleką podróż. Dla dogodności dworu, dla większych swych wygód ustępuje nawet od zwyczaju—sejmowania w Piotrkowie i miejsce obrad przenosi do Krakowa. Gdy więc czas już niedaleki, spór z Anną i Odrowążem odkłada do sejmu jesiennego, aby tam pod powagą senatu i posłów rozstrzygnąć zarówno sprawę objęcia dóbr ich w posiadanie, jak i sprawę o zbrodnię obrażonego majestatu.

Wydano pozwy. Księżna Anna i wojewoda małżonek nie omieszkali się stawić w Krakowie. Zagajono sejm, jeden z tych przewlekłych, któryby długim nazwać można, bo trwał od listopada (1536) do początku marca (1537 r.), sto ośm dni się ciągnął, a który to rozniecił zarzewie, jakie wkrótce buchnęło płomieniem anarchii pod Lwowem podczas kokoszéj wojny. Jedną z tych iskier, co tlejącą głownię rozżarzyły, stała się sprawa księżnéj mazowieckiéj i Odrowąża, która z cichego zameczku w Osiecku wypłynęła teraz na burzliwe morze życia politycznego. Niestety, brak szczegółów jéj przebiegu, których w ogóle poskąpiło nam co do całego sejmu ówczesne dziejopisarstwo, nie pozwala tu roztoczyć szerokiego obrazu dramatycznych powikłań. Sąd sejmowy, tyle tylko wiadomo, był złożony. Odrowąż za obrazę majestatu królewskiego został wyzuty ze starostwa lwowskiego, którego dożywotnie posiadanie miał sobie dawniéj zapewnione. Również ze samborskiego musiał ustąpić, które trzymał w zastawie, a które wykupić postanowiła na rzecz swoję królowa Bona. Prócz tego oddalono wszystkie Anny księżnéj oraz jego uroszczenia do dóbr danych jéj na czas pozostawania w stanie panieńskim, podobnież uchylono wszelkie żądania małżonków, aby im zwrócono równoważną ich wartość pieniężną i wynagrodzono za przypadającą im prawnie puściznę. Przed sądem błagał o łaskę Odrowąż, błagała księżna do nóg królowi i królowéj rzucili się oboje—daremnie. Niektórzy panowie z senatu przyczyniali się za nimi. Jego postąpienie usprawiedliwiali młodym wiekiem, księżnéj zachowanie słabo-

ścią płci i brakiem poważnéj rady. Ale prośby i łzy nie wzruszały Zygmunta, a szczególniéj twardéj i nieugiętéj Bony, która wyciągała swą chciwą rękę, aby zagarnąć wielkie starostwo samborskie, do którego wykupienia niebawem przystąpiono.

Już miesiąc po skończonym sejmie, ten sam, co dawniéj, wojski Sobocki w imieniu króla odbierał bez żadnego oporu także dobra księżnéj na Mazowszu.

Podobna surowość wyroku, który mógł być przez króla złagodzony, rzuciła ziarno głębokiéj przeciwko niemu i królowéj niechęci w umysły nietylko posłów stanu rycerskiego, ale i tych panów, co sami Odrowąża swym sądem potępili, tak iż jakoby odtąd gwałtownie w całym kraju nurtować poczęły prądy, które jak wezbrane fale powodzi rozlały się szeroko w postaci jawnego rokoszu pod Lwowem.

Że tak poniekąd było, nie ulega wątpliwości, ale żeby krzywda Odrowąża stała się istotnie ową silną sprężyną ruchu anarchicznego,— nie sądzę. Dolała ona wprawdzie nieco oliwy do ognia, który oddawna tlał w zarzewiu, lecz pożogi nie wznieciła. Rozdmuchiwała szlachta tę sprawę podczas rokoszu lwowskiego, jednak sam wojewoda podolski uśmierzał pod tym względem rozognione umysły, nie kładąc jéj między rzeczy publiczne. „Moja klęska osobista, — rzekł Odrowąż w swém krótkiém przemówieniu, — mieć będzie taki koniec, aki jéj Bóg przeznaczy.“

I w tych pięknych obywatelskich słowach, zdaje się, jakby się odezwał głos chrześciańskiéj pokory księżnéj mazowieckiéj, która spór swój z królem polskim innéj, wyższéj, nie ziemskiéj sprawiedliwości oddała pod rozsądzenie.

Na zamku w Jarosławiu spędziła resztę swego skołatanego żywota ostatnia dziedziczka Piastów, zdala od rodzinnéj ziemi mazowieckiéj.

Tam nie dolatywał jéj uszu łoskot walących się pod siekierą prastarych dębów w osieckich borach, które zarząd królewski niemiłosiernie trzebić zaczął.

Wśród smutnych wspomnień przeszłości, źródłem pociechy macierzyńskiéj stała się urodzona około 1540 roku Zosia, która imieniem swém miała przypominać starszą siostrę księżnéj, wdowę po wojewodzie węgierskim, ta bowiem powtórnie weszła w związki, poślubiwszy węgierskiego magnata, Ludwika Pekri, jeszcze gorzéj niż pierwszy mąż, Stefan Batory, przez cierpki los prześladowanego. Na usychającéj gałęzi pnia mazowieckiego tylko ta jedna wyrosła latorośl. Po księżnie Zofii w Węgrzech podobnież jedna tylko pozostała córeczka Anna i ta w kwiecie wieku, około 1543 r., zeszła z tego świata.

Tak gasną często wielkie rody, tak usycha, wątleje w nich odżywcza siła i przepada jak liche nasienie w jałowym piasku.

Księżna Anna, któréj mąż pogodził się prędko z losem i nawet po upływie pewnego czasu stanął stopniem wyżéj, zostawszy wojewodą ziem ruskich, znika z widowni w początkach 1547 r., w dwa lata po zgonie swego małżonka.

Zofia Odrowążówna, jéj córka, wcześnie została sierotą. O niéj, jako nie mającéj ojca i matki, znajduje się w aktach r. 1547 i 1549 pobieżna wzmianka. Będąc sierotą, jak niegdy księżna-matka, wyszła jesienią 1555 r. za mąż za Jana Krzysztofa Tarnowskiego, późniejszego kasztelana wojnickiego. Po kilku latach została wdową. Odziedziczyła piastowskich córek gorącą wiarę i głębokie uczucie pobożności. „Tak świątobliwie żywot swój wiodła, — powiada współczesny jéj Bartosz Paprocki, — że dlatego mogła być równana do owych wdów, które Pismo świętemi zowie. Była to matka wszystkich sierot i innych ludzi, którzy ratunku potrzebowali, wielka zapomożycielka, wielu ubogich panienek tak ślacheckiego, jak i inszego stanu w małżeńskie stany rozdała, posagi po nich dawała i dóbr swoich ojczystych udzielała. — Taż — pisze tenże dziejopis, — dla wielkich cnót, a świątobliwych spraw i żywota, od króla Augusta była żądaną do stanu małżeńskiego, chcąc jéj i to nagrodzić, aby była uczestniczką dziadowizny swéj, albo babizny, z któréj była od jego przodków ogołocona. Ale ona to wszystko wzgardzając, jako pani bogobojna, dla słusznych przyczyn z tego się królowi i jego posłom wymówiła.“ Wyszła atoli, jak wiadomo, powtórnie za mąż za Jana Kostkę, wojewodę sandomirskiego [1]).

Więc płochy w miłości, choć wielkiego serca, król Zygmunt August, pragnął daremnie spoić ród jagielloński z drobnym listkiem piastowskim, który pozostał po Annie, ostatniéj księżnie mazowieckiéj.

A. Pawiński.

---

[1]) Portret jéj znajduje się w galeryi wilanowskiéj. Zob. „Album Wilanowskie“ wyd. Gersona i Skimborowicza.

OBJAŚNIENIA.

Rozdział I-szy. Rok wyjścia zamąż księżnéj Zofii błędnie podawany przez różnych historyków, da się ustalić na podstawie listu króla Zygmunta z dn. 14 grudnia 1522 r., pisanego do książąt Stanisława i Janusza (*Acta Tomiciana*, VI, str. 164), gdzie jest wzmianka o tém, iż księżna narzeczona ma być wkrótce odprowadzoną na Węgry do swego przyszłego małżonka.

Rozdział II-gi. Testament Janusza z dn. 4 marca 1526 r. w ks. Metr. 41, str. 109, p. n. *Donatio ducalis certe summe pecuniarum super toto ducatu il-me domine principi Anne sorori charissime.* Daty chronologiczne ustalone na podstawie księgi powyższéj metrycznéj z czasów Janusza, tudzież ówczesnych ksiąg sądowych ziemskich i grodzkich warszawskich, N. 14 i następne. Za źródło do dalszych wiadomości posłużyła ks. Metr. 41, w któréj na kilkudziesięciu kartkach mieszczą się czynności z czasu rządów księżnéj Anny.

Rozdział III-ci. Opiera się głównie na relacyi posłów królewskich w *Acta Tom.*, VIII, str. 174 i n., oraz na innych aktach, które się mieszczą w pomienionym zbiorze.

Rozdział IV-ty. W dalszym ciągu zebrano wiadomości z akt sądowych łomżyńskich, zakroczymskich i warszawskich. Ważniejsze z tych dokumentów ukażą się w osobném dziele.

Rozdział V-ty. Akta odnoszące się do uposażenia księżnéj Anny w Metr. 40, fol. 376 i n., oraz spłacania długów przez króla Zygmunta. — Uroczysty pogrzéb Janusza odbył się wspólnym, jak się zdaje, kosztem króla i księżnéj Anny. Księżna siostra pożyczyła w tym celu 400 kóp gr. od szlachty Drwalewskich i synów Pawła Zawiszy z Budziszyna, którym król w następnym roku 1527 dał w zastaw, aż do umorzenia tego długu wieś Goździec (M. 40, f. 612).

Rozdział VI-ty. Z roku 1533-go znajduje się dokument w Metr. 69, f. 65, potwierdzony przez króla Zygmunta, wydany w Garwolinie przez księżnę z tytułem: *Anna virgo dei gracia dux Masovie Russie*, — a zawierający uposażenie dla księdza przy kaplicy św. Anny w Garwolinie. Akt pisany po łacinie, podpis zaś brzmi po polsku w następującym kształcie: „Anna xsiażna własną ręką.“ — Z roku 1532-go (Ks. Liw. 6, f. 26) jest akt darowizny jednéj włóki pustéj na rzecz szpitala w Liwie i na zbudowanie domu dla księdza szpitalnego.

Stanisław ze Sprowy Odrowąż, wojewoda podolski, mąż Anny, księżnéj mazowieckiéj, następnie wojewoda ziem ruskich, dał powód

do licznych błędów w dziełach zarówno heraldycznych, jak i historycznych. Wydawcy „Listów Hozyusza“ (T. II, str. 632, przyp. 1) nazywają go Andrzejem przez oczywiste niedopatrzenie. Inni znów plączą ustawicznie małżonka księżnéj z drugim Stanisławem ze Sprowy Odrowążem, także wojewodą, który żył w tym samym czasie. Wydawcy „Akt grodzkich i ziemskich lwowskich“ (T. X, str. 519), nie odróżniając obu Stanisławów, łączą ich w jednę osobę. To samo uczynił już dawniéj Niesiecki. A jednak nie podpada żadnéj wątpliwości, że w jednym i tym samym czasie było dwóch Stanisławów Odrowążów i obaj godności wojewodów piastowali. Akt z roku 1539 (Metr. kor. 58, f. 68) najlepiéj o tém przekonywa. Jednocześnie w nim występują Odrowążowie:

A) Stanisław ze Sprowy, wojewoda podolski.	**B**) Stanisław ze Sprowy, wojewoda ziem ruskich, star. opoczyński.

Pierwszy z nich, który stanowi przedmiot naszéj opowieści, jest właśnie mężem księżnéj Anny, drugi zaś jest jego stryjem lub stryjecznym bratem. Pierwszy, będąc znacznie młodszym od drugiego, stanął z nim na jednym niemal szczeblu godności w hierarchii dostojników, dzięki swym stosunkom. Zestawienie niektórych dat w życiu jednego i drugiego najlepiéj uwidoczni różnicę, jaka w rozwoju ich życia i działalności zachodziła:

A. (mąż Anny, ks. maz.).	**B**. 1502 r. (M. 19, f. 62) Stan. i Jan, star. opoczyń.
	1504. (M. 19, f. 158) Stan. i Jan, star. opoczyń.
	1511. (Metr. 25, f. 52) Stanisław ze Sprowy, *kasztelan żarnowski*, star. opoczyński.
1527 Mart. 7. *Stan. ze Sprowy, syn Jana, wojewody ruskiego* i *star. samb.* kwituje kanclerza, tudzież podskarbiego Szydłowieckich z opieki (*adultus factus*), oraz z zarządu spadku testamentowego po babce, Beacie Tęczyńskiéj. Nadto, siostry Beatę i Jadwigę nieletnie przy zamąż pójściu, lub przy dojściu	1527. (Metr. 42, f. 237), kasztelan *biecki*.

do pełnoletności, zobowiązuje się do takiegoż pokwitowania przywieść (Metr. 40, f. 426).	
1530. St. na Jarosławiu, dziedzic, star. samborski i zinkowski (Metr. 45, f. 488).	1530. St. ze Sprowy Odrowąż, kasztelan *wiślicki*, star. opoczyński, świadek (Metr. 45, f. 488).
1530. St. na Jarosławiu i Zinkowie, dziedzic (dypl. Arch. Gł., nr. 1531).	
1530 Dec. 20. Krak. Metr. 45, f. 585, oprawia posag żony swéj Katarzyny, córki Łukasza z Górki, kasztelana poznańskiego.	
1531 Apr. 28. (M. 45, f. 759). Dożywotnie posiadanie star. samborsk. zapewnione Stan. Odrowążowi przez króla Zygmunta.	
1533. Krak. Apr. 7. Metr. 48, f. 815, zostaje *kasztelanem lwowskim* Stan. Odr. de Sprowa *capit. Sandomiriensis* (zam. *Samboriensis*. Jest-to oczywista pomyłka).	1533. Metr. 48, f. 1131. Stan. de Sprowa, *kaszt. wiślicki*, starosta i dzierżawca opoczyński.
1534 Aug. 17. (M. 49, f. 148). St. Odrowąż otrzymuje od króla *starostwo lwowskie*.	
1535 Octobr. 25. Metr. 51, f. 140, mianowany *wojewodą podolskim*.	Stan. ze Spr. Odr. mianowany *wojewodą bełzkim*. (Tamże jednocześnie).
1537 Apr. M. 54, f. 23, *wojew. podolski*, pozbawiony starostw sambor. i lwowskiego, pisze się hrabią na Jarosławiu.	
1538 Apr. M. 54, f. 326. Zobopólny zapis dożywocia.	
1539. — *wojewoda podolski*.	Stan. ze Spr., *wojewoda ziem rusk.*, i star. opoczyński.

1540 Apr. I. Crac. M. 61, f. 254, wojew. pod., hrabia na Jarosławiu, do herbu Odrowążów za zgodą króla przyjmuje swego nauczyciela, Andrzeja Falka.	
1543 — występuje jako *wojewoda ruski.*	Umarł około tego czasu.
1545 w początkach marca lub kwietnia umarł (Metr. 70, f. 11), po nim, jako po zmarłym, postępuje na województwo ruskie Piotr z Dąbrowy, w-da lubelski.	

Z powyższego płynie niezbity dowód, iż jednocześnie istnieli dwaj Stanisławowie Odrowążowie. Pierwszy (A) z nich, mąż księżny Anny, jest panem na Jarosławiu, które to dobra odziedziczył po matce, drugi (B) z linii opoczyńskich starostów, używany był często przez Zygmunta do różnych poselstw zagranicznych.

Stosunki rodowe Stanisława (A) Odrowąża tak się przedstawiają na podstawie świadectw, które się mieszczą w Metryce koronnéj:

Jan Odrowąż, wojewoda ruski, nie żyje już w 1493 r.
żona Beata Tęczyńska

Jan Odrowąż, wojewoda ruski, star. samborski, † 1513 r.
żona Anna, córka Spytka z Jarosławia

Stanisław, star. sambor. i zink. żona Anna, księżna mazowiecka, † 1545 r. — siostra Beata-Jadwiga, mąż Stan. Łaski, wojewoda sieradzki

Rozdział VII-my. Pozwy, mandaty, listy królewskie, oprawa posagu, poręczenia, wadya relacye woźnych i t. d. w księgach sądowych warsz., N. 18, f. 6, 18, 960, 1013.

Rozdział IX-ty. *Vita Petri Kmithae ed Dobrom.*, 1611, str. 291. *Conciones* co do rokoszu pod Lwowem, 1537 r.—Objęcie w posiadanie zamku liwskiego przez Sobockiego nastąpiło w d. 5 kwietnia 1537 r.,

jak świadczy akt spisany w tym przedmiocie przed urzędem grodzkim (Ks. Liw. 6, f. 135).

O córce Zofii węgierskiéj, Annie, jako zmarłéj, wspomina akt z r. 1543 pod dn. 11 marca (Metr. 65, f. 45), w którym księżna Anna męża swego, Stanisława Odrowąża, wojewodę ziem ruskich, do wszystkich praw spadkowych po swéj siostrzenicy przypuszcza.

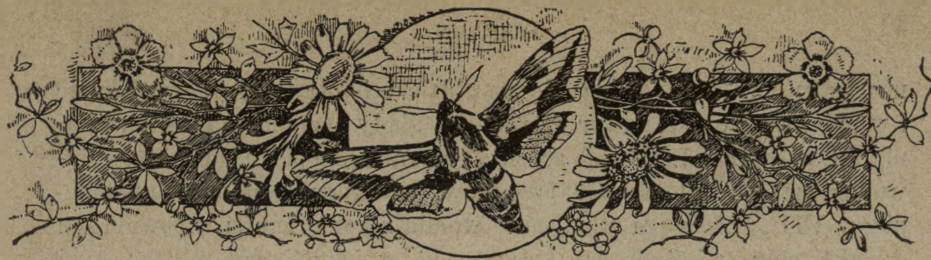
Ostatni ślad księżnéj Anny, jako dowód jéj istnienia, odnosi się do r. 1547, kiedy u króla Zygmunta w Krakowie wyjednała pod dniem 22 marca przywiléj na jarmak w mieście swojém, Jarosławiu (Metr. 74, f. 413).

Wzmianki o córce jéj Zofii w 1547 i 1549 r. *Zophia de Sprowa ol. pal. Russie filia* (M. 74, f. 11; 76, f. 274).

Wykupienie star. sambor. przez Bonę nastąpiło niebawem po sejmie 1537 r. Zdaje się, że Odrowąża skwitowano sumą 19,187 zł. (Metr. 67, f. 207). Oprawienie posagu królowéj na dobrach królewskich w Mazowszu nastąpiło dopiéro w 1545 r. (*ibid.*). O pogodzeniu się z nią Odrowąża świadczy między innemi darowizna wsi Prusy w sambor. przez niego uczyniona na rzecz królowéj w 1540-ym roku (Met. 57, f. 277).

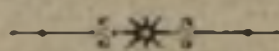
A. Pawiński.





IGNACY KRASICKI

W STOSUNKU DO LUCYANA i ERAZMA Z ROTERDAMU.



I.

Już Kraszewski w znanéj monografii o Ign. Krasickim (str. 141), omawiając najpopularniejsze utwory jego t. j. bajki i satyry, w krótkich słowach zauważył, że druga część satyr pod wieloma względami nie dorównywa pierwszéj. Pierwsza ich część wyszła w r. 1778, choć już przedtém pojedyńczo się pojawiały, późniéj dopiéro ukazała się druga. Oto jego o téjże słowa: „Druga część, zdaniem naszém, nie dorównywa pierwszéj natchnieniem i żywością obrazów. Wpada w niéj poeta w ton dydaktyczny, więcéj nawraca, niż maluje, mówi o życiu, ale nam go nie okazuje. Jednakże i z pomiędzy tych podnieść należy „wziętość“ i misternie zakończone „odwołanie“.

Zapatrywaniu temu niepodobna odmówić w znacznéj części słuszności; widoczna jest pewna zmiana w zwykłém przedstawieniu rzeczy i doborze przedmiotów, a już kilka tytułów tych późniejszych utworów wskazuje, że myśl poety zeszła na inne tory i obraca się około kwestyi ogólnych, mniéj uchwytnych, a nawet około oczywistych paradoksów np. „pochwała milczenia“, „pochwała głupstwa“, „pochwała wieku“, chociaż ta ostatnia opiéra się jeszcze najwięcéj na spostrzeżeniach autora nad współczesném społeczeństwem, a w szczególności literaturą; „człowiek i zwierzę“, „małżeństwo“ przypominają nawet pod pewnemi względami podobne ogólnikowe utwory satyryka Juwenalisa z ostatnich lat jego działalności. Poważna i pouczająca treść tych utworów, częste apostrofy do pojęć oderwanych: do milcze-

nia, głupstwa, nie godzą się wszędzie z istotą satyry; wprawdzie i w pierwszéj części satyr natrafiamy ślady podobnego sposobu pisania np. w satyrze I. „świat zepsuty“ zwraca się poeta do cnoty w dawnych czasach i do duchów przodków, użalając się na obecne pokolenie; w VII „przestroga młodemu“ wpada z konieczności w pewien ton dydaktyczny, z którego mu Kraszewski w drugiéj części satyr czyni zarzut; lecz prawie wszystkie utwory téj części obracają się na gruncie osobistych spostrzeżeń poety. Objaw ten dałby się poniekąd wytłómaczyć pewném osłabieniem satyrycznego nastroju w późniejszych utworach, lecz tłómaczenie takie wobec słusznéj uwagi Kraszewskiego, że i w téj części nie brak satyr, podobnie jak poprzednie, misternie wykonanych, zwłaszcza mistrzowskiéj ostatniéj p. t. „odwołanie“, nie byłoby wystarczające. Nasuwa się więc mimowoli pytanie, czy poeta w tym okresie swéj działalności nie pozostawał pod przeważającym wpływem rozległych swych studyów i czy wskutek tego mniéj czyniąc spostrzeżeń nad życiem ludzkiém, nie był więcéj zajęty wziętemi stąd i owąd myślami. Odpowiadałoby to więcéj niezwykłym zdolnościom satyrycznym poety i tłómaczyłoby powstanie pewnéj części satyr. Tego rodzaju objaw da się w istocie zauważyć, jeżeli tylko te późniejsze utwory weźmiemy pod ścisłą uwagę, a przedewszystkiém pierwsze trzy, które noszą tytuły „pochwał“ t. j. pochwałę milczenia, wieku i głupstwa.

Pisanie „pochwał“ na wzór starożytnych poetów nie zwraca tak dalece uwagi, jak raczéj wybór przedmiotów do pochwały, przedmiotów oderwanych, których wychwalanie jest paradoksem. Jeżeli satyry Krasickiego odznaczają się wogóle delikatną ironią, to tutaj, zwłaszcza w pochwale milczenia i głupstwa, ironia tkwi w samém założeniu. Mimowoli więc musimy sięgnąć dla wyjaśnienia tego objawu daléj, do czasów, kiedy tego rodzaju tematy były na porządku dziennym i niejako w modzie. Znaną jest bowiem rzeczą, że w czasie ponownego rozkwitu retoryki za Hadryana, retorowie nie mając sposobności oddziaływania w sprawach politycznych i sądowych, zwrócili się prawie wyłącznie do trzeciego rodzaju wymowy wedle wyobrażeń starożytnych t. j. do wymowy tak zwanéj popisowéj. Wśród rozlicznych przedmiotów, obieranych z mitologii, historyi, przyrody, ulubionemi tematami były „pochwały“ różnego rodzaju, których wrażenie polegać miało na piękném wygłoszeniu i dowcipném zestawieniu treści. Zepsuty smak publiczności zadawalniał się temi pustemi deklamacyami i chętnie napełniał kieszenie retorów, odbywających z takiemi wykładami wędrówki po rozległém cesarstwie. Zbyteczném byłoby przytaczanie wielu niedorzecznych tematów, jakimi posługiwali

się retorowie, dość wspomnieć, że niektórzy wychwalali w retorycznym zapale nawet takie przedmioty, jak podagra, dym i t. d. a nawet Lucyan z Samosaty, jeden z najdowcipniejszych autorów drugiego wieku po Chrystusie pisał „pochwałę muchy“. Lecz to, co zepsuty smak literacki wśród niekorzystnych warunków wytworzył, zadawalniając się lada niedorzecznością, stało się dla późniejszych uzdolnionych pisarzów materyałem, do utworów dowcipnych. Wystarczało tedy nie przedstawiać takich przedmiotów na seryo, lecz wychwalać je ironicznie, a cel był osiągnięty. Już wzmiankowany Lucyan, czując całą niedorzeczność owych retorycznych produkcyi bez treści i dowcipu, wszedł poniekąd na tę drogę, dowodząc np. w „Parazycie“ w sposób na pozór poważny i obszerny, że zostać zręcznym pieczeniarzem jest równie trudném zadaniem, jak być zdolnym malarzem lub rzeźbiarzem. Ile zaś prawdy, bystrych spostrzeżeń, dowcipu i ironii mogły takie utwory zawierać, najlepszym dowodem jest sławna w swym czasie satyra jednego z najwybitniejszych humanistów XVI wieku, Erazma z Roterdamu, pod tytułem „pochwała głupstwa“. Erazm jest naśladowcą Lucyana i myśl jest w ogólnych zarysach z niego przejęta [1]). Erazm dotyka w niéj prawie wszystkich sfer społeczeństwa, wykazując, ile szczęścia człowiek zawdzięcza głupocie, lecz nie zawsze w zwykłém ujemném znaczeniu: owszém stara się niepostrzeżenie podciągnąć pod tę rubrykę wszelkie ludzkie złudzenia, zboczenia od zwykłego logicznego trybu myśli, niedorzeczne żądze, zarozumiałość, a nawet i głębsze uczucia. Stąd téż uwagi godne są jego uwagi o miłości, poetyckiém natchnieniu, egoizmie i t. d. Na poparcie tego paradoksu przytacza uczony humanista niezliczoną ilość cytat z autorów starożytnych, pism świętych, a nawet biblii, lecz zawsze w sposób humorystyczny. Satyra zwraca się nieraz w bardzo ostry sposób przeciw współczesnym filozofom scholastycznym, teologom, uczonym, dworakom, panującym, a nawet przeciw papieżom. Ponieważ zaś Erazm był głębokim znawcą serca ludzkiego i miał niezwykły dar spostrzegawczy, nie możemy się dziwić, że Ignacy Krasicki zwrócił na ten utwór głębszą uwagę.

W pismach naszego poety nie brak krótkich wzmianek, które wyraźnie dowodzą zajęcia się dziełami Erazma. To zbliżenie się tém zrozumialsze dla nas, że obaj autorowie pomimo odległości wieków w sposobie myślenia żywym i badawczym, w erudycyi rozległéj, choć mniéj głębokiéj, w szlachetnych tendencyach mają wiele wspólnego. Wystarczy wspomnieć, iż Erazm również, jak i Krasicki, stanu du-

[1]) Por. Richard Foerster: „Lukian in der Renaissance“. Kiel, 1886.

chownego, ostro występował przeciw scholastycznym filozofom i teologom, był zawsze rzecznikiem prawdy, nieprzyjacielem pozorów i obłudy, chociaż mu brakowało delikatnéj ironii i spokoju Krasickiego. Jeżelibyśmy chcieli pójść daléj, moglibyśmy nawet między tymi trzema autorami t. j. Lucyanem, Erazmem i Krasickim odnaleść niejedną wspólną cechę, która mimowoli ich zbliża i w niektórych utworach się przebija. Lepiéj jednak będzie, jeżeli zamiast podawać ogólną paralelę, któraby tylko w pewnym względzie była uzasadniona, pójdziemy za śladami w pismach Krasickiego i wykażemy, jak baczną uwagę zwracał na pisma wytwornego humanisty.

W „pismach różnych“ wydanych w Warszawie w r. 1786 znajdujemy stosunkowo dość długi ustęp, poświęcony Erazmowi. Krasicki, nakreśliwszy pokrótce jego żywot, wymienia najważniejsze dzieła z zakresu teologii i literatuy, tłómaczenia Plutarcha i Lucyana, a w końcu wzmiankowaną już satyrę i „rozmowy“ pisane na wzór Lucyana“. Satyrę jego chwali jako dowcipną, lecz gani ją za zbyt śmiałe wyrązy, a o rozmowach powiada, że nie dorównywają dowcipowi owego pisarza. W tymże samym artykule znajdujemy zarazem odpowiedź, czemu dziełami humanisty tak żywo się zajmował. Krasicki jako erudyt i człowiek chciwy wiedzy, żywo zajmujący się wszelkiemi kwestyami literackimi nie mógł, osiedliwszy się w stolicy biskupiéj w Heilsbergu, pominąć zbioru ksiąg i manuskryptów, które tamże zastał. Między innemi odnalazł niektóre listy Erazma i materyały do niego się odnoszące [1]). Przytacza tedy naprzód łaciński list nieznanego autora, traktujący o śmierci Erazma, a następnie drugi list własnoręczny Erazma do niejakiego Hilarego Bertulfa w sprawach wydawnictw naukowych. List ten, jak nas wyraźnie Krasicki zapewnia, znajduje się w Heilsbergu, a nie ma go w drukowanych zbiorach pism Erazma, które oczywiście książę biskup musiał dokładnie znać i porównywać. Prócz tego podaje tam Krasicki napis na grobie Erazma i cały szereg listów do niektórych znakomitych Polaków wraz z krótką treścią. Mowa tu powiększéj części o sprawach naukowych, a pomiędzy Polakami tam wzmiankowanymi znajdujemy: Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, Andrzeja Krzyckiego, Krzysztofa Szydłowieckiego, Piotra Tomickiego i innych. Na który czas to żywsze zajęcie się przypada, nie możemy z wszelką dokładnością stwierdzić, lecz ponieważ stały pobyt Krasickiego w Heilsbergu datuje się od r. 1772, możemy z pewném prawdopodobieństwem przypuścić, że

---

[1]) Por., P. Chmielowski: „Studya i szkice z dziejów literatury polskiéj“, str. 290. Kraków, 1866.

zachęcony odnalezionemi listami i materyałami, w owym czasie więcéj niż przedtém rozczytywał się w pismach Erazma. Ponieważ zaś z wyraźnemi śladami tego wpływu spotykamy się w drugiéj części satyr, które wyszły dopiéro po r. 1778, o czém wkrótce będzie mowa, uzasadnione będzie zapatrywanie, że wówczas przedewszystkiém zajmował się sławną satyrą Erazma.

Aby wykazać słuszność tego zdania, musimy poddać dokładniejszemu rozbiorowi satyrę Krasickiego, noszącą ten sam tytuł, co utwór Erazma. Ponieważ zaś chodzi tutaj w każdym razie o dzieła jednego z najwybitniejszych naszych poetów, nie powinniśmy się tém zrażać, że będziemy musieli się zająć myślami dość ogólnemi, bez wybitniejszego znaczenia w głównéj treści. Wśród tego rozbioru jednak i koniecznego zestawienia odnośnych myśli Erazma i Krasickiego, przekonamy się, że nawet w tego rodzaju utworach pozostaje nasz poeta samym sobą, nie naśladuje niewolniczo i wypowiada myśli we właściwéj sobie jędrnéj i dowcipnéj formie. Skoro zaś wpływ satyry Erazma dotyczy i innych utworów Krasickiego, prosty stąd wniosek, że nie był przemijający a jako taki tłómaczy nam w odpowiedni sposób powstanie niektórych utworów w pewnym dłuższym okresie literackiéj działalności poety.

U Erazma występuje „głupstwo“ pod postacią kobiéty, przed liczném zgromadzeniem ludzi, opowiada o swém pochodzeniu, zaletach i podnosi swe zasługi około uprzyjemnienia ludziom życia. Z jéj długiego traktatu dowodnie wypada, że nie rozum i rozwaga, ale głupstwo jest szafarzem szczęścia ludzkiego. Krasicki z tego obszernego utworu przejmuje właściwie tylko samo założenie i ubiéra je we właściwą sobie formę dyalogu między dwiema osobami, z których jedna broni głupstwa, druga wychwala zalety rozumu. Wyższość głupców ma się okazywać w trojakim kierunku, skąd i cała satyra na trzy główne części da się rozdzielić: głupi mądrego zawsze przegada, bo mówi wiele i głośno, tamten, choć dobrze, cicho; głupi (a ma tu Krasicki głównie niedorzecznych autorów i panegirystów na myśli), cieszy się zawsze większém wzięciem u ludzi i liczy zwykle więcéj wielbicieli; głupi wreszcie zdrów bywa i czerstwy, gdy mędrzec często na zdrowiu niedomaga. Tą ostatnią myślą rozpoczyna się satyra i kończy. O ile zbliża się Krasicki do Erazma, wykaże krótkie zestawienie odnośnych ustępów:

ERAZM. Rozdz. I. „Chociaż rozmaicie zwykli się o mnie wyrażać ludzie (wiem bowiem, jak złéj sławy zażywa głupstwo nawet u najwybitniejszych głupców), mimoto ja jestem tą jedyną istotą, która według upodobania rozwesela bogów i ludzi. Najlepszym tego dowodem, jest, że zaledwie wystąpiłam przed tém

licznem zgromadzeniem, aby mówić, od razu niezwykła jakaś wesołość, zajaśniała na obliczach wszystkich.

KRASICKI:

— A ja mówię, że głupstwo nie złym jest podziałem.
— Mądrość przecież zaszczytem, nierozum zakałem.
— Nie wchodzę ja w dysputę: rzecz jest niby - jawna,
Maksyma teraźniejsza tak, jako i dawna,
Każe szukać mądrości, a głupstwa się chronić!
Umieli zawsze ludzie od dobrego stronić.
A że głupstwo jest dobrém, stronili od niego.

ERAZM:

„Czy nie widzicie, jak owi sztywni pedanci, którzy się zajmują filozofią albo oddają poważnym i zmudnym studyom, zwykle prędzéj się starzeją, nim na młodzieńców wyrosną? I nic w têm dziwnego, gdyż troski, ciągły i żywy bieg myśli wyczerpuje powoli ducha i ożywcze soki: tymczasem głupiątka moje są tłuste i lśnią się od gładkiéj płci, jak akarnańskie prosiątka“.

KRASICKI:

„Patrz na mędrca tetryka — głupca wesołego:
Tu pryska z twarzy zdrowie, tam zapadłe oczy,
Wlecze się chuda mądrość, spasłe głupstwo toczy.
Cóż potém, w życiu niezdrów, że po śmierci słynę?
Co mi po dobrém mieniu, gdy użyć nie mogę?
Co po wszystkiém, gdy słabość wznieca śmierci trwogę
Tam, kędy zdrowia nie masz, jakiż zysk powabi,
Rycerstwo króci życie, mądrość zmysły słabi.“

ERAZM:

„Za głupstwem przemawia także ważne świadectwo rozpowszechnionego przysłowia, według którego głupstwo jest jedynym środkiem, aby młodość, zwykle szybko ubiegającą, przedłużyć i powstrzymać przykrą starość...“

KRASICKI:

„Praca siły wytęża, skrzętność zbyt zaprząta,
Wszędzie gorycz w pośrodku korzyści się pląta:
Zgoła w zysku bez zdrowia musimy szkodować;
Jakże siły utrzymać? jak czerstwość zachować?
Próżno krzyczy Hipokrat, próżno Galen szepta,
Głupstwo, głupstwo, o bracia, jedyna recepta“

ERAZM (przy końcu 1 rozdziału):

„Dziwię się niewdzięczności, czy też opieszałości ludzi, którzy oddają mi chętnie hołd i uznają moją hojność, lecz pomimo to nikt się przez tyle wieków nie znalazł, aby w pięknych słowach wynosił zalety głupstwa.“

KRASICKI:

„Skarbie nie dość wielbiony! choć wielu bogacisz,
Nie przebierzesz się nigdy, ceny nie utracisz.
Obdarzasz, lecz niewdzięcznych: choć miła spuścizna,
Głupców tłumy niezmierne, a nikt się nie przyzna
Pełno w świecie obłudy wkrada się i w fraszki,
Wewnątrz skryta osoba, z wierzchu same maszki.
Zrzućmy je, niech odkrycie głupstwo światem włada,

Sławę, honor, bogactwa, rozkoszy posiada.
Czemu się szczęścia wstydzić? Dzień po nocy wschodzi —
Zrzucił świat uprzedzenia, wiek złoty się rodzi.
Niechaj mądrość, jakie chce przepisy stanowi,
Próżne są. Mądrzy sławni, ale głupi zdrowi"

Prócz przytoczonych tu miejsc, nie trudno się przekonać, że i pozostała treść zbliża się do utworu Erazma: Krasickiego Paweł choć głupi, przemawia z aplauzem wśród licznego zgromadzenia, jak uosobiona głupota u Erazma, ustęp odnoszący się do autorów przeważnie, dla sławy pracujących i do niedorzecznych, lecz o wiele szczęśliwszych między ludźmi, przypomina zupełnie podobny, choć o wiele więcéj rozwinięty traktat Erazma w r. 26. Stąd téż wiele wierszy z tego ustępu w myśli Erazma jest wypowiedzianych:

„Pawłów jest tysiącami, a rzadki w złym stanie:
Każdy w podobnym sobie ma upodobanie,
Więc głupi prędko znajdzie, komu się podoba".
„Bodajto w bractwie głupich! tam szczęścia prawidła,
Tam korzyści, tam rozkosz coraz żywsza z wiekiem:
Każdy kontent, bo czuje, że jest wielkim człekiem"

Jednakowoż związek nie jest tutaj tak wyraźny, jak w miejscach przedtém przytoczonych. Lecz pomimo ogólnéj tendencyi, przejętéj przez Krasickiego, sposób naśladowania w poszczególnych wyrażeniach dowcipnych, w podziale treści, w zestawieniu pojęć np. „Mądrzy sławni, ale głupi zdrowi" — „głupstwo, głupstwo, o bracia! jedyna recepta" — jest zupełnie swobodny. Co więcéj, ustęp o autorach panegirycznych, którzy dla grosza wychwalają mecenasów i wywodzą nieznane ich zasługi niewątpliwie odnosi się do wielu współczesnych Krasickiemu, a cała satyra pomimo ogólnéj tendencyi, widocznie dąży do potępienia tego rodzaju autorów, co wiele ustępów wskazuje:

„Mędrzec, wieku okrasa i kraju ozdoba,
Laur ma prawda, ale ten ni grzeje, ni tuczy,
Głupstwo go jawnie nęka, zazdrość w kącie mruczy".
„Choć stopień uwielbienia posiada wysoki,
Zniża się czasem Paweł, kiedy tego godni
Jurgieltowi chwalacze, autorowie głodni" i t. d.

Najlepszym dowodem, że takiemu poecie, jak Krasicki, proste naśladowanie, chociaż swobodne, nie wystarczało, jest pierwsza satyra tejże księgi, która na wzór pochwały głupstwa jest napisaną p. t. „pochwała milczenia". Jak przedtém głupstwo, tak tutaj zaleca poeta

autorom, dworakom, obywatelom, kapłanom w sposób ironiczny milczenie, które zwykło pokrywać ich zdrożne myśli, z drugiéj strony wychwala je jako okrasę „serc niewinnych“ i „sprawcę myśli“.

Trzecią z rzędu „pochwałę wieku“ tylko w najogólniejszém znaczeniu możemy tutaj zaliczyć; poeta wychwala w niéj ironicznie płaskie utwory literatury współczesnéj, rzekomy rozum i dowcip, przebijający się w książkach bardzo licznych, lecz bez wartości „za jedno dobre pismo sto głupstw drukowanych“; gani zarazem tych wszystkich, którzy chcąc wykorzenić zabobony dawnych czasów, często idą za daleko i wraz ze złém niszczą to, co nam poprzednie wieki dobrego podały.

Tyle co do tych pierwszych satyr. Jeżeliby przytoczone przez nas miejsca nie miały wystarczyć, to cały szereg innych z téjże saméj części satyr Krasickiego wykazuje dowodnie, jak zajęty był umysł jego dowcipnym utworem Roterdamczyka. Bardzo często powtarzają się myśli, jakie poeta wyraził w „pochwale głupstwa“, tak, że niepodobna uznać tego objawu za zupełnie przypadkowy:

w sat. IV: pan Łukasz, „co zgadł sekret wziętości“, postanowił: „do możniejszych przystać, strzedz się słabych, śmiać z cnoty, a z głupstwa korzystać“.

w V: głupota ludzka wydaje się poecie większą, niż głupotą zwierząt:

„Gdyby się razem głupstwo człowiecze zebrało,
Poszedłby w rodzaj muszlów, albo na szlimaki,
Słuchaj tylko cierpliwie: któryż zwierz jest taki,
Żeby, wiedząc, co czynić, nie czynił, co trzeba?
Zwierzom instynkt, nam ludziom rozum dały nieba,
Przecież, patrząc, co czynim, my rozumem dumni,
Zda się, że ludzie głupi, zwierzęta rozumni“.

w VII: przedstawia Krasicki człowieka głupiego, którego jednak ogólnie za mędrca uważają:

„Doskonałość nie łatwa, trzeba pracy przecie,
Za jednego mądrego, sto głupich na świecie,
A kto wié, czy nie tysiąc? Wiele to—czy mało?
Niechaj, kto chce doświadcza, mnie gdy się tak zdało,
Nie upieram się w zdaniu, a wracam do rzeczy“...

daléj zaś o wyśmiewanych, udanych filozofach mówi:

„Pełno Dyogenesów, nie w beczce, lecz z beczką...
. . . .
A gmin czci dumne głupstwo owczem powtarzaniem“.

W sat. VIII, p. t. „Małżeństwo“ występuje poeta przeciw lekkomyślnemu zawieraniu małżeństw i udziela pewnemu młodzieńcowi przestrogi, jakiéj żony ma dla siebie szukać. Niewątpliwie miał poeta, pisząc tę satyrę, na myśli odpowiedni ustęp z Erazma, bo chwaląc małżeńską cierpliwość wprost go wymienia:

„O święty Sokratesie!—tak cię Erazm mienił,
Nie byłbyś nigdy świętym, gdybyś się nie żenił.
Zyskałeś uwielbienie, zyskał świątobliwość,
Któż cię świętym uczynił?—małżeńska cierpliwość!“

Możnaby nam zarzucić, że i w pierwszéj części podobne zwroty się trafiają np. w I „mądry przedysputował, ale głupi pobił“—w III. „czyś okradł, czyś złupił, dość, że wioska twoja. Niechaj płacze głupi, po co nie był ostrożnym“; w VII: „skacz ze skały w miłosnych pętach niewolniku...

Twoja Filis tymczasem z głupiego się śmieje“

Lecz w pierwszym razie mowa jest tylko o panujących, a wobu innych użyty jest wyraz „głupi“ w najzwyklejszém znaczeniu. Inna, ważniejsza kwestya jest, czy wpływ Erazma nie sięga daléj; wiadomo bowiem, że Erazm podobnie, jak Krasicki, bardzo ostro występuje przeciw teologom i życiu klasztornemu. Lecz w tym razie ani treść, ani forma przedstawienia nie utwierdza w nas przypuszczenia, że Krasicki korzystał z Roterdamczyka. Niektóre jednak wiersze przypominają wyraźnie podobne myśli z „pochwały głupstwa“, a ponieważ, przedtém powiedzieliśmy, że wpływ dziełka Erazma widocznym jest w utworach po r. 1778, więc nic dziwnego, jeżeli w „Monachomachii“, wydanéj w r. 1775, spotykamy się z podobnym objawem. Miejsc tych jednak nie wiele:

Pieśń I. „W téj zawołanéj, ziemiańskiéj stolicy
Wielebne głupstwo od wieków siedziało:
Pod starożytném schronieniem świątnicy
Prawnych czcicielów swoich utuczało“.

Pieśń V. „Szanujmy mądrych, przykładnych, chwalebnych,
Śmiejmy się z głupich, choć i przewielebnych“

Pieśń VI. Tobie przekleństwo Arystotelesie!
Czy cię ta bitwa uczonym zaleci?
„Cóż ma za korzyść, kto twój towar kupi?
Próżność nauki! najszczęśliwsi głupi!“

Tyle co do satyr i Monachomachii. Pod względem wzajemnego wpływu, jaki na siebie autorowie wywierają, jestto rzecz dla nas o tyle zajmująca, że Erazm pisze pod wpływem Lucyana, Krasicki pod

wpływem Erazma. Jednakowoż Krasicki w późniejszych swych pismach drugorzędnych jeszcze więcéj zbliżył się do starożytnego pisarza, posługując się niewątpliwie, choć może nie wyłącznie, tłómaczeniami łacińskiemi Erazma. Wypada nam tedy i o tych jego utworach w stosunku do Lucyana obszerniéj pomówić.

II.

Lucyan w jednym ze swych utworów „podwójnie oskarżony“, broniąc się przeciw zarzutowi współczesnych, jakoby zwykłéj formy dyalogu przez Platona i filozofów używanego, pozbawił właściwéj mu powagi, podaje historyą dyalogu satyrycznego, który on sam stworzył i wydoskonalił. Dyalog w postaci staruszka z siwą brodą oskarża go przed sądem, lecz Lucyan w dłuższém przemówieniu wywodzi, że on właśnie starał się przestarzałéj formie dyalogu nadać nowe życie i świeżość. W tym celu zamiast poważnéj tragicznéj maski ubrał go w komiczną i treść poważną połączył z humorystyczną formą. Te słowa zawierają zarazem krótką charakterystykę jego utworów, chociaż i w dyalogach Platona nie brak ustępów o treści swobodniejszéj np. w „Uczcie“, a sycylijski poeta Epicharmos musiał podobnéj formy używać w swych obrazach rodzajowych. Zresztą sam Lucyan nie wiele sobie robi ze swych lekkich, dowcipnych szkiców i porównywa się w „Prometeuszu“ z owymi sztukmistrzami w Atenach, którzy zajmują się wyrabianiem małych lalek z gliny, mających służyć do zabawy tylko przez krótki czas,—jeżeli tego celu dopięły, niczego więcéj od nich żądać nie należy. W każdym razie zyskał sobie w ten sposób wielu zwolenników i naśladowców w późniejszych czasach.

Do jego mniejszych utworów należą „rozmowy zmarłych“, w których wprowadza nas do podziemia, każe słuchać rozmów zmarłych królów, filozofów, wojowników, a nawet i bogów. Pomysł nie jest zupełnie nowy, bo już Homer w Odyssei w księdze XI-éj wprowadza swego bohatéra do podziemia i podaje jego rozmowę z cieniami, które się gromadzą koło jamy przez niego wykopanéj; naśladuje go w tém Wirgili, a Horacy pisał już przed Lucyanem satyryczny dyalog między Tyrezyaszem a Ulissesem o tych, którzy polują na spadki po bogatych starcach.

Nic nie ma smutniejszego nad to życie pozagrobowe według przedstawienia Lucyana. Już Homer w ciemnych barwach opisuje ten niejasny, połowiczny stan między bytem i niebytem, a Lucyan stara się tę niejasność dla swych celów wyzyskać. Wyszydza on

i wyśmiewa pogańskie zapatrywanie o życiu pozagrobowém, o karach piekielnych, o przemianie bohatérów w istoty boskie, a nawet kwestyonuje, choć niekonsekwentnie, nieśmiertelność duszy. W jego podziemiu rozlegają się ciągłe skargi i żale dusz za minioném życiem, sławą, potęgą, bogactwami,—a z drugiéj strony słychać przenikające szyderstwa takich ludzi, jak Dyogenes i Menip, którzy się i tutaj za szczęśliwych poczytują: znikomość ludzkich życzeń, brak nadziei lepszego bytu — oto kilka tendencyi rozmów zmarłych Lucyana. Jedynie podnoszenie wartości cnoty i niewzruszonéj sprawiedliwości rozjaśnia nieco ten ponury obraz. Ulubionemi postaciami w tych rozmowach są Aleksander Wielki, jak prototyp ludzkiéj potęgi, Krezus, jako typowy bogacz, Sardanapal, jako król zniewieściały, a z drugiéj strony filozofowie Cynicy, jak Dyogenes i Menip stanowią względem pierwszych konieczny kontrast. Jednakowoż mimo prostéj i zrozumiałéj tendencyi tych rozmów — brak urozmaicenia w treści, a nieustanne akcentowanie rozpaczliwych myśli o znikomości wszystkiego, sprawia, że utwory te stają się dość jednostajne i oprócz niektórych mało przedstawiają dowcipu. Zresztą, są to tylko początkowe próby Lucyana, który dopiéro późniéj w dłuższych dyalogach doprowadził stworzoną przez siebie formę do prawdziwego mistrzostwa [1]).

Z tych rozmów tłómaczył Krasicki cztery, a z Lucyana wogóle cały szereg innych utworów, lecz nie są to tłómaczenia we właściwém tego słowa znaczeniu. Krasicki nie tłómaczył z tekstu greckiego, bo do niedokładnéj znajomości tego języka sam otwarcie się przyznaje [2]); pozostawały mu więc łacińskie i francuskie przekłady, któremi, się mógł posługiwać. Ponieważ zaś już najdawniejsi tłómacze Lucyana zmieniali dowolnie jego tekst, skracali, zastępowali jego zwroty własnemi [3]), nic dziwnego, jeżeli Krasicki, idąc za ich przykładem, podaje nam najczęściéj w znacznėm skróceniu utwory Lucyana. Trudno zresztą czynić mu z tego zarzut, gdyż są to utwory z ostatnich jego lat, a celem jego nie była wcale dokładność filologiczna, lecz raczéj obznajomienie publiczności z niektóremi utworami autora, którego dowcip spodobał się poecie; wychodząc z tego punktu widzenia, nie wielką odnieślibyśmy korzyść z dokładnego zestawienia pewnéj liczby odnośnych miejsc, zwłaszcza że wobec wielkiéj dowolności w przekładzie, nie łatwo, a nieraz nawet niepodobna wykazać, jakiém tłóma-

---

[1]) Sommerbrandt: „Ausgewählte Schriften des Lucian“, I. p. XX.

[2]) Kraszewski, p. 329.

[3]) R. Foerster, l. c., p. 8.

czeniem posługiwał się w danym razie Krasicki. Lecz i w tych pracach niewątpliwie tłómaczenia Erazma z Roterdamu i jego naśladownictwa pobudziły Krasickiego do podobnego zajęcia i to tém bardziéj, że rozwlekłe „*colloquia familiaria*“ tego humanisty pisane na wzór Lucyana nie podobały mu się, gdyż nie znalazł w nich dowcipu starożytnego autora. Tłómacząc tedy i naśladując, starał się więcéj do tego drugiego zbliżyć, lecz ze sposobu tłómaczenia i z niektórych uwag wypada, że nie wiele przywiązywał wagi do téj pracy. I tak np. ze „snu“ Lucyana przetłómaczył tylko początek i koniec, niesłusznie czyni uwagę, że w rozmowach zmarłych między osobami, przybywającymi do podziemia także sam Lucyan bierze udział; pierwszą rozmowę kończy u Lucyana Pollux, u Krasickiego: Dyogenes; w trzeciéj rozmowie z osób, biorących udział, wyłączony jest żołnierz, a Damasyas, atleta, chociaż w tytule wymieniony, potém wcale nie przemawia; w rozmowie czwartéj (u Krasickiego, XII) Krasicki w sporze wodzów starożytnych Hannibalowi oddaje pierwszeństwo, wbrew Lucyanowi, który Aleksandra Wielkiego za największego wodza uważa. W innych utworach np. Tymonie czyli odludku, brak zupełnie pewnych części, wskutek czego przekład taki daje słabe tylko i można powiedzieć fałszywe wyobrażenie o tłómaczonym autorze, a takich przykładów dałby się przytoczyć cały szereg. Pomimo tego, dowcipne zwroty poety, jędrny i płynny język nadają wspomnianym pracom i w téj formie pewną wartość.

Większą jednak doniosłość mają dla nas oryginalne „rozmowy“ Krasickiego tak ze względu na czas, w którym powstały, jak na treść i tendencyą.

„Rozmowy zmarłych“ i tłómaczenia z Plutarcha, jakotéż żywoty sławnych mężów na wzór Plutarcha, są to utwory z ostatnich lat poety. Powstały one w czasie, kiedy położenie narodu coraz bardziéj się pogarszało. Bartoszewicz przedstawia go nam w tym okresie, jako człowieka złamanego i przybitego niedolą, zamiast dawnych dowcipnych poezyi tłómaczącego Plutarcha i Lucyana, zbierającego materyały do dzieła o Rymotworstwie i Rymotworcach. Wiek i smutne położenie kraju niewątpliwie wpłynęły na przyćmienie wesołości dawnéj i dowcipu; z tém łączyły się i kłopoty osobiste, które (o ile się to z jego listów przebija) nie mało się przyczyniły do pogorszenia humoru. Smętne wspomnienia króla i zamku opustoszałego, w którym książę poetów tyle wesołych chwil z nim przeżył, przesuwały się jak chmury po jego pogodném czole, po umyśle mężnym, do zgonu czynnym, na pozór lekkim, a na raz obranéj drodze trzymającym się z że-

lazną wytrwałością. Jednakowoż nie przedstawia się on nam tak złamanym, jak go Bartoszewicz maluje. Ukrywał boleść głęboko, nie zdradzał się przed nikim, lecz nie czuł się zupełnie zniechęconym do pracy. Wprawdzie na te ostatnie lata przypadają dzieła wymagające więcéj trudu niż natchnienia, lecz na starość nie mógł się niczém inném zajmować. Tłómaczenia z Plutarcha stoją niewątpliwie w związku ze szczególném upodobaniem króla do tego autora. Za stawano go nad nim w chwilach, gdy najbardziéj działać było potrzeba w r. 1792 i gdy największe zdawały się grozić niebezpieczeństwa. Lecz nic tak nie odpowiadało usposobieniu ówczesnemu poety, jak utwory Lucyana, a zwłaszcza jego rozmowy zmarłych. Pomimo sceptycyzmu sobie właściwego, pociąga ten autor swobodną i zwięzłą formą, jakotéż uczciwą w gruncie dążnością, według któréj jedynie cnota stanowi główną podstawę życia ludzkiego. Zmienność losów ludzkich, niestałość szczęścia mimowoli przypominały znękanemu poecie smutne chwile własnego narodu, a skromne i proste utwory Lucyana tém bardziéj wnikały w owym czasie w jego umysł. Nie powinniśmy téż pomijać milczeniem tych rozmów, mniéj wprawdzie ważnych treścią, lecz tém bardziéj charakteryzujących autora w ostatnich latach życia [1]).

Nie poprzestając tedy na przekładach, zbacza Krasicki w samodzielnych rozmowach do historyi starożytnéj i polskiéj, i tłómaczy w formie dramatycznéj swe zapatrywania na rozliczne przedmioty. Przed naszemi oczyma przesuwają się postacie Bolesława Chrobrego, Kazimierza W., Piasta, Sarbiewskiego, Czarnieckiego, Zamojskiego, a zawsze z pewnym pietyzmem przedstawione.

To usposobienie poety tłómaczy nam zarazem wielką różnicę między dyalogami Lucyana, a jego rozmowami, z jego sceptycyzmu i szyderskich myśli ani śladu nie znać, a w przeciwieństwie do jednostajności Lucyana, podaje nam Krasicki w każdéj rozmowie inny przedmiot i do czego innego zdąża. Zupełnie pomijając kwestye o życiu pogrobowém, nie daje nam poeta żadnego obrazu podziemia; osoby, u niego rozmawiające, to ludzie, nie duchy, więcéj ich obchodzi życie na ziemi, niż w podziemiu. Czytając jego rozmowy zapominamy nawet, że rozmowa odbywa się w podziemiu, ani się tutaj dusze uskarżają na los, ani nie pragną powrotu do straconéj sławy i potęgi, lecz żyją daléj pełném życiem. W tém téż różni się Krasicki zasadniczo od Lucyana, jako pisarz chrześciański i nowożytny. Rozmowy

---

[1]) Kraszewski, 350. nstp.

jego mają nawet pod pewnym względem żywszą i odmienną formę: rozmawiają zwyczajnie osoby, które albo swém działaniem w życiu różniły się, albo podobnym ulegały losom tak np. Bolesław Chrobry jest rzecznikiem polityki zaborczéj przeciw Kazimierzowi W.; Piast prostoty przeciw Daryuszowi, lubiącemu przepych, Czarniecki szybkiego działania w wojnie przeciw, zwlekającemu Fabiuszowi i t. d.; rozmowy rozpoczynają się prawie zawsze od zarzutów z jednéj strony, na które druga odpowiada, stąd wywiązuje się dłuższa lub krótsza dyskusya, która kończy się ogólną sentencyą, zastosowaną do przedmiotu i zarazem stanowi zapatrywanie autora, np. Aristofanes i Molière dochodzą do przekonania, że komedya nie gorszyć i obrażać, ale obyczaje poprawiać powinna, Konstantyn W., Romulus, że nowości w rzeczach ważnych wprowadzać nie trzeba, Horacy i Boileau, że lepiéj stracić własny koncept, niż targać się na cudzą sławę i t. d. Zresztą dobiera Krasicki ważniejszych i ciekawszych przedmiotów, odrzucając wszystko, coby mogło, jak u Lucyana, drażnić delikatne poczucie czytelnika. Stąd téż zaledwie niektóre rozmowy zbliżają się więcéj do Lucyana, t. j. między Aleksandrem W., Juliuszem Cezarem i Dyogenesem, między Cezarem i przewoźnikiem, w których filozof Cynik i człowiek prosty naigrawają się z zmarłych bohatérów, chełpiących się nawet w podziemiu z minionéj sławy i znakomitych czynów, a nawet z pochodzenia boskiego. W rozm. 13 filozof Krates wyraża się z pogardą o bogactwach, które w podziemiu ani pomódz, ani szkodzić nie mogą. Lecz już pierwsza rozmowa przekonywa nas, że te utwory nie powstały przypadkowo, lecz wypływają z ówczesnego usposobienia poety, który i w téj skromnéj formie myślał o własném społeczeństwie. Solon i Kato Utyceński zastanawiają się nad tém, jak prawdziwy patryota powinien się zachowywać w rozpaczliwém położeniu swego narodu. Solon czyni Katonowi ostre wyrzuty, że swojém samobójstwem przyśpieszył upadek Rzymu, nie uznając jego usprawiedliwienia przez słowa poety Lucyana, że „zwycięscy podobali się bogom, zwyciężeni Katonowi“, samobójstwo z rozpaczy nad upadkiem narodu uważa za zbrodnię i mieni Katona „trwożnym i bojaźliwym, gdy losu przeciwnego wytrzymać nie mógł.“ Na zapytanie zaś Katona, czy miał może rękę ucałować, która kajdany kładła, odpowiada, że jeśli ktoś w podobnym razie życia sobie nie odbiera, nie potrzebuje się zaraz płaszczyć przed zwycięzcą. Katon odpowiada złośliwie Solonowi, że on tylko wierszami ojczyzny bronił i nie oparł się Pizystratowi, lecz ten kończy słowami: „gdybym wówczas, jak ty, życie sobie odebrał, możeby jaki grecki Lukan uwielbił moję

rozpacz, ale ludzie baczni, nie mieszając się w rozsądzenie boże, które losy ludzkimi władną, powiedzieliby wówczas, iż nie uznają w tém dziele Solona. Czyniłem, com mógł, bolałem na zawiedzione nadzieje, a żem rytmu do tego użył, nie sądzę się być godnym naganienia.“ Nie potrzebujemy wątpić, że poeta, który chętnie ukrywał swoje myśli w alegorycznéj formie, zastanawia się nad upadkiem własnego społeczeństwa i broni bądźto przed nieznanemi nam zarzutami, bądź téż przed samym sobą, że tylko przez poetyczne utwory starał się złemu zapobiedz. Podobną przestrogę dla współczesnych zawiera rozmowa XII między Kamillem i Koryolanem, z których pierwszy wypowiada zdanie, że „zbrodnią jest przeciw ojczyźnie występować, jeśliby nawet ktoś przez nią w istocie czuł się pokrzywdzonym, a służyć ojczyźnie, nie jest to frymarczyć, a zatém w nagrodzie szukać zarobku; działanie to samo przez się sercom poczciwym najsłodszą jest korzyścią“. Nie bez przyczyny téż broni Krasicki w r. XIV Sarbiewskiego, iż pomimo duchownego stanu swobodnym był w piórze i Gracyom ofiary składał, jak inni rymotwórcy.

Cały szereg innych rozmów rozwija w zwięzłéj formie zdrowe myśli o ustawodawstwie, znaczeniu filozofii, prostocie życia, pijaństwie, o dobrych i złych stronach wynalazków, o sztuce rządzenia, o ważności nauk dla mężów stanu (Zamojski—Em. Paulus), o dobrych i złych książkach (Ptolomeusz i Omar). Tu i owdzie nie brak prawdziwego humoru: Apicyusz, autor dzieła o sztuce kucharskiéj prosi Kuryusza, którego posłowie Samnitów przy skrobaniu rzepy mieli zastać, o receptę na przyrządzanie téj potrawy; Omar twierdzi, że miał słuszność, gdy spalił bibliotekę aleksandryjską, bo dobrych książek mało, a złych wiele, Kalistenes filozof, zamknięty w klatce przez Aleksandra i Bajazet, który podobnemu uległ losowi, spowiadają się ze swych wrażeń w owym stanie; Lukullus twierdzi, że lepiéj mu było zajmować się drozdami i kwiczołami, niż jak Cezar i Pompejusz gubić wolność narodu rzymskiego. Uwagi godną jest rozmowa XVIII między Heronem a Antoniusem, w któréj ci spokojni i rozumni władcy dochodzą do przekonania, że ich rządy, jakkolwiek nie obfite w krwawe wojny, więcéj przyniosły ludom szczęścia, niż panowania osławionych wojowników. Najwięcéj wzbudzają interesu rozmowy treści literackiéj, w których poeta krótkie, lecz trafne wyraża zdania. Tak Demostenes odpowiada Cyceronowi, że „prawdziwa wymowa jadowitych wyrazów nie potrzebuje; narzędzia to są słabości. Cel krasomówstwa jest zbyt wzniosły, iżby się miał podlić obmową“; w satyrze tak się śmiać należy, żeby nie wymieniać wyśmianego, komedya powinna być szkołą obyczajności a nie zepsusia. W rozmowie XXII,

między Wergilim a Homerem wypowiada Krasicki wbrew ówczesnemu zapatrywaniu, że nie Wergilego naśladowcę, lecz Homera wyżéj cenić należy, a geniusz sam dla siebie tworzy prawidła, których trzymają się następcy mniéj uzdolnieni. „Wierz mi, kończy Homer, iż prawidła są to więzy, naśladowanie — ciemiężliwą zwierzchnością. Upadla się umysł widokiem niewoli, trwoży się musem; swobodny buja i sam sobie to stwarza, co mniéj sposobnym lub mniéj bacznym, stawając się prawidłem, podlącém piętnem ich dzieła szpeci“.

Takiemi myślami zajęty był umysł poety w ostatnich latach życia, w latach smutku.

Dr. Tadeusz Mandybur.





SKANDAL.

NOWELL'A.

(Dokończenie) *).

IV.

Faktem jest, że księżna d'Ursac nie spełniła polecenia przyjaciółki, hrabiny de Rochemobille. Spełniła co innego, ale polecenia nie spełniła — nie skaptowała hrabiego Gastona de Trezaillac dla robót, którym z zapałem oddawali się książęta d'Urzac i hrabiowie de Rochemobille w stolicy, w departamentach, w parlamencie, w radach, w gabinetach, w salonach, poruszając wszystkie sprężyny, jakie się jeno naciskać dawały i używając do ich naciskania kontyngensów płci męskiéj i kontyngensów płci niewieściéj. Te ostatnie nadawały się szczególnie do rekrutowania stronników w sferze najpożądańszéj, téj, o któréj poeci i statyści powiadają, że jest przyszłością narodową. Operacya w téj sferze wiodła się najlepiéj w pojedynkę, na upatrzonego, w sposób myśliwski. Damy brały się do młodzieńców obiecujących, rozstawiały na nich sieci i rzadko się zdarzało, ażeby upatrzony nie poszedł na lep wdzięków, posiłkowanych flirtem. W sztuce téj celowała księżna, goniąca już resztkami uroków i z tego powodu potrzebująca korzystać z chwil, do lata jéj życia jeszcze należących.

Pod rękę jéj nawinął się Gaston de Trezaillac, młodzieniec, ogniskujący w sobie wszystkie zalety, imponujące śmiertelnikom: zna-

*) Patrz „Ateneum" za m. wrzesień r. b., str. 478.

komity jeździec, niezrównany strzelec, nieprześcigniony fechmistrz, odważny jak Roland, wymowny jak Cycero, silny jak Herkules, piękny jak Adonis, bogaty jak nabab indyjski. Na głowie jego ześrodkowało się kilka donośnych spadków i zapisów. Obliczano, że dobra i kapitały, któremi rozporządzał, niosą mu dochodu 500 franków na godzinę. Było to wcale nie mało. Pozwalało to młodemu człowiekowi żyć dosyć wygodnie, posiadać stajnię wyborową, trzymać psiarnię królewską, odbywać statkiem własnym na około świata podróże i dogadzać fantazyom rozmaitym, między innemi téj, ażeby wobec spółziomków swoich i cudzoziemców, wobec spraw wszelakich, agitujących się we Francyi i zagranicą, wobec wszystkiego, co ludzkość i ludzi pojedyńczych zajmuje, niepokoi, martwi, bawi, oburza, rozrzewnia, gniéwa, zachwyca, zachowywać ścisłą neutralność. Nie uznawał się on ani Francuzem, ani Anglikiem, ani Niemcem, Włochem, Hiszpanem. We względzie tym wytworzył sobie pogląd filozoficzny, uwalniający go od obowiązków, a pozwalający korzystać z praw w granicach możliwych, które dla niego znacznie rozszerzały środki, jakie w jego znajdowały się rozporządzeniu. Posiadał przytém to ogólne wykształcenie, skutkiem którego nic mu nie było obcém, umiał odróżniać szych od złota i cenić wartość wytworów cywilizacyjnych, jak bezstronny a obojętny sędzia. Znał się na pięknem i dobrém; wiedział, co złe i brzydkie; nie uznawał jednak grzechów niektórych, mianowicie tego, którego zabrania dziewiąte Boże przykazanie. Doznawał nawet zadowolnienia w przekraczaniu onego, jakotéż w kaleczeniu nieszkodliwie mężów, gdy się nań o to gniéwali. Sprawiało mu to rozrywkę, przyjemniejszą od rozrywek, opłacanych gotówką, bo mającą zapach owocu zakazanego. Pozwalał więc sobie na zrywanie owocu tego; w zrywaniu zaprowadził systematyczność i złączył je z zadaniem, mającém charakter badania naukowego.

Badanie polegało na dojściu drogą postrzegalną i doświadczalną stosunku, jaki w chwili uniesienia uczuć miłosnych zachodzi pomiędzy temperaturą ciała a wiekiem kobiéty.

Zadanie to zajęło go mocno. Myślał nad niém i, celem rozwiązania onego, wynalazł termometr specyalny, którego robotę powierzył najlepszemu w Paryżu majstrowi.

Fabrykant dogodził mu nie od razu, nie wiedząc o co chodzi. Razy jednak kilkanaście powtórzona próba dała w końcu rezultat zadawalniający. Gaston de Trezaillac zaopatrzył się w instrument bardzo czuły, przy pomocy którego mógł temperaturę brać i notować sposobem podchwytu, to jest bez zwracania na czynność tę uwagi pacyentek.

W sposób ten postawiona ta nader delikatna kwestya dała mu w życiu cel, nie mający wspólności żadnéj, ani styczności najmniejszéj z celami i zadaniami, poruszającemi społeczność i roznamiętniającemi ludzi. Wobec celu tego, forma rządu taka lub inna, nie obchodziła go ani trochę, pretensye i widoki stronnictw były dla niego zupełnie obojętne. Wiedział o nich: czyż bowiem mógł zamykać oczy i zatykać uszy!... patrzał atoli i słuchał z tym najwyższym spokojem, jaki zachowuje człowiek pogrążony w dociekaniu i nie odrywający się od przedmiotu, chociażby świat pękał i na głowę mu się walił. Po za tém podróżował, polował, odwiedzał klub, bywał w towarzystwie, zachodził do sali fechtunków, przejeżdżał po lasku bulońskim, zaglądał do teatru, przeglądał dzienniki, czytywał książki naukowe, zwłaszcza o fizyologii i fizyce traktujące i pędził żywot wielkiego pana, wzbudzającego podziw i zazdrość, a wydzielającego z siebie magnetyczny na płeć piękny pociąg.

Pociąg ów ułatwiał mu studyowanie zadania—naukowego.

Gwoli zadania tego padały jedna po drugiéj ofiary, a on — notował.

One oddawały serce; on brał—temperaturę.

Branie temperatury narażało go niekiedy na zajścia, rozstrzygające się na placu i ściągające na niego oburzenie w salonach dobrze myślących. Pan X., deputowany, wielki mówca, jeden z filarów prawicy, mąż, na którego zdolnościach i wpływach stronnictwo opierało wielkie nadzieje, wyzwać go musiał. Przeciwko wyzwaniu nic nie było do powiedzenia, — owszem, pojedynek mężom stanu nadaje pozę; pojedynek zwłaszcza z taką, jak Gaston de Trezaillac, osobistością wydatną. Z góry liczono na to, że pan X. oberwie; liczono jednak i na to, że p. de Trezaillac, przez wzgląd na jego pozycyę społeczną i znaczenie w stronnictwie, zrani go w sposób, wzmacniający pozycyę i podnoszący znaczenie. W następstwie pojedynku spodziewano się aureoli około postaci pana X. i po wszystkich salonach mówiono o aureoli, jako o rzeczy pewnéj i niezawodnéj—mówiono o niéj z uczuciem wdzięczności dla pani X., któréj padnięcie ofiarą nastręczyło okazyą do naureolenia się jéj mężowi. Pan de Trezaillac wszystkie te oczekiwania i nadzieje zawiódł w sposób najszkaradniejszy. Zamiast otoczenia wymownego i wpływowego deputowanego aureolą, okrył go śmiesznością. Odstrzelił mu nos. Następstwem tego było, że salony dobrze myślące zabrzmiały jednym oburzenia krzykiem, motłoch wybuchnął śmiechem i pan X. z pola działalności publicznéj zejść na zawsze musiał.

Oburzenie trwało krótko — godzin kilka, nie więcéj. Czyż spo-

sób do takiego, jak hrabia de Trezaillac, żal w sercach chować długo! Co się zaś jego samego tyczy, sumienie najmniejszych mu nie czyniło wyrzutów. Prawda—stronnictwu przykrość wyrządził ogromną; wyrządził ją wszelako nie bez racyi bardzo ważnéj, bo naukowéj. Przyjmując wyzwanie pana X., powiedział sobie:

„Naznaczę obrażonego małżonka w sposób taki, ażeby innym, obrażać się zamierzającym małżonkom, odjąć ochotę przeszkadzania mi w braniu temperatury...“

Racya ta—rzecz prosta—była jego tajemnicą. Tak być musiało, jeżeli studyowanie odbywać się miało na seryo.

Księżna d'Ursac, garnąc się sercem do hrabiego Gastona de Trezaillac, ani się domyślała, że jest nie kochanką jego — *maîtresse* — ale przedmiotem badania naukowego—*sujet*,—że chodzi mu nie o podniosłość tego uczucia, co ją na drogę miłosiernego (według najnowszego niewierności małżeńskiéj tłómaczenia) uczynku wprowadziło, ale o wysokość temperatury w chwili uniesienia miłosnego.

Dla tego ostatniego, w absolutnéj o zadaniu hrabiego nieświadomości, nazajutrz po zwiedzeniu spólnie z nim wystawy, znalazła się w jego pałacu, do którego przyjechała fiakrem i wkroczyła, mając oblicze osłonięte woalką nieprzejrzystą. Oblicze odsłoniła, gdy jéj Gaston ramię podał, przez komnatę przeprowadził i na kanapie posadził. Odsłoniła oblicze na to, ażeby mu najprzód, obok niéj siedzącemu, wejrzenie, wyrazu poświęcenia pełne, w oczach utopić a następnie rozpocząć rozmowę, tłómaczącą i usprawiedliwiającą niezwykłość dokonanego przez nią czynu heroicznego. Hrabia dotrzymywał jéj sprawy znakomicie. Krok jéj rozumiał doskonale — lepiéj nawet, niż ona sama; na wyraz „drogi“ odpowiadał wyrazem „droga“; przysiąg, przyrzeczeń, ani zobowiązań żadnych, stanowiących bagaż zwyczajny romansów banalnych, nie brał i nie dawał; w przerwie rozmowy temperaturę wziął, w pamięci ją sobie zakarbował i daléj prowadził gawędkę przyjacielską, dzierzganą zwrotami sytuacyi odpowiedniemi. Pomijając te dzierzgania, istne najpiękniejsze i najwonniejsze kwiaty w wieńcu z wonnych i dobiéranych kwiatów witym, snuła się ona w tonie salonowym poufnym.

— Ach! hrabio—odezwała się księżna, w oczy mu patrząc.—Zobowiązałam się, zobowiązania dotrzymać muszę...

— Księżno, jeżeli zobowiązanie twoje mnie się w czémkolwiek tyczy... — zaczął.

— O!... tyczy się ciebie...

— I mogę ci w czémkolwiek usłużyć?

— O! możesz.

— Oddaję się na rozkazy twoje—odrzekł.

— Dziękuję; trudno mi jednak do rzeczy przystąpić...

— Chodzi o jaki kościół, szpital, słowem, o jaką instytucyę dobroczynną?

— A... nie—odparła.

— O co ważniejszego?

— Ważniejszego...

— O!...—wykrzyknął.—Więc, słucham...

— Po odpowiedzi, jaką dałeś Halevy'emu, nie liczę na to, ażebym zobowiązaniu uczynić zadość mogła...

— Odpowiedź Halevy'emu?... — powtórzył powoli hrabia, jakby przypominał sobie.—A! Odpowiedź więc ta?...

— Odbiéra mi nadzieję nawrócenia ciebie...

— Ba!... Aż tak?... O nawrócenie chodzi... — rzekł z uśmiechem.

— Bo i czemuż się tak na stronie trzymasz?

— Widzisz, księżno moja droga...

Po tym, wypowiedzianym z uczuciem wstępie, księżna odczuła głęboko powody, dla których się Gaston na stronie trzyma i z góry je uznała; słuchała jednak, on mówił daléj:

— Czynność każda, w któréj udział wziąć mamy, potrzeba, ażeby nas albo przekonywała, albo bawiła... Mnie to wszystko, co się robi, nie przekonywa i nie bawi.

— O nie bawi!...—podchwyciła.

— Nic w tém nowego; rzeczy same oklepane.

— Oklepane—potwierdziła z przyciskiem.

— Ani w tém rozumu, ani zapału...

— O! prawda...

— Jedyna w towarzystwie całém istota, w któréj oddźwięknął zapał, to kuzynka moja...

— Herminia—podpowiedziała księżna z pośpiechem.

— Nie,—odparł z uśmiechem—nie ona... Omyliłaś się, księżno droga...

— Któraż?

— Cecylia...

— Przecież ona — zaczęła księżna tonem niepewnym, jakim się mówi, gdy się jest z tropu zbitym.

— Skandal sprawiła—dokończył hrabia.

— Owóż...

— Owóż, sam ten skandal dowodzi w niéj hartu duszy, charak-

teru, temperamentu... Wobec przymiotów tych ciekawą, a nawet ważną jest rzeczą jéj temperatura.

— Co?...—zapytała księżna.

— Co? — powtórzył zapytanie hrabia, zrobiwszy grymas taki, jakby się za język ugryzł.

Grymas ten uwolnił go od odpowiedzi, czyli raczéj od wytłómaczenia się z wyrazu, co mu się z ust wymknął niechcący. Księżna szepnęła z przyciskiem: „drogi"; on odszepnął i mówić zaczął o temperaturze Morza Czerwonego, czém zobojętnił całkowicie wrażenie, jakie wyraz wywarł. Wrażenie te zobojętnione zanikło niebawem całkowicie, przyduszone opowiadaniem o Indyach, o polowaniu na tygrysy i o paleniu owdowiałych kobiét indyjskich na stosach, na których się palą zwłoki nieboszczyków mężów.

— Barbarzyństwo—zauważyła księżna.

— Ph...—odparł hrabia. — Zależy to od tego, jak się na niebarbarzyństwo zapatrujemy. W oczach Indyan za barbarzyńców uchodzą Anglicy, co ich kiełznają... Czy my u siebie, tu, na gruncie ucywilizowanym, barbarzyństw się nie dopuszczamy?...

— Tak, o!... zapewne — odpowiedziała i odpowiedź osobistym poprzéć chciała przykładem, a mianowicie tą koniecznością, co ją zmusiła do pałacu Trezaillac fiakrem w sposób ukradkowy przyjechać; lecz przykład ów we własnéj pozostawiła myśli, wydało się jéj bowiem, iż przytoczenie onego byłoby samochwalstwem poświęcenia.

„Niech poświęcenie moje całą swoją niepokalaną zachowa czystość"—pomyślała.

Tak pomyślała, uśmiechnęła się i westchnęła.

— Księżno droga, wzdychasz? Czy ci czego brak?

— Czegóż mi braknąć może, gdy jestem przy tobie, z tobą!... gdy na ciebie patrzę! gdy ciebie słucham opowiadającego... o Indyankach nawet.

— Nie zajmuje cię opowiadanie o nich?—zapytał.

— Owszem, zajmuje, gdy z twoich wychodzi ust...

— Kobiéty tamtejsze interesujące są z powodu wysokiéj temperatury...

— A tutejsze? — zagabnęła, biorąc tym razem wyraz „temperatura" w znaczeniu przenośném.

— Tutejsze, hm?... Chyba jedna kuzynka moja, Cecylia, dorównaćby im mogła. Cóż jednak!... Skandalicznie ślubu nie wzięła i Bóg wié, na jak długo odłożyła się możność zrobienia na niéj doświadczenia.

— Ona już może za mąż nie wyjdzie wcale?

— Tém gorzéj.
— Do klasztoru zapewne wstąpił?
— Tém lepiéj!... — zawołał.

V.

Panna Cecylia de Erabel, sprawczyni skandalu, który nie bez racyi, jak się późniéj pokaże, do głębi poruszył najlepiéj myślące sfery towarzyskie w Paryżu, była sierotą. Liczyła nie więcéj, jak lat cztery, kiedy nie miała już kogo słodkiemi mianami „ojca“, „matki“ nazywać. Opuścili ją oboje, a odejściu ich z tego świata towarzyszyły fenomeny, które się niezatartemi w pamięci dziewczyny wyryły rysami. Przypominało się jéj, jakby ziemia w posadach się trzęsła i pękała, jakby ją obejmowała pożoga, w któréj się rozlegały huki, świsty, trzask i łomot, a w powietrzu panowała ciemność czarna, a w ciemności téj przelatywały błyski, nie rozświecające jednak, lecz przesuwające się nakształt wężów krwawych. Stało jéj to wszystko w pamięci mętnie, niewyraźnie i groźnie. Ile razy obraz ten wyobraźnia odtwarzała, przejmowała ją trwoga niewypowiedziana. Nie umiała sobie tego wytłómaczyć — nie miała nawet kogo zapytać, po owym bowiem momencie, który jéj wspomnienie przedstawiało w takiéj grozie, nastąpił spokój, nacechowany ciszą ustronną. Po strasznym śnie dziewczynka zbudziła się w murach klasztornych, pod troskliwą opieką zakonnic i nie znała nawet kraju, w jakim się znajduje.

Krajem, w którym się znalazła, była Belgia. Dowiedziała się o tém nie prędko, pierwéj bowiem do wiadomości jéj doszła nazwa miasta, pierwéj zaś od nazwy miasta, miano, pod którém w wysokiéj arystokracyi sferach znanym jest zakład edukacyjny: „Damy angielskie“ (*Dames anglaises*). W podobnym zakładzie, mianującym się „Ptaszki“ (*Les oiseaux*), wychowała się w Paryżu wnuczka Maurycego Saskiego, Aurora Dupin, wsławiona następnie pod przybraném nazwiskiem Georges Sand. Nie w Paryżu atoli leżał ów klasztor, w którym schronienie znalazła dziewczynka przestraszona i zahukana, ale w gwarném niegdyś, obecnie cichém mieście Bruges, ciekawém jako skład pamiątek świetności minionéj. W jednym z pozostałych z dawnych czasów gmachu zakonnice szkołę na wysoką stopę założyły i w szkole téj dziewczynka rozpoznać się w pierwszych chwilach nie mogła. Co i jak z nią się stało? Pomiędzy tém co jest, a tém co było, coś się jakby zawaliło. Od wczorajszéj przeszłości oddzieliła ją przepaść bezdenna i z przeciwnego przepaści téj brzegu ukazywały się

jéj we mgle postacie, snujące się tłumnie, a śród nich uwydatniały się dwie mianowicie, jedna męska, pokaźna, imponująca, druga niewieścia, będąca żywém wcieleniem słodyczy anielskiéj. Tło, na którém się one przedstawiały, składało się z obszernych budowli, wewnątrz widnych, sprzętów i malowideł pełnych, na zewnątrz otoczonych gajami, trawnikami, łąkami, polami uprawnemi, śród których wiła się zwierciadlanemi skrętami połyskująca do słońca rzeka. Dziewczynka odczuwała zdaleka na sobie ciepły, miękki, aksamitny, rozkoszny dotyk téj kobiéty i wzbudzające ufność nieograniczoną objęcie ramienia mężczyzny, które ją brało i po pysznych komnatach, przez gaje, śród łąk i pól nosiło. Ukazywało się jéj to we mgle — po drugiéj stronie przepaści, ziejącéj dymami i grzmiącéj w głębi echem huków, świstów, trzaskotu i łomotu.

Cóż to było?

Gdy się uspokoiła, w pierwszych pobytu swego w klasztorze chwilach, często płakała, kaprysiła i napierała się — „do domu“.

Często wołała: „matko!...“ „ojcze“!...

Zakonnice perswadowały jéj: „czekaj“...

Ona czekała i w czekaniu obraz z przeciwnego brzegu przepaści tonął we mgle coraz to gęstszéj.

Całkowicie we mgle nie utonął on nigdy. Od czasu do czasu ukazywał się jéj nakształt przypomnienia sennego; niekiedy odtwarzał się we śnie i przywrzały do pamięci, budził się niejako we wspomnieniach ciekawy a zagadkowy.

Upłynęło lat kilka; dziewczynka podrosła i podrastając śród koleżanek, dziwić się poczęła temu, że każda z nich o rodzicach mówi, rodzicami się chwali—ona jedna mówić o kim ani kim się chwalić nie ma. Coby to znaczyć miało? Czyby ten szczegół taki pospolity i zwyczajny otaczała tajemnica jaka?

Gdy lat dziesięć skończyła, szczegół ów tajemnicą dla niéj być przestał. Dowiedziała się, że jest sierotą. Oznajmiła to jéj dama, co się do klasztoru zgłosiła i nazwała się jéj ciotką.

Hrabina Herminia de Rochemobille.

Hrabina przyjechała umyślnie, celem odwiedzenia siostrzenicy, pupilki swojéj.

Markiza de Erabel i hrabina de Rochemobille, były to siostry rodzone.

Hrabina, siostrzenicę wobecności przełożonéj ujrzawszy, pierwéj nim się z nią przywitała, zawołała:

— Jakże urosła!... Jak przypomina matkę, moją biedną, kochaną siostrę!... Przypomina także ojca: ma jego nos, jego czoło,

matki zaś oczy i usta. Ojciec jéj — zwróciła się do matki przełożonéj — piękny był człowiek; siostra moja miała prześliczne oczy i usta.

Powiedziawszy to, przyciągnęła dziewczynkę do siebie, pocałowała ją, po włosach i twarzy pogłaskała i zapytała:

— Przypominasz sobie, jak ciebie w Brukseli do mnie przyprowadzono?

Zapytana odpowiedziała płaczem.

— No? cóż? — tuliła ją hrabina i uspokajała.

— Odpowiedz hrabinie na zapytanie... — przemówiła przełożona. — Niegrzecznie jest na zapytanie nie odpowiadać, bardzo niegrzecznie. Wstyd mi robisz, Cecylio.

Upomnienie to poskutkowało. Dziewczynka wyjąkała:

— Nie, nie przypominam sobie.

— Nic a nic?

— Nie.

— Więc ja tobie przypomnę... O wojnie wiész przecie?

— Nie wiem — odrzekła.

— Nie oznajamiamy dzieci z rzeczami — wtrąciła przełożona — które imaginacyę wzburzać mogą. Gdyby to byli chłopcy...

— Słusznie, bardzo słusznie— podchwyciła hrabina i, zwracając się do Cecylii, znów jéj zapytała: — Więc ty nie przypominasz sobie? Ze dwa tygodnie spędziłaś ze mną. Co?

Dziewczynkę opanowało wzruszenie i dogadać się z nią sposobu nie było.

— Pani długo bawiła w Brukseli? — zapytała przełożona.

— Wyjechałam z Paryża równocześnie z cesarzową; powróciłam do Paryża we wrześniu w roku następnym: pobyt więc mój w Brukseli przeciągnąłby się był rok cały, gdybym letnich miesięcy nie spędziła nad morzem. Ah! — dodała, dłoń podnosząc — był to rok przerażający, straszny, okropny. Tyle sprowadził klęsk, nieszczęść i, na dobitek, respublikę. Kto ten rok przeżył!— westchnęła.

Przełożona westchnieniem zawtórowała.

— Com przecierpiała! com przecierpiała!

— W Brukseli? — wtrąciła zakonnica.

— Cierpienia, jakich doznałam, niepokój, jaki trapił ustawicznie, z niczém się porównać nie dadzą. Ten rok, o! ten rok!

— Rok próby przez Pana zesłanéj —rzekła przełożona.

— To prawda, wielka prawda. Niemcy zadali nam cios straszliwy. I próba nie skończyła się jeszcze.

Przełożona zwróciła na nią wejrzenie z wyrazem zapytania w oczach.

— Co się u nas dzieje! Wstyd i hańba.

Zakonnica nic na to nie odrzekła, zlekka jeno głową pokiwała.

Dziewczynka rozmowy powyższéj wysłuchała i luboć nic z niéj nie zrozumiała, w umyśle jéj atoli utkwiły wyrazy nakształt tego, jak na polach sterczą znaki, wbijane przez inżyniera, wytykającego drogę. Zajęło ją to. Wojna, nieszczęścia, klęski, cios zadany przez Niemców, pobyt ciotki w Brukseli, przywiezienie jéj do niéj, utrata rodziców: nic o tém dotychczas nie wiedziała i dla tego właśnie, że nie wiedziała, pracować poczęła wyobraźnią, tworząc obrazy, modelowane wedle wzorów, jakie podaje historya święta. Snuły się jéj po głowie niewole: egipska i babilońska, Filistyni, Sodoma i Gomora, Judyta, Magdalena; zrazu atoli, po odjeździe ciotki, która ją razy parę w klasztorze odwiedziła i, powiedziawszy, że jest dla niéj z całém jak dla córki rodzonéj poświęceniem, udzieliła jéj pięknéj o skromności, dobroci i pobożności nauki moralnéj i dała funt cukierków, po odjeździe jéj, nie wiedziała na pewne, czy jest Belgijką, czy Francuską. Dowiedziała się jednak o tém niebawem od koleżanek. Parę panienek pochodziło z Paryża; te ze słyszenia znały ciotki jéj nazwisko, jako nazwisko, brylujące w sferach wysokiéj arystokracyi. Jedna opowiadała o balach u hrabstwa de Rochemobille, druga o pałacu hrabiego przy ulicy Varennes. Upewniło to Cecylię, że jest nie Belgijką, ale Francuską i, gdy upewnienie to nastąpiło, żywa jéj wyobraźnia poczęła pod obrazy historyi świętéj podkładać tło francuskie, którém się szczególnie zainteresowała. Francya do umysłu jéj i do serca przylgnęła.

„Francya! Francya!“

Mówiły jéj o niéj: geografia skrócona i historya anegdotyczna. Przedmioty te wykładano w zakładzie. Zajmowały ją one szczególnie. Francyi wizerunek oglądała na mapie, w któréj się rozpatrywała pilnie; z anegdot historycznych chwytała i w imaginacyi przerabiała te, co najbardziéj odpowiadały panującemu w klasztorze nastrojowi edukacyjnemu. Postać Klotyldy, co Klodoweusza nawróciła, rozmarzała ją w stopniu wysokim; postać Ludwika IX za to, że monarcha ten był bardzo nabożny i Albigensów poskramiał, wzbudzała w niéj cześć głęboką; postać jednak Joanny d'Arc, gdy o niéj podania wyczytała, wprawiła ją w zachwyt i stała się dla niéj punktem ogniskowym marzeń, rojeń, pragnień, snów sennych i snów na jawie.

„Joanna d'Arc, ach! Joanna d'Arc. Czemu mnie nazwano Cecylią? czemu nie nazwano Joanną?“

Wynagrodziła to sobie, kiedy bowiem biskup panienki z zakładu dam angielskich w katedralnym pod wezwaniem Najświętszéj

Panny kościele bierzmował, przyjęła na bierzmowaniu imię bohaterki, co z Francyi Anglików wypędziła i przez Anglików na stosie spaloną została. Od chwili téj podpisywała się: „Cecylia Joanna“ i zrozumiéć nie mogła, czemu ta dziewica, ta czysta, ta męczenica, ta Francyi zbawczyni, nie zajmuje poczestnego miejsca w poczcie świętych pańskich. Tego zrozumiéć nie mogła.

Kwestya ta naraziła ją na nieprzyjemność, która się jéj zdarzyła w ostatniéj klasie, gdy już sobie lat siedemnaście skończonych liczyła. Wytoczyła ją przed jedną z koleżanek, Angielką, a ta jéj wytłómaczyła, że Joanna d'Arc dla tego nie jest kanonizowaną, że była czarownicą, działającą w przymierzu z szatanem.

— Ależ te wierutna nieprawda!— zawołała panna Cecylia do żywego dotknięta.

— *Aoh*, *yes*, tak, prawda — odpowiedziała zaokrąglając usta Angielka.

— Nieprawda!

— Prawda.

— Nieszczęśliwa! — cisnęła koleżance w oczy z giestem, który obelgę spostęgował i zaakcentował.

Angielka poskarżyła się siostrze, pełniącéj funkcyę damy klasowéj. Siostra, nie wdając się w bliższe sprawy dochodzenia, wezwała pannę Cecylię do przeproszenia koleżanki.

— Przeprosić? za co? — odparła wezwana z akcentem takiego w głosie zuchwalstwa, że się siostra zmieszała i przelękła.

— No, jakże, jakże — bąkać poczęła. Miss Bety czuje się obrażoną.

— A niech się obrażoną czuje; ja jéj przepraszać nie będę!

— Panno Cecylio — upomniała siostra łagodnie.

Zuchwalstwo podobne płazem być puszczone nie mogło. Siostra o zajściu zawiadomiła przełożoną i ta wezwała winowajczynię przed oblicze swoje.

— Cóż to, moje dziecko? Dowiaduję się o rzeczy bardzo smutnéj, o rzeczy bolesnéj. Dopuściłaś się nieposłuszeństwa.

Z tego punktu wysnuła przełożona pięknie wypowiedzianą moralną nauką o posłuszeństwie, jako o cnocie, zdobiącéj szczególnie niewiasty i niewiastom szczególnie potrzebnéj.

— Niewiasta—prawiła—w każdem położeniu, w jakiém ją świat stawia, lub do jakiego ją Bóg powołuje, cnotę posłuszeństwa pełnić musi. Widzisz tu, w klasztorze, jak się ta cnota praktykuje: siostry pełnią rozkazy moje, ja rozkazy biskupa, biskup arcybiskupa, arcybiskup ojca świętego, ojciec święty Boga. Kobiéta świecka jest córką,

siostrą, żoną: córka podlega rodzicom lub opiekunom, siostra bratu, żona mężowi. Dzieje się to z nakazu Boga samego. Owóż, ponieważ siostra, któréj podlegasz, wezwała cię, ażebyś miss Bety przeprosiła, a tyś nie posłuchała, idźże i przeproś najprzód siostrę za nieposłuszeństwo, następnie miss Bety za wymówienie do niéj wyrazu, który ją obraził.

Pannie Cecylii usta drżały, policzki poruszały się płaczem, który w sobie tłumiła: na wezwanie przełożonéj nie odpowiedziała od razu i po chwili odpowiedź wyraziła wybuchem:

— Nie przeproszę!

— Panno Cecylio — odezwała się surowéj powagi tonem przełożołona—co to znaczy?

— Miss Bety mnie obraziła! Mnie, mnie; ona, powiedziała, że Joanna d'Arc czarownica!

— Tak się na Joannę d'Arc zapatrują Anglicy; Francuzi zapatrują się inaczéj. Ale, cóż to obchodzi ciebie? Nie jesteś ani Angielką, ani Francuską.

Dziewczynie na słowa te oczy otworzyły się szeroko; wraz z oczami otworzyły się usta; ze zdumieniem na przełożoną przez chwilę patrzała i po chwili głosem cedzonym zapytała:

— Czémże ja jestem?

— Jesteś .. Niemka.

VI.

Powód, dla którego przełożona zakładu edukacyjnego dam angielskich, nazwała pannę Cecylię de Erabel Niemką, był ten, że majątek jéj, składający się z dóbr ziemskich, budowli i zakładów przemysłowych, niosący półtorakroć sto tysięcy franków dochodu, a pozostający do dojścia jéj do pełnoletności pod opieką, leżał w granicach Lotaryngii. Do r. 1871 Lotaryngia należała do Francyi; w r. 1871, Lotaryngia należała do Francyi; w r. 1871 przeszła w posiadanie Niemiec. Czyn się w ten wyraził sposób i, wedle czynu dokonanego rzecz biorąc, przełożona z całą słusznością zaliczała swoją elewkę do narodu, do którego się prawnie zalicza prowincya, będąca jéj kolebką rodzinną, opiekunką i poręczycielką jéj mienia. Francya dla niéj we względzie tym—czémże była? Wytłómaczyła jéj to przełożona i, nie chcąc sprężyny — z obawy pęknięcia — naciskać zbytecznie, puściła domaganie się przeprosin w zapomnienie, rozszerzając za to naukę moralną. Nauka poskutkowała o tyle, że panna de Erabel posmutniała i smutna opuściła zakład, w którym spędziła lat piętnaście.

Lat piętnaście jednym ciągiem.

W porównaniu z wiecznością, to—chwilka. W porównaniu jednak z życiem pojedyńczéj istoty ludzkiéj, lat piętnaście znaczy nie mało: w tym przeciągu czasu urabia się wiara w „chwilki chwilowość“, w takich zwłaszcza, w jakich się panna Cecylia znajdowała warunkach. Przełożona, żegnając się z nią, zaopatrzyła ją na życie w świecie w zapasy, mające podtrzymywać jéj siły w wędrówce do nieba.

— Przez świat, przez życie, moje dziecko, idź, kierując się ku niebu, idź z wiarą, z ufnością, z odwagą i z dobrą myślą.

Ba — dobrą myśl popsuła jéj sama przełożona, zniszczywszy punkt środkowy, co takowéj za oś służył.

— „Nie jesteś ani Angielką, ani Francuską, jesteś Niemką“.

— „Czy to być może?“ – zapytała siebie panna Cecylia“. Czyżby dama przełożona to powiedziała, gdyby tak nie było?“

Pytanie to ją trapiło. Czy sposób osobie takiéj poważnéj, jak dama przełożona, nie wierzyć? Czy sposób w okropność taką wierzyć?

— „Ja Niemka?“

Biła się z myślami. Raz wierzyła, znów nie wierzyła, i przy niewierze się upierała. Żal ją niewysłowiony przejmował za takim, jak Joanna d'Arc modelem, z którym, gdyby uwierzyła, rozstaćby się musiała. Żal tłómaczył się smutkiem, z jakim opuszczała mury, z któremi się niejako zżyła. W zżyciu się tém upatrywano smutku jéj powód i stosownie do tego udzielano jéj pocieszań.

— Niech cię uspakaja ta myśl, że zakładowi nic nie grozi, że żadna nad nim nie zbiéra się burza, że wszystko jak było, tak jest i tak będzie. Przenoś się do nas niekiedy myślą, poświęcaj nam westchnienia przy modlitwie i miéj tę pewność, że Bóg nad nami czuwa.

Taką była pocieszań treść ogólna. Omijały one istotny powód smutku, z którym wprost z klasztoru pojechała na dworzec kolei żelaznéj.

Z klasztoru nie hrabina de Rochemobille ją zabrała. Hrabinie jakaś ważna przeszkoda przyjechać po siostrzenicę nie pozwoliła. Przyjechał po nią kuzyn, hrabia Gaston de Trezaillac, o którym dowiedziała się z listu ciotki i który się jéj przedstawił w chwili wyjazdu.

— Kuzyneczko — rzekł—powołany zostałem pełnić przy osobie twojéj przez ośm godzin funkcyę warty przybocznéj honorowéj.

Panna Cecylia odpowiedziała mu wejrzeniem, tém wejrzeniem lękliwém a uroczém pensyonarki, widującéj mężczyzn w perspektywie, która ludzi za serce ujmuje. Było zaś w tém wejrzeniu, obok

lękliwości i uroków, coś jeszcze. Strzeliło z niego coś nakształt zdziwienia na widok téj pierwszéj zbliska oglądanéj postaci męskiéj, tak znakomicie rodzaj męski reprezentującéj. Zdziwieniu uległa nietylko ona. Całe grono wyprowadzających ją dam, nie wyjmując damy przełożonéj, z ognikami w źrenicach patrzyło na niepospolicie pięknego kuzyna ich elewki. Co te źrenice mówiły, to do nas nie należy. Do zaznaczenia nadaje się ta jeno, że nie na elewkę, ale na jéj towarzysza patrzały, gdy się wsiadanie do pojazdu odbywało; gdy zaś powóz ruszył, w oczach dam pozostał obraz nie jéj, ale jego.

Powóz zatrzymał się przed dworcem kolei żelaznéj. Hrabia wprowadził pannę Cecylię do sali poczekalnéj, pozostawił ją w niéj na chwilę i następnie usadowił w wagonie pierwszéj klasy. Niebawem pociąg ruszył. Kompartyment oprócz hrabiego i jego młodéj towarzyszki, zajmowało jeszcze osób parę, któreby były świadkami zbytecznemi, gdyby hrabiemu chodziło o zabranie bliższéj znajomości. Czy mu jednak o to chodziło? Spoglądał na kuzynkę wprost i z ukosa; studyował ją okiem znawcy; odzywał się do niéj kiedy niekiedy, zadając jéj pytania, tyczące się usług, jakie w podróży grzeczny towarzysz zwykł towarzyszce oddawać i w pytaniach to się dawało zauważyć, że zrazu rozpoczynał je wezwaniem: „kuzynko“; następnie do rzeczownika tego dodawał przymiotnik: „piękna“. Czynił to nie bez racyi. Szczegółowe zbadanie postaci jéj do tego doprowadziło rezultatu, że wszystkie rysy, linie i kształty znalazł w harmonii doskonałéj, w harmonii natchnionéj życiem, świadczącém się akcentem wejrzenia, wyrazem oblicza, tętnieniem żyłek na skroniach, wrzeniem krwi pod skórą, rozkoszą uśmiechu, znamionującą zalotność, właściwą pączkowi, co się z kielicha wychyla i do słońca wdzięczy w absolutnéj wydzielającego się z niego uroku barw i woni nieświadomości. Pan de Trezaillac rozpoznał to wszystko i, w głębokiém znawstwie swojém zalet niewieścich, uznał kuzynkę „cukierkiem do schrupania“ a przemawiał do niéj: „piękna“. Rozmowy z nią jednak nie zawiązywał, raz dla powodu wymienionego powyżéj, powtóre dla tego, że zauważywszy na niéj cień smutku, widział w takowym za naturalne następstwo rozstania się z towarzystwem, do którego przywykła i z zakładem, w którym lat tyle spędziła. Człowiek zżywa się z ludźmi i z miejscem: na odzwyczajenie się potrzeba mu czasu trochę i takiego nowego otoczenia wpływu, któryby działał stopniowo i łagodnie. Hrabia był o tyle psychologiem, że to rozumiał pomimo, że się przeważnie fizyologią i fizyką zajmował; był psychologiem z téj racyi, że miał do czynienia z końmi, psami, litościwemi żonami i obrażającymi się małżonkami. Uszanował więc smutek panny Cecylii i tylko ją

obserwował, co mógł z całą czynić swobodą, ona bowiem ustawicznie prawie patrzała w okno, jakby ją w sposób szczególny zajmowały zrazu monotonne rozłogi Flandryi, daléj widoki bardziéj urozmaicone przed oczami umykające. W okno patrzała zasmucona i od czasu do czasu wzdychająca.

„Rozweselisz się ty, kuzyneczko — mówił hrabia do siebie — gdy w wir paryski wpadniesz, z należnemi twoim wdziękom i twemu posagowi hołdami się spotkasz i za mąż wydaną zostaniesz. Zamawiam sobie, moja piękna, względy twoje, gdy zakosztujesz rozkoszy pożycia małżeńskiego. Nie odmówisz chyba takowych świadkowi pensyonarskiego smutku twego: smuć się więc tymczasem“.

W smutku jéj zaszła przerwa. Nastąpiła ona w chwili, gdy się pociąg zatrzymał i konduktor wezwał do wysiadania podróżnych wszystkich.

— Jesteśmy we Francyi -- rzekł hrabia do panny Cecylii.

— We Francyi?! — krzyknęła.

— Okrzyk ten, brzmiący akcentem takim, jakby się z głębi duszy wydarł i był wyrazem głębi uczucia, zdziwił hrabiego.

— We Francyi — powtórzył — na granicy, na komorze celnéj. Będą celnicy nasze pakunki rewidowali.

Panna de Erabel nie słuchała, zdawało się, tego objaśnienia. Oblicze jéj jaśniało uradowaniem, którém się nie dzieliła z towarzyszem podróży, ani w czasie rewizyi, ani następnie, w dalszym ciągu jazdy koleją. W dalszym ciągu jednak podlegało snać ono wpływom jakimś z zewnątrz idącym, albowiem przygasało niekiedy, ustępując miejsca smutkowi, który stale powracał.

Hrabiego to nie dziwiło.

„Uśmiecha się jéj Paryż; żal jéj za damami angielskiemi“ — tłómaczył sobie.

W ten sposób wytłómaczył sobie i okrzyk na granicy: „Francya—to Paryż. Dziewczynka przez lat piętnaście o Paryżu roiła“.

Ani przypuszczał, ażeby o czém inném roić mogła. Dla tego też gdy pociąg biegu zwalniając, wjechał pomiędzy, długo się ciągnące, a stanowiące niejako miasto osobne, zabudowania dworca paryskiego, oznajmił z uśmiechem:

— A więc, jesteśmy już w Paryżu.

Panna Cecylia wiadomość tę przyjęła obojętnie. Odpowiedziała:

— A?

Następnie zamilkła i zrobiła po chwilce taki giest, jakby o coś zapytać chciała. Nie odezwała się jednak.

— Znużoną się czuć musisz, moja piękna kuzynko—rzekł hrabia.

— Trochę, nie bardzo, wcale— odparła i znów powtórzyła giest, oznaczający chęć zapytania.

Znów atoli zapytania nie wygłosiła.

— Telegrafowałem do ciotki Herminii z Lille — zaczął hrabia, chcąc dziewczynę do wyrzeczenia zapytania ośmielić. — Hrabina zawiadomiona wygląda przybycia twego, które nastąpi za chwilę.

Kiedy gwizdawka oznajmiła już wejście pociągu pod szklany dach dworca, panna Cycylia nagle i niespodzianie zwróciła się do hrabiego z następującemi, akcentem pytającym zaznaczonemi mocno wyrazami:

— Powiedź mi, kuzynie, czym ja Francuska?

— Ale! — odrzekł zdumiony.

— Czym ja Francuska? — powtórzyła z naciskiem.

— No, to jest...—jął się bąkać, dziwiąc się sam sobie, nigdy bowiem zapytanie z ust kobiéty w kłopot go nie wprawiało, jak to oto.— To jest... ależ...

W chwili téj konduktor drzwiczki od wagonu otworzył i uwolnił hrabiego od odpowiedzi, któréj z powodu, że pochwycić od razu nie mógł sensu zapytania, zformułować nie umiał. Uczuł więc wdzięczność dla konduktora.

„Ta mała — pomyślał sobie — mnie, mnie? zakłopotała“.

Wnet atoli znalazł wypadku tego tłumaczenie we właściwości umysłów nierozwiniętych, przejawiającéj się w zadawanych przez dzieci zapytaniach, wprawiających nierzadko ludzi dojrzałych w kłopot niewysłowiony. Zaliczył przeto umysł pięknéj kuzyneczki do tego rodzaju, co uprawy wymaga.

„To przyjdzie samo przez się“ — rzekł w duchu.

Przed dworcem czekał pojazd hrabiego, lando w parę dzielnych zaprzężone koni. Przejazd na ulicę Varennes zabrał ze dwadzieścia minut czasu i zajął zapewne dotychczasową mieszkankę Zakładu dam angielskich tak dalece, że nie powtórzyła kłopotliwego zapytania. Nie sposób, ażeby uwagi jéj nie zwróciły na siebie rzeczy nigdy przedtém nie oglądane: ruch miasta, gwar, wspaniałe ulice, pyszne budowle, place, gmachy, pomniki.

Gdy się pojazd, na podwórzec wjechawszy, przed wspaniale okolumnionym zatrzymał gankiem, starszy kamerdyner ukazał się u wnijścia i oddał się na rozkazy panny de Erabel, oświadczając się z gotowością zaprowadzenia jéj do jéj apartamentu.

— Proszę — odrzekła.

— A zatém — odezwał się hrabia de Trezaillac — misya moja skończona: żegnaj, piękna kuzynko.

Panna Cecylia podziękowała; podziękowanie wsparła zupełnie poprawném (uczyła się tego w zakładzie) dygnięciem i udała się za lokajem, który ją wprowadził na schody i na kurytarz. Na kurytarzu na jéj spotkanie pośpieszyła średniego wieku pokaźna kobiéta, wygląd służebny mająca. Podbiegła, stanęła przed nią, ręce niby do modlitwy złożyła i zawołała:

— O Boże! nareszcie!

Panna Cecylia patrzyła na nią pełnemi wyrazu zapytania oczami.

— Nie poznajesz mnie? nie? co? Jaż ciebie wykarmiła i wypiastowała, ja, Marcelina Moisson! Jaż ciebie na rękach moich z tego piekła, co na dom państwa de Erabel spadło, wyniosła! Któż, jeżeli nie ja, dowiózł cię do Brukseli i oddał w ręce hrabiny de Rochemobille?

Spotkanie się z mamką wruszyło i rozrzewniło młodą dziewczynę. Przywitała się z nią serdecznie; dała się jéj do apartamentu wprowadzić i niezwłocznie kazała jéj sobie opowiadać.

— Opowiadaj, opowiadaj — przemówiła do niéj głosem proszącym.

Ta przeto opowiadała. Zaczęła jednak od końca, mianowicie zaś od poskarżenia się, że kiedy ją (Cecylię) do Bruges, do dam angielskich, odwożono, jéj (Marcelinie) nie pozwolono pozostać przy niéj.

— Takem prosiła, tak prosiła.

— Zkądżeś mnie przywiozła do Brukseli?

— Z Paryża. Mój Boże! ledwiem się do Paryża dobiła przez wojska niezliczone. Ach! co to było. Dostaję się nareszcie. Ledwiem się dopytała do pałacu Rochemobille: przychodzę z tobą na ręku a hrabia i hrabina na godzinę przedtém wyjechali. Więc ja, nie długo się namyślając, za nimi, do Brukseli. W Brukseli znów szukaj.

— Skądżeś i dla czego przybyła do Paryża? — przerwała panna Cecylia.

— Dla czego? jakto! — odpowiedziała Marcelina. — Pan, ojciec twój, zginął we fran-tirerach, pani przepadła w zamku, na który spadł istny dzień sądny.

Z dalszego mamki opowiadania pokazało się, że zamek znajdował się w obrębie pola bitwy i zasypany został kulami i granatami. Marcelina zdawała z tego sprawę nie zbyt dokładnie, ale malowniczo; słowa swoje łzami niekiedy oblewała, wzruszoną słuchaczki uwagę w natężeniu trzymała i, kiedy w konkluzyi, mówiąc o rodzicach panny Cecylii, rzekła:

— Zginęli oboje, i pan i pani.

— Za Francyę?!—podchwyciła dziewczyna.

— Za Francyę.

— Więc, więc... Ach! Boże, dziękuję ci. Ja... Francuska! — zawołała, i z płaczem się w objęcia mamki rzuciła.

VII.

Znanym jest powszechnie los panien na wydaniu w wielkich domach francuskich, domach stanowiących *la fine fleur* towarzystwa. Otrzymują one, prawie bez wyjątku, wychowanie klasztorne, po ukończeniu którego, rzecz cała na tém polega, ażeby je zahukać i za mąż wydać. Zaletę ich całą stanowi posag. Przymioty rozumu i serca, talenty i wdzięki najmniejszego nie mają znaczenia i nie uwzględniają się zgoła. Znaczenia nabierają one dopiéro po zamążpójściu, gdy dama występuje w roli czynnéj, w któréj z konieczności rzeczy miesza *sacra profanis*, która to mieszanina pysznie wygląda, gdy ją zaprawiają dowcip i—nazwana obecnie flirtem— zalotność. W warunkach takich, upadki najpospolitsze wydają woń cnót najszczytniejszych, przedewszystkiém zaś zapewniają wziętość o tyle większą, o ile ją podtrzymują środki donioślejsze. Kobiéta dowcipna, zalotna i bogata zajmuje prędko stanowisko wyroczni towarzyskiéj, pod warunkiem atoli, ażeby była skuta pierścieniem małżeńskim. Bez tego jest pionkiem, posuwanym dopóty, póki jéj kto nie weźmie. Posuwaniem trudnią się matki, ciotki, babki, przyjaciółki, opiekunki, upatrujące partyi odpowiedniéj.

Jako pionek tego rodzaju zjawiła się w wysokiéj sferze towarzystwa paryskiego panna Cecylia.

Pierwszym wyrazem, jaki do niéj ciotka wystosowała, był wyraz:

— Piękna!

— Moja ciotko!—odparła dziewczyna, zmieszana trochę.

— Jesteś piękna. Muszę ci to powiedziéć, ażebyś nie brała za pochlebstwa, gdy ci to ludzie mówić będą. Jesteś piękna.

Powtórzyła to samo księżna d'Ursac, gdy w odwiedziny do przyjaciółki przyjechała.

Nabrzmiały wyrazem tym chór odezwał się do koła niéj.

— Piękna! piękna!

— Będzie miała powodzenie.

— O! i jakie!

Odnosiło się to do pokazania jéj światu. Hrabina wzięła się do tego w sposób klasyczny. Zaczęła od wód. Pokazała siostrzenicę na tym teatrze międzynarodowym, na którym się odbywają przeglądy

towarzyskie kosmopolityczne. Wyjście z honorem z przeglądu takiego, nadaje pozę pannie na wydaniu. Chodzi o to, ażeby pytano: „Co to za jedna?“

Pytaniem tém w ogień krzyżowy brano pannę Cecylię u wód i nad morzem.

Tryumf dla niéj zaznaczył się wyraźnie. Powodzenie zapowiedziało się niedwuznacznie.

— I jakże?—-zapytała księżna d'Ursac.

— Idzie...—odpowiedziała hrabina de Rochemobille.

— Upatrzyłaś kogo?

— Nie śpieszę się z tém. Mała nadaje się na wędkę do wzięcia grubéj ryby dla naszéj sprawy...

— Podziwiam ciebie, Herminio!... Odegrasz świetną w dyplomacyi rolę... Nastawisz zapewne małę na Gastona...

— Nie wiem, może... — odrzekła hrabina głosem niekoniecznie pewnym.

Niepewność głosu stąd pochodziła, że się nie powiodła z Gastonem próba, dla któréj uproszony został o przywiezienie kuzynki z Bruges. Przywiózł i—misyę swoją uważał za skończoną. Pojawił się był w Trouville, lecz na krótko, w przejeździe do Bordeaux, gdzie czekał na niego jego yacht, który go miał odwieść do Ameryki na polowanie na aligatory. Miano mu to bardzo za złe, opuszczał bowiem Francyą w momencie, w którym „towarzystwo“, w niewieściéj swojéj połowie zwłaszcza, czyniło wysiłki nadludzkie, celem wypchania na przewodnie w kraju stanowisko męża, przezwanego „nasz generał“ (*notre général*). Dlatego, po otrzymaniu odpowiedzi niepewnéj, księżna się poufnie do przyjaciółki odezwała:

— Jabym ją nastawiła na Boulangera...

— Moja droga!—odparła hrabina. — Możnaż konkurencyę robić „naszéj księżnéj“?...

— To prawda—odrzekła księżna d'Ursac.

— Trzymam ją w rezerwie, zobaczymy...

Jakoż w istocie, hrabina de Rochemobille trzymała pannę Cecylię w rezerwie. Wprowadziła ją w odmęt światowy, który dziewczynę ogłuszał i olśniewał. Odmęt ów tak ją opanował, że zrazu nietylko się rozpoznać, ale pomyśléć w stanie nie była. Czasu jéj na to brakło. Wieczory, recepcye, bale, teatr, koncerty, posiedzenia u krawców i modniarek, lasek buloński, inne różne „obowiązki“ pochwyciły ją w wir, sprawiający ustawiczny zawrót głowy. Jak się w kołowaniu takiém opamiętać? To téż opamiętywanie się przychodziło jéj z trudem, stopniowo i powoli i punktem najpierwszym, około

którego ogniskować się poczęło, było brzmiące jéj w uszach na wieczorach, balach, recepcyach, w loży teatralnéj, na posiedzeniach nawet u krawców i modniarek, wszędzie i nieustannie, nazwisko generała Boulanger.

Co to znaczy? Nazwisko to przedstawiło się jéj w postaci zagadnienia, do rozwiązywania którego wzięła się z zapałem umysłu dziewiczego. Czy to jaki wielki człowiek? „Nie musi to być wielki człowiek — tłómaczyła sobie — kiedy jest naigrawania się przedmiotem.“ W powtarzających się ustawicznie rozmowach o nim, hrabina i księżna, hrabia i książę, wszyscy wreszcie niemiłosiernie z niego drwili. Drwili z niego, z jego konia karego, z jego min, słów, czynów i wypychali go naprzód. Zastanawiając się nad tém, do tego doszła wniosku, że te wypychanie naprzód ma na celu przyprawienie go o skręcenie karku. Nie wydało się jéj to w porządku, pomimo że czynność ta miała na widoku przywrócenie porządku, nadwerężonego przez jakichsiś Thiersów, Gambettów, Grevych, Carnotów, Ferrych, Constansów i innych, wielu innych, przedstawiających się jéj, jako zgraja zbrodniarzy gatunku najgorszego. Boulanger miał tych zbrodniarzy z Francyi wyrzucić i sam się wywrócić. Panna Cecylia, ile razy perspektywa ta w oczach jéj stawała, wzdychała i uciekała myślą do Joanny d'Arc, co kraj zbawiła, do ojca swego, co w szeregach obrońców Francyi zginął, do matki, co padła ofiarą najazdu niemieckiego. Pod ich niejako skrzydła się chroniła -- to sprawiało jéj ulgę na sercu i duszy.

„Francuską jestem“ — na pocieszenie w duchu sobie powtarzała i sposobiła się moralnie do stwierdzenia tego czynem, gdy tylko się po temu możliwość dla niéj otworzy.

„Możliwość.“ Wyraz ten znaczył zamążpójście, które w zahukaniu stawało przed nią nie inaczéj, tylko jako jeden z „obowiązków“ towarzyskich, pełnionych pod przewództwem ciotki. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy, dlaczegoby wyjść miała nie za tego, ale za tego z liczby mnogich wielbicieli, otaczających ją w świecie. Widziała w nich przedewszystkiém bliźnich, gdy patrzyła na nich z punktu wychowania klasztornego; widziała w nich następnie Francuzów, gdy o opowiedzianéj przez mamkę katastrofie myślała. O! jakżeby pragnęła z którym z nich zespolić się w celu — nie wyrzucania zbrodniarzy i wywracania Boulangerów, ale zużytkowania tych zbrodniarzy, tych Boulangerów, tudzież tych wszystkich w rodzaju księcia d'Ursac, hrabiego de Rochemobille i innych wielu cnotliwców, na rzecz Francyi. Najlepiéj, w mniemaniu jéj, nadawałby się na to kuzynek Ga-

ston; ten atoli unikał jéj: po półtorarocznéj nieobecności, gdy się w Paryżu pojawił, pierwszemi wyrazami, jakie do niéj zwrócił, były:

— Jakto? niewydanaś jeszcze?... O czémże myśli kuzynka Herminia!... Ach! polityka, polityka... Ale może to i lepiéj ze względu na... temperaturę.

Nie rozumiała panna Cecylia, coby temperatura oznaczać miała i nie wiedziała, że ciotka Herminia o jéj wydaniu myśli.

Dowiedziała się o tém niebawem po powrocie kuzynka. Hrabina rozmówiła się z nią uroczyście i, poprzedziwszy się wstępem wymownym, oznajmiła jéj, że na małżonka dla niéj nastręcza się baron Karol de Sarr, który nie jest do odrzucenia.

— Człowiek młody, przystojny, dobrze wychowany, nabył w Lotaryngii dobra, graniczące z twojemi i ma przed sobą przyszłość świetną... Znasz go zresztą. Od ciebie zależy przyjąć go lub nie przyjąć... Cóż?...

Panna Cecylia nie mogła się prędko z odpowiedzią zebrać. Hrabina dodała:

— Namyśl się, moje dziecko. Nie chcę na ciebie przymusu wywierać, luboć ja i hrabia, książę d'Ursac i księżna, jakotéż wszyscy nasi przyjaciele bardzo byśmy pragnęli, ażeby związek ten do skutku przyszedł. Powiadam ci, baron ma przed sobą przyszłość, przyszłość, do któréj taka, jak ty, żona dzielnie się przyczynić może. Pomyśl i namyśl się...

Co tu do namyślania się było? Panna Cecylia znała barona, jak znała wielu innych, ze schodzenia się z nim w świecie. W czasie ostatniego pobytu nad morzem, widywała go codziennie prawie przez tydzień cały. Nic mu do zarzucenia nie miała—owszem: śród przelewających się jéj przez uszy rozmów politycznych, śród ustawicznego przesiewania przez przetak językiem nazwisk rozmaitych, nazwisko jego nigdy wymawianém nie było. Znaczyło to, że nie wciągano go do kombinacyi, mających na widoku wywracanie jednych przez drugich. Nie wciągano, bo się zapewne wciągać nie dawał. A zatém, przydaćby się mógł do téj kombinacyi, do któréj wchodzili: ojciec, matka i Joanna d'Arc.

„Tak"...—powiedziała sobie panna Cecylia w konkluzyi i oświadczyła ciotce, że gotową jest zaślubić barona de Sarr.

— Ach!...—wykrzyknęła hrabina, garnąc siostrzenicę do szerokiego łona swego. O, toż się ucieszą hrabia, książę, księżna i wszyscy najbliżsi przyjaciele nasi!...

W rzeczy saméj, uciecha śród przyjaciół najbliższych była wielka, gdy o związku tym wiadomość w świecie gruchnęła. Po za kół-

kiem przyjaciół najbliższych krzywiono się jednak. Krzywiono się, ale nie bardzo: niechęć neutralizowała uwaga, że jest-to związek polityczny. Że zaś polityka przenikała wszystkich i wszystko, drażniła i w drażnieniu doszła stopnia natężenia najwyższego, jakie spowodowało rozbicie się kombinacyi, opartéj na wypychaniu generała Boulanger, zatém uwaga powyższa aż nadto wystarczała na usprawiedliwienie wydania panny de Erabel za barona, którego niektórzy nazywali von Sarr.

Pannę Cecylię zasypywały powinszowania. Między innymi złożył jéj takowe kuzynek Gaston.

— Winszuję, szczerze winszuję i zamawiam sobie łaskawe pięknéj kuzyneczki względy na przyszłość...

Przygotowania do ślubu szły pośpiesznie, luboć tego znać nie było, odbywały się bowiem po pracowniach krawców, modniarek, szwaczek, szewców, jubilerów i różnych innych rękodzielników, przysposabiających tak zwany „kosz weselny“ (*corbeille de noce*). Pracowali oraz mularze, stolarze, ślusarze i dekoratorowie, dla przyszłego bowiem stadła kupiony został przy ulicy de Lille pałac, do którego zawinąć mieli po powrocie z podróży poślubnéj. Młodą parę błogosławić się zgodził sam arcybiskup w kościele św. Magdaleny.

Czekano na dzień ów wyroczny i doczekano się. Program ułożono taki: o godzinie dziewiątéj, przy kilku świadkach, ślub cywilny w merostwie, na który panna młoda stawi się w odzieży dnia powszedniego i, po załatwieniu się z tém, powróci, włoży na siebie suknię ślubną, osłoni się welonem, spływającym z wieńca dziewiczego i o godzinie pół do dwunastéj stanie u stóp ołtarza. Stosownie do programu tego przyszykowywało się wszystko. Suknia ślubna, wieniec, tiule czekały w pogotowiu, a w saloniku obok panna Cecylia sposobiła się do ślubu cywilnego, do wyjazdu, na który pora się już zbliżała, gdy weszła hrabina.

— No... wkrótce — rzekła, siadając i tkliwie na siostrzenicę patrząc—baronową zatytułuję cię... Zadawalnia cię to... co?...

— Moja ciociu — odparła zagabnięta. — Nie mam, zdaje się, do niezadowolnienia powodu.

— Tak, tém bardziéj, że związek twój z baronem de Sarr ma doniosłość polityczną ogromną. Boulanger się zbłaźnił; książęta pretendenci bawią się w ciuciu babkę i przyjaciół moich narażają na srogie kompromitacye; z téj strony wszystko się rwie, łamie i pada tak, że nie pozostaje, jak zdobyć się na krok heroiczny i szukać ratunku tam, skąd on przyjść może... Dlatego téż, po zakończeniu podróży poślubnéj udasz się z mężem wprost na dwór, gdzie już przyjęcie jaknajłaskawsze jest dla was zapewnione.

— Na dwór?... na jaki?...—zapytała panna Cecylia.

— Cesarski.

— Gdzie?

— W Berlinie.

— W Ber-li-nie?... Cóż ja tam do czynienia mieć mogę?...

— Ujęcie młodego cesarza i nakłonienie go do wydarcia Francyi z rąk zbrodniarzy, w zamian za tron francuski dla jednego z jego synów... Jest-to plan w poufném powzięty kółku. Przeprowadzić go potrafisz wespół z mężem, posiadającym wielkie i ważne na dworze berlińskim stosunki i skłaniającym się do pomagania nam...

— On?... Francuz?... — odezwała się panna Cecylia z akcentem zdziwienia.

— On nie Francuz; on Niemiec...—odparła hrabina.

— Więc... więc... — podchwyciła panna Cecylia w sposób taki, jakby wyrazy z ust sobie wyszarpywała.—Więc...

Widocznem było, że doznała wrażenia, nad którém zapanować usiłuje. Powtórzyła jeszcze „więc“ razy parę i przemówiła spokojnie:

— Dziękuję ci, ciotko, żeś mnie w porę uprzedziła. Ja żoną pana Sarr być nie mogę...

— Cooo?...—przeciągle zapytała hrabina.

— Ja żoną pana Sarr być nie mogę...

W wyrazach tych czuć się dało postanowienie silne i niezłomne, które hrabinę wzburzyło. Nie przewidywała niczego podobnego. Zaskoczona niespodzianie, spróbowała obrócić rzecz w żart i nad postanowieniem siostrzenicy przejść do porządku dziennego. Nie wierzyła w nie niby. Uwierzyć jednak musiała, co gdy nastąpiło, uniosła się, wybuchnęła; spróbowała pannę Cecylię rozkazem do posłuszeństwa zmusić; porwała się nawet na nią z pięściami zaciśniętemi; lecz, gdy obok niéj, zbladłéj i drżącéj, ujrzała Marcelinę także z pięściami zaciśniętemi, dostała ataku nerwowego i wypadła z saloniku z okrzykiem:

— Skandal!... skandal!...

Okrzyk ten rozległ się po całym pałacu, z pałacu wymknął się w świat i w stopniu jaknajwyższym zgorszył „towarzystwo“ całe, które, nie wiedząc o zajściu, stawiło się było o pół do dwunastéj w świątyni, zapełniając ją po brzegi. Towarzystwo czekało i arcybiskup czekał. Doczekali się wieści o skandalu.

— Skandal!... skandal!...

O wypadku tym przez całe trzy dni, niby w bęben bito po salonach, po buduarach, po lożach, po ulicach nawet. Ulicznicy wyśpie-

wywali na prędce ułożoną szansonetkę, w której powtarzająca się za każdą strofą zwrotka da się przetłómaczyć, jak następuje:

Nie dla psa kiełbasa,
Szpérka nie dla kota,
Darmo, Niemcze, do Francuski
Brała cię ochota.

Wrażenie trwało przez dni trzy; po trzech dniach przeminęło i nie pozostawiło następstwa innego, jak powzięcie przez księżnę d'Ursac zamiaru nawrócenia hrabiego de Trezaillac i wzięcia przez tego ostatniego temperatury księżny.

Tak się to nieraz wielkie rozstrzygają sprawy.

T. T. Jeż.





James Russell Lowell.

Wielka rzeczpospolita amerykańska, rasa anglo-saska, i rzec można, cały świat cywilizowany poniósł przez śmierć J. R. Lowell'a stratę bolesną. W ojczyźnie oddano hołd zasłużony jego politycznym, oratorskim i dyplomatycznym zdolnościom i talentom, ale daleko po za granicami Stanów Zjednoczonych, wszędzie go czczono jako wysoce oryginalnego poetę, jako głębokiego i bystrego krytyka, jako jednego z najszlachetniejszych, najpodnioślejszych myślicieli współczesnych, wieść o jego zgonie rozdźwiękła żałośnie. Napróżno powtarzamy sobie, że doszedłszy do 72-go roku życia, wielki ten pisarz wypowiedział już wszystko co miał do wypowiedzenia, czujemy że razem z nim cała epoka rozwojowa schodzi do grobu i że ludzkość stała się uboższą o jednego ze swych najprzedniejszych synów. Mamy przed sobą całkowite wydanie jego pism, w dziesięciu tomach i wystarczy nam otworzyć ten lub ów, aby zdanie to potwierdzić. Z wielkiéj plejady amerykańskich gwiazd literackich, po śmierci Longfellowa i Emmersona, on tylko pozostał i równy mu wiekiem Walt Whitman, oraz o dziesięć lat starszy Oliver Wendell Holmes. Obecnie dwóch tylko już tych ostatnich świat amerykański posiada, a wiadomo, że Whitman już się przeżył od lat kilkunastu i że Holmes choć zadziwiającéj czerstwości na swój wiek sędziwy, nie kwapi się do zakłócenia literackiéj apoteozy, która jest jego udziałem od dawna. Można tedy powiedzieć, że Stany Zjednoczone nie posiadają chwilowo żadnego czynnego olbrzyma literackiego, a jeżeli odłożymy na stronę grono utalentowanych powieściopisarzy, to trzeba będzie przyznać, że w całym zakresie literatury nadobnéj i w dziedzinie krytyki filozoficznéj, rozsiadła się tam szara mierność. Być może, że Longfellow, jako poeta był popularniejszy, a Emmerson subtelniejszy

jako myśliciel, lecz pierwszy nie posiadał krytycznego umysłu Lowella'a, a drugi nie był jak on poetą. Ta niezaprzeczona wielostronność Lowell'a stanowi jego oryginalność i pozwala zrozumieć próżnią jaką po sobie zostawia. Czytelnicy mniéj z jego pismami obznajmieni przyjmą, śmiemy tuszyć, nie bez interesu, treściwą jego literackiéj twórczości charakterystykę.

James Lowell urodził się w 1819 roku w Cambridge, w stanie Massachusetts i umarł w tym samym rodzinnym swym domu w dniu 12 sierpnia r. b. Należał on do staro-angielskiéj rodziny, która się przeniosła tam w XVII stuleciu i która wydała już nie jedną znakomitą osobistość. Ojciec jego był pastorem, a matka, jak się to ponownie i na nim stwierdziło, miała być wysoce rozwiniętą inteligencyą, która w syna zaszczepiła rdzeń poetyczny. Już na szkolnych ławkach zaczął kleić rymy, a chociaż w późniejszych latach i o nich, i o pierwszych swych drukowanych poezyach, zwykł był mówić z lekceważeniem, czytająca publiczność okazała się dla nich pobłażliwą i niektóre z młodzieńczych jego utworów pomieściła w swych wyborowych antologiach. Po ukończeniu studyów w uniwersytecie w Harvard, został adwokatem, ale na szczęście miał spraw nie wiele do bronienia i pozostawało mu czasu sporo do literackich studyów i do agitacyi politycznéj. Ta ostatnia przybrała od razu nastrój humanitarny i zwróciła się przeciwko niewolnictwu, które było wówczas, nie należy zapominać, instytucyą państwową w Stanach Zjednoczonych. Będąc nieodrodnym potomkiem Johna Lowell, który w końcu zeszłego stólecia rozpoczął w Stanie Massachusetts agitacye za zniesieniem niewolnictwa, stanął na czele tygodniowego pisma *Anti-Slavery Standard* i w wielu swych mowach, broszurach, a szczególniéj w poezyach raz po raz do téj sprawy powracał. Można powiedzieć, że czuł na swéj duszy ciążącą zmorę tego niewolnictwa, co kalało organizm swobód narodowych i że nie mógł dyszeć swobodnie, dopóki nie zostało zniesione. Ów oryginalny poemat humorystyczny *Biglow Papers*, do którego powrócimy niebawem, wydany w r. 1848, który odrazu pozyskał mu wziętość i rzec można sławę, obraca się całkowicie około téj myśli przewodniéj. Pomiędzy tą datą, a rokiem 1874 ześrodkowała się działalność pisarska Jamesa Lowell, strzelająca w rozmaitych kierunkach, świadcząca o rozległości jego wiedzy, oryginalności myśli, doskonałéj metodzie rozumowania i nakoniec wzorowéj piękności języka i stylu. Przez lat kilka był profesorem literatury w uniwersytecie Harvard, jako następca na téj katedrze po Longfellow'ie. Ale zawód profesorski nie przystawał do jego umysłowego temperamentu, który się rzucał w rozmaite dziedziny badań zawsze równie ciekawy,

równie bystry i dochodzący przez odległe nieraz manowce do tych samych zasadniczych prawd, od których zdawało się pozornie, że jest oddalony. Jak znakomitemi musiały być jego wykłady uniwersyteckie, możemy widzieć z kilku tomów studyów literackich, które są ich streszczeniem. Rola wybitna, jaką odegrał w czasie wojny secesyjnéj stając, jak się samo przez się rozumié, po stronie Lincolna i przeciwników niewolnictwa, sława, jakiéj używały jego poezye, wpływ jego oracyi politycznych, poczytność przeglądów, które wydawał jak *Atlantic Monthly* i *North American Review,* honory, jakie okazywano w Europie za każdéj jego bytności — uniwersytet oxfordzki ofiarował mu godność doktorską w 1873, a uniwersytet w Cambridge w 1874 r. — wszystko to były okoliczności, które otoczyły jego imię niezaprzeczoną aureolą. W r. 1874 rząd amerykański ofiarował mu pozycyę ambasadora w Petersburgu. Nie przyjął téj posady i trzeba było prawdziwego nacisku, ażeby w trzy lata późniéj zgodził się zostać posłem w Madrycie. Po dwuletniéj tam bytności przeniesiony został na ambasadora do Londynu: jest to najbardziéj ceniona pozycya w Stanach Zjednoczonych.

Tutaj James Lowell czuł się na swoim gruncie. Nie zapominał on nigdy o wspólności pochodzenia i jak to często mawiał, był sam Anglikiem, urodzonym po drugiéj strony Oceanu. Do Anglii, do jéj instytucyi, jéj cywilizacyi, piśmiennictwa, tradycyi, zabytków archeologicznych czuł pociąg niezwalczony. Szerzył sympatyę, bo sam ją uczuwał. Więcéj niż jakikolwiek z jego poprzedników i następców, na tém stanowisku urzędowém, przyczynił się do zbliżenia z sobą dwóch narodów, od stu lat rozdzielonych, do postawienia ich na tym samym poziomie. Anglicy, którzy tak jawnie okazują kuzynowi Jonathanowi, że uważają go za doskonałego spekulanta i *bussines'man*, ale, że pod względem cywilizacyi, wyrafinowanego umysłu i smaku, widzą w nim barbarzyńcę, musieli przyznać, że nie posiadają u siebie wielu, równie potężnych inteligencyi o delikatnéj kulturze, jak ten urzędowy przedstawiciel Stanów Zjednoczonych. Każda z jego mów publicznych w Anglii, jego toastów i przemówień, zdobywała sobie reputacyę arcydzieła w swoim rodzaju. Gdyby nie śmierć żony, którą stracił w Londynie w 1885 r., co spowodowało jego wycofanie się z zawodu publicznego, byłby zapewne pozostał aż do zgonu na stanowisku swojém. Jak wielką zyskał sobie w sferach rządowych i towarzyskich angielskich sympatyę, pokazało się obecnie po jego śmierci. Królowa wysłała telegraficznie swe wyrazy ubolewania do narodu amerykańskiego, w katedrze westminsterskiéj wymowny kanonik Ferrar, pierwszy z kościelnych mówców angielskich, wygłosił mowę

żałobną, a nie było pisma, nie było towarzystwa literackiego, któreby jego wspomnieniu nie poświęciło od miesiąca całych łamów albo posiedzeń.

Od czasu powrotu do ojczyzny, James Lowell, po tryumfie stronnictwa demokratycznego, usunął się od wszelkiéj działalności publicznéj, zamknął się w swym ukochanym Elmwood, do którego myślą i piórem tak często powracał, w kole rodzinném pomiędzy jedyną córką i wnukami, i nieprzestając aż do ostatniéj chwili śledzić ruchu umysłowego współczesnego, czytając ulubionych pisarzy, przyjmując gościnnie i uprzejmie wszystkich braci po piórze, którzy do jego zacisza zaglądali, zakończył życie użyteczne, pełne i piękne. Słowa i czyny były u niego w zgodzie, pisarz i człowiek byli równie sympatyczni. Pozostaje nam zapoznać się bliżéj z pierwszym.

Krytyka stawia nieraz przed pisarzami trudne do zaspokojenia wymogi: żąda od nich, ażeby byli wyrazem powszechnéj cywilizacyi, ażeby odzwierciadlali w sobie rozwojowy przebieg ludzkości, uważanéj jako całkowity organizm, a jednocześnie żąda, ażeby byli pisarzami ściśle i wyłącznie narodowymi, ażeby krystalizowali w sobie dane społeczeństwo i daną epokę. Jest prawie niepodobném być klasykiem— w najwyższém słowa tego znaczeniu — i pisarzem współczesnym, kosmopolitą i narodowcem, a przynajmniéj nie wiele tego rodzaju typów przedstawiają nam dzieje piśmiennictwa. Do tych rzadkich a szczęśliwych wyjątków można zaliczyć właśnie Lowell'a. Należy on zarówno do starego świata, z którym się zsolidaryzował, którego geniusze stały się jego mistrzami, i do nowego, który wycisnął na nim piętno niestarte. Obie strony, oba stronnictwa raczéj uznawały go za wyłącznie swego adepta i pod pewnym względem oba miały słuszność. Profesor Dowden nie widzi w nim cechy amerykańskiéj, ale Anglika, który się przypadkiem urodził po drugiéj stronie Atlantyku i tkwiącego zawsze w swéj rodziméj sferze; Stedman i cały szereg krytyków pierwszorzędnych przeciwnie, uważają go nietylko jako nawskroś amerykańskiego poetę i pisarza, ale nawet za najdoskonalszy typ takowego, jako „*representative man*“ literatury amerykańskiéj. Wszystkie zasady i idee, które wywalczyła ludzkość w swym pochodzie cywilizacyjnym i które przeszły w jéj organizm i ukształtowały go, cześć dla swobody publicznéj, dla niezależności duchowéj, dla pracy człowieczéj we wszystkich jéj fazach, wyrafinowany smak i wtajemniczenie się w istotę najsubtelniejszych geniuszy wszystkich epok: oto co czyniło zeń pisarza, należącego jeżeli nie do całéj ludzkości to przynajmniéj do całéj rasy anglo-saskiéj. Ale gdy się weźmie na uwagę jak stawał zawsze na gruncie narodowym, jak się zajmował i brał do

serca zagadnienia swego własnego społeczeństwa, jak gorącą miłością otaczał bohatérów amerykańskich i do jakiéj ostateczności posuwał przywiązanie do wyłączności krajowych—największy jego poemat napisany jest w ludowym dyalekcie miejscowym, często do zrozumienia trudnym nawet dla Anglików — to nie da się zaprzeczyć, iż odpowiada w zupełności pojęciu, jakie sobie czynimy o pisarzu, który służy przedewszystkiém swemu krajowi, swemu społeczeństwu, swojéj sprawie. Pierwsza właściwość nakazuje szacunek dla jego umysłowéj potęgi, druga pozwala go ukochać.

Czytelnicy z historycznym przebiegiem i z współczesną literaturą angielską obznajmieni, potrafią sobie zrobić najlepsze wyobrażenie o Lowellu, gdy go porównają do niedawno zmarłego Matthew Arnolda. Zadziwiająco podobni są do siebie i jako poeci i jako krytycy. U obudwóch gama intelektualna jest wyjątkowéj rozciągłości i żaden boski czy ludzki przedmiot nie jest im obcy, u obu czynnik umysłowy przemaga nad uczuciowym, co w poezyi przynajmniéj nie może być uważane za zaletę i ma jako ustępstwo ograniczenie ich wpływu do warstw wykształconych, do jednostek wyborowych. W tém znaczeniu nazwać ich można pisarzami arystokratycznymi.

Ogólną charakterystyką poezyi Lowell'a jest, iż nad muzyką słowa i harmonią formy przemaga treść i osnowa poważna, że opinie, za które walczy, idee, których jest orędownikiem, widocznie są mu bliżéj na sercu aniżeli nieposzlakowaność formy estetycznéj, że uczucie i namiętność są trzymane na wędzidle przez nietracącego świadomości dyalektyka. W niektórych pamiątkowych patryotycznych jego odach, jak np. téj, którą napisał na stuletnią rocznicę niezależności Stanów Zjednoczonych, albo poematach, jak „Katedra“, jest zdaniem naszém więcéj retoryki, aniżeli skrzydlatego polotu. Chociaż napisał sporą ilość liryków, nigdy osobistości swojéj własnéj, swym własnym bólom i duchowym przełomom nie pozwolił stanąć na pierwszém miejscu. Jeżeli daje nam klucz do swojéj wewnętrznéj natury, to jedynie w strofach, gdzie daje obrazy przyrody, gdzie zatrzymuje się z rozkoszą przed drobném kwieciem, albo świegotliwym ptaszkiem, gdzie się duch jego podniosły topi we wszech-twórczości. Jest rzeczą niespodziewaną spotkać u niego tę naiwność chłopięcą, tę radość tryskającą samoistnie przy zetknięciu się z prostą niewyszukaną pięknością przyrody. Nie panteista to wcale, ani nie Wordsworth nawet, ale Keats raczéj, co śpiewa w jego rymach do makolągwy, albo polnych kocanek. Nuta sentymentalna, treny nad śmiercią ukochanéj żony pierwszéj, lat młodzieńczych towarzyszki, nad stratą syna, wyjątkowo tylko stroją jego gęśl do pieśni. Jest daleko swobodniejszym

w swych ruchach, gdy się czepia ogólnych zagadnień, albo staje przed bohatérami ludzkości. Nazwano go w panegirykach pośmiertnych poetą postępu i możnaby uważać tę nazwę za trafną, gdyby się usunęło z pojęcia postępu stronę przemysłową, ekonomiczną, tak ściśle z nim związaną, a ograniczyło go jedynie do przewodnich idei. Jest on istotnie poetą postępu w takich poematach, jak „Prometeusz“, zaczynającym się od tego melodyjnego wiersza:

„One after one, the stars have risen and set“,

gdzie poeta robi z Prometeusza alegorycznego rycerza, potykającego się za wyswobodzenie ludzkości z pętających ją kajdan, przynoszącego jéj światło i depcącego ducha ciemności; jest poetą postępu w pięknym rapsodzie „Kolumb“, w odzie napisanéj do Francyi 1848 roku, albo w owym głębokim filozoficznym poemacie *Glance behind the curtain*, gdzie Cromvell i Hampden stają jako siły działające w imieniu Przeznaczenia.

Wszystkie te utwory poetyczne i wiele innych, którebyśmy tutaj wymienić mogli, nabrałyby dla czytelnika interesu wtedy dopiéro, gdyby je miał przed sobą w jasnym, a wiernym przekładzie. Byłoby niepotrzebném okrucieństwem wysławiać piękności nieprzejrzaną pokryte zasłoną. Być może, że znajdą one, a powinny znaleść tłómacza. Ale nigdy los podobny nie może się przytrafić jego poematowi *The Biglow Papers*. Jest on napisany, jak powiedzieliśmy wyżéj, w dyalekcie ludowym amerykańskim i nawet znając gruntownie język angielski, jest się przez fantastyczną ortografię, wyrażenia czysto miejscowe i aluzye okolicznościowe oszołomionym, odstręczonym od czytania uważnego. Ale nawet cudzoziemiec po złamaniu pierwszych lodów, wtajemniczony raz w ten utwór *sui generis*, musi czuć jego smak prawdziwy. Piszący przypomina sobie, że przed kilku laty, spędzając letnie miesiące w wiosce angielskiéj razem z gronem amerykańskich malarzy, którzy studya krajobrazów tam przedsiębrali, zdziwiony był ciągłemi wybuchami homerycznego śmiechu, towarzyszącego odczytywaniu *Biglow Papers*, i dopiéro, będąc umiejętnie wprowadzony do tego labiryntu, był w stanie w nim się zoryentować, lecz zmuszony jest przyznać otwarcie, nie zasmakował w nim nigdy całkowicie. Trzeba być na wskroś anglo-saskiego temperamentu, aby módz smakować w tak sążnistéj manifestacyi *humour*'u i sarkastycznéj werwy, jakim jest ów poemat w dwudziestu pieśniach!

Gdy Lowell napisał, bez naprzód ułożonego planu, pierwszą seryę *Biglow Papers*, nie miał jeszcze skończonych lat trzydziestu i można zrozumiéć ten wybryk dobrego humoru. Nadzwyczajne powodze-

nie, jakie znalazł, wywołało późniéj dalszy ciąg. Trudno pisarzom zatrzymać się nad brzegiem drogocennéj miny, chociaż nieraz ruda daje kruszcu coraz mniéj. W naszych oczach Alfons Daudet postąpił sobie w taki sposób z Tartarin'em, i z genialnéj kreacyi popadł w nużącą karykaturę. Druga część papierów, korespondencyi i rozmów Hosea Biglow'a nie dała żadnéj nowéj nuty. Usprawiedliwić możemy Lowella jedynie stawiając się w okolicznościach, wśród których pisał wówczas. Satyryczny jego poemat był orężem politycznym, i dopóki sytuacya się nie zmieniła,. polemika stronnictwa postępowego nie mogła wyrzec się tak skutecznéj broni. Stany Zjednoczone wypowiewiedziały wówczas wojnę Meksykowi bez żadnego uzasadnionego powodu, po prostu w interesie grabieży i przywilejów niewolniczych stanów południa. Lowell protestował i przeciwko instytucyi niewolnictwa, i przeciwko napaści na Meksyk i wogóle przeciwko wojnie. Niewolnictwo było w jego oczach okrucieństwem, zbrodnią indywidualną; wojna—morderstwem popełnianém zbiorowo. Poemat ten satyryczny stawiał jedno i drugie pod pręgierzem i chłostał je bezlitośnie. Ów Texas, który wielcy plantatorowie Stanów południowych podstępnie i chytrze przyłączyli do unii północno-amerykańskiéj, był tylko w ich ręku narzędziem do uprawnienia, do usprawiedliwienia niewolnictwa, przeciwko któremu powstawała coraz energiczniéj opinia publiczna i sumienie narodowe. Można powiedzieć, że satyryczny poemat Lowell'a przyczynił się nie mało do podtrzymania agitacyi emancypacyjnéj, która w dwanaście lat po wojnie meksykańskiéj, przez wybór Abrahama Lincolna na prezydenta unii, doprowadziła wrzód do pęknięcia. Amerykanie z dumą spoglądają na ten utwór poetyczny, a Edgar Poe nazwał go najszlachetniejszym śpiewem, napisanym kiedykolwiek na ich ziemi. Treść poważna, humanitarne dążenia, drżące wzruszeniem i oburzeniem, sumienie ludzkości, znalazły swój wyraz nie w patetycznych inwokacyach i abstrakcyjnych rozumowaniach, ale w formie humorystycznéj, ludowéj. Hosea Biglow, żołnierz i syn wieśniaka z Massachusett, biorący mimo swéj woli udział w niesprawiedliwéj wojnie, pastor wiejski, Wilbur, posiadający pomimo śmiesznego pedantyzmu i religijności urzędowéj, sporą ilość zdrowego rozsądku i nakoniec Sawin, wprowadzający żywioł komiczny: oto trzy osobistości naczelne, oto bohatérowie tego humorystycznego poematu, które miały razem uosabiać przeciętną, ludową opinię masy i wypowiadać ją w swym prostaczym, ale jędrnym i obrazowym języku, naszpikowanym konceptami, wybrykami fantazyi, cytatami biblijnemi, tak popularnemi wśród protestanckim purytanizmem przesiąkłego społeczeństwa. Ten brak uszanowania dla ko-

ścioła i religii wyrzucany był autorowi przez rozsierdzionych antagonistów: odpowiedział im słusznie, że nie znają narodu i jego zwykłego języka, a przyczepiają się do tego szczegółu, nie będąc w stanie obalić zasadniczych punktów. Prawdziwa oryginalność tego utworu nie może być podana w wątpliwość. Ci krytycy i komentatorowie, którzy usiłowali znaleść inne utwory tego samego nastroju, albo téj saméj formy, doszli do takich dziwolągów, jak ów francuski publicysta, który widzi antenata Lowell'a w klasycznym Boileau w jego niesmacznym *Lutrin*, poemacie, co po wszystkie czasy będzie dowodem, że i prawodawca piśmienniczy płodzić może utwory nędzne i poronione. Amerykanie, najlepsi sędziowie genialnéj formy, w jaką Lowell odział opinie i sposób zapatrywania i wyrażania się masy, uważają poemat ten za pomnik wzniesiony na cześć ich narodu, za hymn opiewający jego energię, zdrowy rozsądek, sumienie, poczucie słuszności i prawa, aspiracye humanitarne. Taką samą sympatyą otaczają nawet drugą seryę „Papierów“ Biglowa, napisaną w kilkanaście lat późniéj podczas wojny domowéj. Poeta skarcił tam w strofach, używających niezaćmionéj popularności w Ameryce, Anglików za ich sympatye do Stanów południowych, za ich obronę niewolnictwa, dla ich handlowych interesów. To patryotyczne oburzenie, które zagłuszyło jego znane sympatye i powinowactwo duchowe z Anglią, podniosło jego narodową reputacyę, a u Anglików także pozyskało mu szacunek rzetelny.

Nie ma wątpienia, że jako poeta, James Lowell, zajmuje całkiem odosobnione stanowisko. Humorystyczny nastrój jest w poezyi rzadkością, a są znakomici arystarchowie smaku literackiego, którzy satyrę umieszczają pomiędzy podrzędniejszemi, pośledniejszemi rodzajami twórczości poetycznéj. Inaczéj zapatruje się na to rasa anglo-saska, jak wiadomo. W ich opinii Lowell właśnie, jako autor *Biglow Papers*, jest ich sercu najbliższy. Dla tych, którzy ideał piękna poetycznego w innéj ucieleśniają formie, Lowell, jak powiedzieliśmy wyżéj, przyniósł wysoce wyrafinowaną strawę. Te dwie strony jego muzy dopełniają się wzajemnie i zapewniają mu na Parnasie amerykańskim miejsce pierwszorzędne: *primus inter pares*.

Idee i zasady, jakich wyznawcą był Lowell w poezyi, dają się jasno i dokładnie poznać w jego politycznych i czysto literackich pracach. Samo się przez się rozumié, że te idee postępowe i wysoce humanitarne, które wyznawał, urobiły się na gruncie amerykańskim i nosiły jego piętno. Nietylko przez instynkt i przyzwyczajenie, ale przez rozumowanie i głęboko obmyślane teorye był on zwolennikiem formy republikańskiéj i demokratą. Nie potrzebujemy zapewne do-

dawać, że nie było w tych jego przekonaniach najmniejszego śladu fanatyzmu, albo braku tolerancyi. Myśliciel, który przez wiele lat szedł w ślady za rozwojem ludzkości i zdał sobie sprawę z faz, przez jakie przechodziła stopniowo, stał z konieczności na stanowisku historycznem i potępiał tych, co pragnęli zapędzić całą ludzkość na jedno podwórko bez uwzględnienia istniejących różnic cywilizacyjnych. Ów urzędowy przedstawiciel wielkiéj rzeczypospolitéj anglo-saskiéj, przy dworze i w stolicy wielkiéj anglo-saskiéj monarchii, mógł się znajdować, jak łatwo zrozumiéć, w trudnem położeniu, gdy mu w tego rodzaju kwestyach mówić publicznie, albo pisać się zdarzało. Nie uczuwał jednakże żadnego kłopotu w takich razach i wypowiadał swoje opinie z otwartością tém śmielszą, że był przeświadczony, iż nikt jego dobréj wiary podejrzéwać nie będzie. Wyznawał on dla dostojnéj monarchini angielskiéj wysoki szacunek, i utrzymywał, że jéj osobistość przyczyniła się wielce do wzmocnienia instytucyi monarchicznéj w Wielkiéj Brytanii, ale sądził, że i jéj następcy potrafią się utrzymać na tronie i że ma tam jeszcze królewskość zapewnioną przyszłość przed sobą. Nikt nie oddawał chętniéj sprawiedliwości machinie konstytucyjnéj angielskiéj i mężom stanu, kierującym nią; nigdy demokrata szczery nie wysławiał w bezinteresowniejszy sposób arystokratycznego organizmu społeczeństwa, a magnaci angielscy nie potrzebują się skarżyć na sąd, jaki wydawał o ich duchu obywatelskim, publicznéj służbie i poczuwaniu się do obowiązków, wynikających z ich bogactw i przywilejów. Bezstronność ta drażniła nawet gorętszych jego ziomków. którzy mniemali, że się zaraził ideałami europejskiemi. Ale było to nieuzasadnionem podejrzeniem. Aż do ostatnich dni życia był on czcicielem swoich ojczystych instytucyi. Nie mieszał się wprawdzie do intryg stronniczych i pogardzał niemi; napiętnował wieczystą hańbą tych, co frymarczyli dobrem publicznem, rządzili się prywatą i zawsze przypominał, że pod rządem ludowym nie tyle prawa, co obyczaje i ich niepokalana uczciwość stanowczym, rozstrzygającym są czynnikiem.

Niektóre z jego artykułów i studyów politycznych zasługują na trwałe miejsce w literaturze. W epoce pełnego rozkwitu jego umysłowości rozegrał się właśnie ów potężny dramat narodowy: zniesienie niewolnictwa—wojna domowa — tryumf Północy nad Południem i nowa organizacya unii. Wszystkie rapsody téj epopei oddźwiękły w jego duchu i o każdym z nich wypowiedział swe zapatrywanie trzeźwe, bystre, poważne, w formie, w któréj nie wiedziéć co więcéj podziwiać, czy logiczną dedukcyę, czy jasność argumentacyi, czy żywość, oryginalność i niespodzianość wysłowienia. Jego studyum *The Election in*

November 1860, gdzie obstaje za wyborem Lincolna na prezydenta rzeczypospolitéj, świadczy o wysokim rozumie stanu: wiedział jakie następstwo mógł on za sobą pociągnąć, drżał z patryotycznéj obawy, ale czuł, że nie ma się prawa odraczać kwestyi emancypacyi niewolników i że kraj swobodny, chełpiący się ze swéj swobody, miał obowiązek zetrzéć z siebie tę zakałę, cokolwiek kosztowaćby miała ta operacya. Wiara w świętość sprawy i w żywotność narodu, który z téj walki wyjść musi odrodzony i uszlachetniony, była przeważną nutą wszystkich jego rozpraw i pamfletów w téj epoce. *E pluribus unum* i *The Pickens & Stealens Rebellion* mogą być przytoczone, jako arcydzieła téj polemicznéj produkcyi. Gdy po czteroletniéj wojnie domowéj nareszcie opór stanów niewolniczych złamany został i na ruinach i zgliszczach zwycięzcy rozglądać się zaczęli, Lowell był pierwszym z tych, którzy przypomnieli, że pokonani są braćmi, synami téj saméj ojczyzny i że traktować ich należy nie z zawziętością, ale z miłością. Jego *General Mac-Lellan's Report*, a szczególniéj: *the Rebellion, its causes & consequences*, oraz *The Reconstruction*, stały się hasłem dla politycznéj działalności Północy i linią wytyczną na przyszłość. Jego charakterystyka Abrah. Lincolna i wspomnienie, jakie złożył na grobie swego bohatéra, uważamy za arcydzieło: tylko historyk i tylko filozof był w stanie takiemi odezwać się słowy.

Zanim przejdziemy do czysto literackiéj i krytycznéj jego działalności, chcielibyśmy zatrzymać się chwilę nad jedną z mów okolicznościowych, która nosi w tomie zawierającym mowy, toasty i orędzia nazwę: Demokracya. Wypowiedział ją jako prezydent instytutu *Midland*'a w Birminghamie w 1884 r. Przy wielu uroczystościach publicznych i obrzędach świat angielski oddawał prezydencyę ambasadorowi Stanów Zjednoczonych, który wyrobił sobie reputacyę doskonałego mówcy i w którego przemówieniach znaleść zawsze było można soczyste jądro. Na wstępie Lowell wyraża przeświadczenie, iż niepodobna już powiedziéć coś zupełnie nowego w kwestyach filozofii społecznéj, gdyż wyświecono już i po tysiąc razy wszystkie zagadnienia. Że się pokazał zbyt surowym dla politycznych myślicieli, udowodnił jednak na sobie samym, gdyż jest w téj jego przemowie pełno świeżych poglądów na kwestyę demokracyi i pełno przestróg i uwag, które tém większéj są wagi, im głębszém i szerszém korytem toczy się fala demokratyczna w naszéj epoce. Z jowialnością, która powadze i głębokości spostrzeżeń bynajmniéj nie zawadza, Lowell udowodnił, że demokracya nie jest bynajmniéj chorobą zaraźliwą, przeniesioną z Ameryki do starego świata i że mniéj, niż ktokolwiek, utrzymywać to mają prawo Anglicy, gdyż wyrosła ona właśnie na ich

pniu, i zrodziła się na gruncie ich monarchii reprezentacyjnéj. Zamiast złorzeczyć jéj i skarżyć się na nią, należy zbadać jéj istotę i usunąć jéj chorobliwe narośle. Jeżeli pod względem politycznym określenie jéj przez prezydenta Lincolna, jako rząd ludu dla ludu i przez lud jest słusznóm, to pod względem etycznym nikt lepiéj nie określił jéj, jak Teodor Parker, mówiąc, że demokracya nie znaczy bynajmniéj „ja jestem tak dobry, jak ty“, lecz „Ty jesteś tak dobry, jak ja!“ Cały świat stoi pomiędzy temi dwoma orzeczeniami, i dopiéro gdy to drugie przeniknie w krew społeczeństwa, o prawdziwéj demokracyi będzie mogła być mowa, o téj, która stoi na podstawie idealnéj równości ewangelicznéj. Nie ma innego środka do uregulowania prądu demokracyi i do zabezpieczenia narodom najdoskonalszych form państwowych, jak oświecanie opinii powszechnéj, a zatém wychowywanie masy. Wychowanie, oświata, powinny być brane w swém najszerszém znaczeniu, jako rozszerzające do ostatnich możliwych granic horyzont umysłowy i moralny społeczeństwa.

Ten postulat, do jakiego Lowell dochodzi w mowie o demokracyi, jest pochodnią oświecającą cały gmach jego literackiéj twórczości: szerzyć wiedzę, robić ją jaknajdostępniejszą, badać i badać ciągle, bez ustanku, wielkich myślicieli i wpływowych pisarzy, zbiérać miód w ich ulu złożony, nie krępować się żadną niewolniczą metodą, ale przystępować do każdego z nich z prostotą, sympatyą, bez uprzedzeń, oto co się stało celem jego naukowéj działalności. Cztery tomy jego *Literary Essays*, gdzie złożone są najcelniejsze z jego studyów krytycznych i odczytów uniwersyteckich, uważamy za prawdziwą skarbnicę literacką, z któréj czerpać może i powinien każdy z pracowników na polu umysłowém. Nie znamy krytyka, któryby był mniéj dogmatycznym, mniéj sztywnym pedagogiem, a któryby więcéj pobudzał do myślenia i otwierał co chwila nowe perspektywy przed uważnym czytelnikiem. Komu z nas nie zdarzyło się uważać się za dokładnie poznajomionego z jakim wielkim pisarzem, a mimo tego odkrywać w nim naraz nowe, niepodejrzewane strony, gdy go odczytujemy ponownie, oprowadzani przez bystrego krytyka: Lowell co chwila oddaje nam takie nieocenione usługi, i nie ma przyjemniejszego odeń towarzysza wędrówki pośród poetów i prozaików wybitnych, starożytnych lub współczesnych. Erudycya jego jest zdumiewająca. Nie ogłusza nią czytelnika, nie tłoczy jéj w przypiskach, jak pedant niemiecki, ale tryska ona zawsze we właściwém miejscu obficie, przychodząc w posiłek argumentom. Jak pięknie powiedział: „w parlamencie teraźniejszości, każdy z nas jest przedstawicielem jakiegoś okręgu przeszłości“ i nic właściwszego, jak oddać tym ante-

natom umysłowego rozwoju cześć im należną. Matthew Arnold wyrzucał społeczeństwu amerykańskiemu i nawet jego pisarzom, iż nie posiadają należnéj czci dla przeszłości, że sądzą, iż cywilizacya świata datuje dopiéro od utworzenia ich rzeczypospolitéj: ta rubaszność i szorstkość umysłowa raziła jego wyrafinowany umysł. Nie ma wątpienia, że spostrzeżenie to wielkiego krytyka po tysiąc razy sprawdzoném być może. Ale ci z Amerykanów, którzy będą pragnęli zrzucić ze swego narodu to oskarżenie i pokazać, że jest niesłuszne, nie będą potrzebowali ograniczać się do sterotypowo powtarzanego w takich razach nazwiska Emersona: obok niego, na téj samėj cywilizacyjnéj wyżynie, pod sztandarem, na którym wypisano te dwie szczytne dewizy: „*plain living and high thinking*“ oraz „*Sweetness and light*“ będzie błyszczało imię J. R. Lowella. Tego rodzaju pisarz pokazuje, że wyższa oświata przeniknęła już na wskroś społeczeństwo i wybujała w najwyższéj formie myśli — w krytyce.

Nie miał Lowell żadnéj wyłącznéj metody w rozbiorze i komentarzach wielkich pisarzy, poetów i myślicieli, i można powiedziéć, że nie ma dwóch jego studyów napisanych podług téj saméj recepty. Piszący miał sposobność niedawno, charakteryzując krytykę literacką francuską na tém miejscu [1]) rozebrać szczegółowo metody Sainte-Beuve'e, Taine'a—oraz Hennequina. Z żadnym z tych typów nie stoi Lowell w pokrewieństwie, a przecież jest doskonałym przewodnikiem i tłómaczem twórczych epok i umysłów. Fakt to zaprawdę pocieszający, bo pokazuje, że myśl ludzka jest zbyt lotna, aby się w pewne kategorye uwięzić dała, i zbyt niezależna, ażeby stąpać raz na zawsze po wskazanéj drodze.

Pomiędzy krytycznemi studyami Lowella przeważne miejsce zajmują te, które poświęcił wybitnym angielskim poetom dawniejszym i nowszym. Pope i Milton, Spencer i Chaucer, Dryden i Shakespeare, a z późniejszych Keats, Wordsworth i nakoniec Swinburne stanęli przed jego stalugą a raczéj mikroskopem. Widocznie są te studya, jak sam w przedmowie do ich ostatniego wydania oświadczył, osnową do uniwersyteckich wykładów literatury, a uznać to można raczéj z wyboru tych wydatnych osobistości, o których profesor mówić był zobowiązany, aniżeli z duchowego do wszystkich z nimi powinowactwa. Po ukończeniu wykładów, Lowell, usunął wszystkie elementarne, informacyjne szczegóły, tak jak malarz, który po ukończeniu obrazu, odrzuca studya i kartony przygotowawcze, a dał czytelnikowi tylko kwiat, tylko esencyę duchową. Nic ciekawszego, jak czytać te stu-

---

[1]) Patrz Ateneum 1891 t. I. 595.

dya nad wielkimi Anglikami przeszłości, czynione przez nowożytnego Amerykanina. Wspólność rasy i pochodzenia wystarcza, ażeby mógł w naturę ich wniknąć, ale jednocześnie jest w nim tyle oryginalności i niezależności, tyle żywiołów obcych, jeżeli się tak wyrazić wolno, że się co chwila spotyka z uwagami i spostrzeżeniami, któreby bez wątpienia nie wyszły nigdy z pod angielskiego pióra. Zbytecznėm byłoby zapewne kłaść nacisk, że nie wyrzuca im nigdy ich feodalnego nastroju umysłowego, bo uwzględnia jako historyk i myśliciel i naturę społecznych indywidualności, ale spoglądając na nich z wyżyn naszych czasów i naszéj cywilizacyi, mimowolnie i mimowiednie, stawia niejedną z tych poważnych postaci w muzeum starożytności i przyznaje, że wpływ ich na rozwój dalszy cywilizacyi może być jedynie wyjątkowy, pośredni i ograniczony. Prawda, że jeden Shakespeare wystarczy za całe tuziny owych zastarzałych wielkości i że dopóki ludzie będą myśléć i czuć, znajdą zawsze u niego skarbnicę dla jednych, łzawnicę dla drugich. Studyum, jakie mu Lowell poświęcił, należy do najudatniejszych. Nie można powiedziéć o autorze Hamleta już obecnie nic całkiem nowego, lecz są zawsze strony w tym wszechgeniuszu, które uwydatnić można. Lowell wytknął niektóre z najważniejszych. On pierwszy wykazał wartość filologiczną języka szekspirowskiego w wieku Elżbiety i zwrócił uwagę, że gdyby się był urodził o pół wieku wcześniéj, albo o pół wieku późniéj i język jego, i nastrój umysłowy byłyby wzięły całkiem inny kierunek. On, który zazwyczaj lubił drwić z niemieckich komentatorów, wynajdujących w pismach myśli i zamiary o których im się nie marzyło, tym razem gdy studyuje Shakespeara, uznaje słuszność téj metody niemieckiéj. Uderzające prawdą są także porównania, jakie czyni pomiędzy Homerem, Dantem, Goethem i Cerwanterem a Shakespear'em: tylko ten ostatni jako twórca typów, które będą nieśmiertelne i raz na zawsze zespolone z ludzkością może być nie zrównany, ale zbliżony z największym z poetów. Inna strona, jaką w nim wykazał, jest duchowe powinowactwo ze starożytną, a szczególnie grecką poezyą: tém większy nacisk na nie kładł im więcéj n o w o ż y t n o ś ć Shakespeare'a uwydatniana bywała. Odwieczną kwestyę o moralnéj wartości i etycznym wpływie poety Lowell rozstrzyga, zwracając uwagę, że był on poetą, typem skończonym i najdoskonalszym poety i że naturalnie wszystkie inne względy czyni zależnemi od ostatecznego i najwyższego celu swéj sztuki, ale że cel ten jednocześnie zawiéra w sobie moralność jako czynnik składowy.

Wartoby się zastanowić bliżéj nad gruntownėm i pouczającėm studyum o Dancie, w którego się wczytywał w czasie swego kilko-

letniego pobytu we Włoszech, albo nad studyum znakomitém o Lessingu. Do najcelniejszych prac krytycznych zaliczyć téż trzeba rzecz o Janie Jakóbie Rousseau i szkole sentymentalistów. Nie mamy prawa nadużywać cierpliwości czytelnika. Jesteśmy przeświadczeni, że każdy wykształcony umysł musi uczuć żywą, nieprzezwyciężoną sympatyę do pisarza jak Lowell, który przy olbrzymiém wykształceniu i oczytaniu zachował zawsze młodą wyobraźnię i zawsze lgnął do rzeczywistości, do prostoty, do siły charakteru. Zerwał najzupełniéj ze wszelką konwencyonalną sztywnością, nie starał się o rzeźbienie frazesów, a za to jest wszędzie i nawskroś przejęty h u m o r e m. Sposób poufały, w jaki rozmawia, ze słuchaczem lub czytelnikiem, anegdoty, jakie niespodzianie wywołują uśmiech, są solą attycką, która zaprawia umysłową strawę przezeń sporządzoną.

Wolno jest temu posługiwać się dowcipem, ironią i wyskokami dobrego humoru, kto ich nie przecenia, kto nie stawia ich na tym samym poziomie co logiczną, wyrozumowaną argumentacyą, ale wolno posługiwać się niemi temu przedewszystkiém, w którego sercu płonie skra uczuciowości, którego duch jest zdolny wybuchać entuzyazmem dla tego, co jest szlachetne i wzniosłe i piękne. A te właśnie strony są u Lowell'a wybitne, nietylko w jego poezych, ale i w studyach krytycznych. Nikt chętniéj, nikt lepiéj od niego nie schyla czoła przed manifestacyami geniuszu, nikt nie oddaje większéj sprawiedliwości każdéj wyższości, każdemu talentowi. Jeżeli są jeszcze prostacze umysły, co sądzą, że krytyka jest jednoznaczna z naganą, z przedrwiwaniem, z filipikami, to po przeczytaniu studyów krytycznych Lowell'a, zrozumieją inną jéj stronę, dodatnią. Nic bardziéj charakterystycznego pod tym względem, jak artykuł o Emersonie i jego odczytach. Jest to pełen uczucia, zapału, zachwytu hymn dziękczynny dla tego szczero złotego pisarza-poety, dla tego wielkiego umysłu, którego imię będzie po wszystkie czasy ozdobą wszechświatowego piśmiennictwa. Nie jako rywal swego wielkiego rodaka, ale jako skromny i potulny jego uczeń odzywa się tutaj Lowell, i przyznaje, że nie kto inny, jak Emerson dał popęd, rozbudził drzemiące instynkta do szlachetnych działań i wyższéj kultury. A hołd ten złożony mu, tém większą ma cenę, że Lowell nie pomija drugorzędnych braków i niedostatków autora, lecz, że nie zamyka oczu na promienne strugi, które on około siebie roztaczał.

Wzmianka o Emersonie wywołuje mimowoli widmo Carlyle'a: pokolenie nasze przywykło przeciwstawiać jednego drugiemu, a łączyć ich jednakże w uwielbieniu. Jeżeli się nam udało dać wierny wizerunek Lowella'a, to z góry zgadną czytelnicy, że nie mógł czuć do

Carlyle'a najmniejszéj sympatyi. Duchy ich na wręcz przeciwnych osiadły biegunach. Jego studyum krytyczne nad Carlyle'm, napisane trzydzieści lat temu, z okazyi „historyi Fryderyka Wielkiego", jest najdoskonalszą, i że tak powiemy, jasnowidzącą oceną genialnego pisarza. Późniejsze jego dzieła i sąd potomności nie potrafił dodać do niéj ani jednego nowego rysu. Lowell dał genezę jego umysłowości skończoną, wyrzeźbił ją w śpiżu. Widzimy jak Carlyle przez uwzględnienie jedynie intelektualnego pierwiastku w człowieczeństwie, dochodzi do pogardliwego o niém sądu, jak kończy na wstrętnym cynizmie, jak się staje orędownikiem tyranii. Lowell podziwia jego geniusz potężny, błyskawiczny, jego realizm opisowy, ale wykazuje brak ciągłości, nieumiejętność stopniowania, a zatém niezdolność do pisania historyi. „Poeta bez daru pieśni", ta wyborna definicya raz na zawsze zostanie nierozłączona z Carlylem.

Dr. E. M. Trepka.





Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



V.

Postępy hygieny.—Środki ochronne przeciw odrze. — Cholera, kwarantanna i dezinfekcya ścieśnioną parą.—Kanalizacya, samooczyszczanie rzek, walka pomiędzy hygienistami.—Własności bakteryobójcze krwi i mleka.

O hygienie powiedział kiedyś Rousseau, że jest raczéj cnotą, niż nauką. I do pewnego stopnia do dnia dzisiejszego, jeszcze wyrzeczenie to ma za sobą niejaką słuszność. Lecz w miarę postępów wiedzy przyrodniczo-lekarskiéj tak dalece zmieniły się w ostatnich dziesiątkach lat poglądy nasze na przyczyny chorób, że cnót hygienicznych nie można dziś w społeczeństwie zaszczepiać innym sposobem, jak tylko przez ustawiczne a rzetelne popularyzowanie zdobyczy naukowych. Przy téj zaś sposobności powiedzieć trzeba, że rzadko które społeczeństwo w takiéj jak nasze ciemności się porusza. Przyswajamy sobie zaledwie to, co nakazują nam przepisy policyjno-sanitarne, baczące na hygienę publiczną, a najelementarniejszych nie posiadamy wiadomości, stanowiących podwaliny hygieny osobniczéj. I trudno się temu dziwić. Nic nie pomogą najlepsze i najzwięźlejsze poradniki, jeśli się nie zna choćby naojgólniéj warunków, w których organizm ludzki pomyślnie rozwijać się może. Doniosłość przepisów hygieny zrozumieć i sumiennie stosować się do nich potrafią ci tylko, którym nie obce są zasady nauk biologicznych. A na drodze możliwie szerokiego upowszechniania tych nauk, jakże żółwim postępujemy krokiem!

Hygiena zapożyczyła metod badania od wszystkich niemal ga-

łęzi nauk chemiczno-biologicznych i spożytkowuje je w praktycznym celu zapobiegania chorobom. Postępy zaś swe notuje tak skrzętnie, że każdéj chwili z łatwością przekonać się można dokąd zmierza i jakiemi rezultatami poszczycić się może. Statystyka hygieniczna jest najlepszym probierzem zabiegów społeczeństwa około swego zdrowia; a w latach ostatnich wykazuje ona dane, które najzagorzalszego sceptyka w zdumienie wprawić mogą. W tym względzie nader wymowne są rezultaty, przytoczone na ostatnim zjeździe hygienicznym w Londynie przez J. Fayrera, który w ogólnym zarysie skreślił postępy hygieny w Anglii. W kraju tym, w którym hygiena zapobiegawcza cieszy się prawdziwie piękną opieką, bo rozumianą jest przez szerokie warstwy ludności, cyfry śmiertelności ogólnéj ustawicznie się zmniejszają, czego dowodem następująca z pracy Feyrera wyjęta tabliczka:

W latach	1660 — 1679	umierało	80,0	osób	na 1,000
„	1681 — 1690	„	42,1	„	„
„	1746 — 1755	„	35,5	„	„
„	1846 — 1855	„	24,9	„	„
„	1866 — 1870	„	22,4	„	„
„	1870 — 1875	„	20,9	„	„
„	1875 — 1880	„	20,0	„	„
„	1880 — 1885	„	19,3	„	„
„	1885 — 1888	„	18,7	„	„
W roku	1889	„	17,85	„	„

W niektórych okolicach Anglii, gdzie hygiena w osobliwém znajduje się poważaniu, śmiertelność spadła do 9 na 1,000, kiedy w innych, gdzie wielki przemysł i względy pieniężne stoją na zawadzie, śmiertelność wynosi do 30 na 1,000.

Postępy prac na polu sanitarném nader wypukle występują przy porównywaniu śmiertelności śród wojska w latach ubiegłych i obecnie, gdy dzięki wytrwałym i bezustannym zabiegom polepszono stan mieszkań, odzieży oraz żywność. Tutaj też, gdzie mamy do czynienia z doświadczeniami, robionemi na całych masach ludzi, pozostających prawie w jednakowych warunkach życia, łatwo jest stosunkowo wypróbować, w jaki sposób działa ten lub ów środek zapobiegawczy, nowy przepis zaczerpnięty z badań naukowych i t. p.

Wiadomo, że dotychczas jeszcze istnieją przeciwnicy ochronnego szczepienia ospy, opierający swe sądy bądź na błędném rozumowaniu teoretyczném, bądź na nierozumieniu i wadliwym wykładzie faktów. Statystyka wojskowa w Niemczech dowodzi niezbicie, jak wielką pomocą w walce z chorobami jest szczepienie. Póki jednak wiedza teoretyczna nie wyjaśni należycie sposobu, w jaki właśnie szcze-

pienie od choroby zakaźnéj ochrania, póki medycyna nie pozna tego tajemniczego dla nas dotąd mechanizmu walki z chorobotwórczemi pierwiastkami, póty oczywiście nie możemy wniosków, zaczerpniętych przy jednéj chorobie, bez wszelkich zastrzeżeń przenosić na inną.

Z tém wszystkiém przyznać jednak trzeba, że na polu hygieny naukowéj bardziéj, niż gdziekolwiek, przekonać się można, jak doskonale rozmaite drogi badania dopełniają się wzajemnie. Spostrzeżenia kliniczne, doświadczenia fizyologiczne i prawie niezależne obserwacye nad mikroorganizmami chorobotwórczemi — razem wzięte, stworzyły w latach ostatnich pogląd na choroby zakaźne tak pełny i prawdziwy, że obecnie już tylko nad szczegółami skoncentrowała się cała praca badaczy. Co prawda, szczegółów tych moc jest tak wielka, a zwłaszcza tak są one ważne dla postępowania praktycznego, że dziś upoważnieni jesteśmy jedynie do wyrzeczenia, iż pierwsze dopiéro kroki na téj drodze postawione zostały.

Dla wielu chorób zakaźnych znaleziono właściwe czynniki chorobę sprowadzające w postaci drobnych żyjątek—mikrobów. W tych razach wskazaną jest niejako dalsza droga badania i, jakkolwiek może ona być długa i bardzo żmudna, bezwątpienia najczęściéj nie jest fałszywa. Są wszakże takie choroby zakaźne, dla których daremnie jeszcze mikrobów poszukujemy; ale i w tym razie często bardzo sumienna obserwacya dać może wiele cennych wskazówek. Pouczającemi w tym względzie mogą być wnioski, do jakich doszedł p. L. Bard przy badaniu dużéj liczby dzieci zapadłych na odrę.

Zarazki odry na zewnątrz organizmu bardzo krótko — według p. Barda—zachowują swą żywotność, tak że można nie obawiać się stałego zarażenia izb i przedmiotów, któremi chorzy się posługiwali, nawet jeśli po chorobie nie przedsięwzięto ścisłéj dezinfekcyi. W wypadku, o którym donosi p. B., było rzeczą niemożliwą dokonanie dezinfekcyi, a pomimo to nie spostrzeżono ani jednego wypadku bezpośredniego przeniesienia zarazy. Daléj, wynika z tych badań, że okres inkubacyi, licząc od zakażenia do wybuchu choroby, wynosi w największéj części wypadków 13 do 14 dni. Zarażenie możliwe jest już na 3, niekiedy nawet na 4 dni przed wybuchem choroby u zarażającego, lecz nigdy wcześniéj. Zaraźliwość do tego stopnia jest silną, że jeśli w okresie przed wybuchem choroby dziecko chore znajduje się śród zdrowych, te ostatnie prawie bez wyjątku wszystkie zostają zarażone. P. Bard na zasadzie swych badań orzeka, że profilaktyka w odrze nader jest trudna; nie pozostaje nic innego, jak tylko odosobnienie, rodzaj kwarantanny, trwającéj. jak powyższe liczby wskazują,

dość długo (2 do 3 tygodni), aby można dostatecznie być pewnym, iż niebezpieczeństwo przeniesienia choroby zostało usunięte.

Nagłe ukazanie się cholery w Hiszpanii podczas lata 1890 roku w wysokiéj mierze zwróciło uwagę hygienistów na sprawę etiologii i profilaktyki téj choroby.

Jak wiadomo, w r. 1884 Koch wykrył lasecznika przecinkowego, który, wedle wszystkiego co nam dotąd wiadomo, jest bezpośrednią przyczyną choroby. Zadano sobie pytanie, co się staje z tym mikrobem, gdy epidemia minęła. Czy może on znów żywotność swą odzyskać, gdy przez długi czas pozostawał w ziemi w nieczynnym stanie zarodnika lub w wodzie, albo w ciele zwierzęcia w postaci rozwiniętéj? Ostatni raz przedtém cholera srożyła się w Hiszpanii w roku 1885-ym. Otóż dr. Colvée podjął zajmujące badanie, zebrał bowiem dokładnie daty i spis miejscowości, w których cholera sprowadziła wypadki śmierci pięć lat temu i obecnie, i w ten sposób odszukał drogę, po jakiéj epidemia kroczyła w Walencyi. Otóż okazuje się, że przeszłoroczna epidemia musiała być na nowo z zewnątrz półwyspu wniesiona i trudno, według p. C., przypuszczać, aby zarodki cholery przez dłuższy czas mogły znajdować się w stanie ukrytym i znów rozwinąć się i sprowadzać chorobę po latach kilku.

W roku ubiegłym rząd francuski podczas panowania cholery w Hiszpanii odstąpił od zwykłego środka, mianowicie kwarantanny, zarządzając tylko ścisłe przez czas pewien obserwowanie lekarskie podróżnych na miejscu ich pobytu. Była to ważna i, jak ten jeden przykład przekonał, szczęśliwa inowacya. Zapewne wszakże potrzeba będzie jeszcze szeregu innych prób, zanim w wypadkach epidemii kordony sanitarne zupełnie zostaną zniesione.

Inny, niezmiernie skuteczny środek, zaprowadzony na granicy francuskiéj, polegał na używaniu komór parowych do dezinfekowania bielizny, odzieży, oraz wszelkich przedmiotów podejrzanych o zawartość zarazków cholery. Już w r. 1868 Pasteur wykazał znaczenie praktyczne komór parowych. Wówczas to skonstatował on dwa ważne fakty, mianowicie: 1) stopień ciepła niezbędny do zabicia wysuszonych zarodników mikrobów jest znacznie wyższy od temperatury koniecznéj do zabicia zarodników tegoż gatunku w stanie wilgotnym i 2) pewne zarodniki opierają się przez dość długi czas temperaturze wrzenia wody przy ciśnieniu normalném, lecz szybko zostają niszczone przez parę wodną o temperaturze 140°, a nawet 120°.

Autoklaw, rodzaj kociołka Papina, zbudowany na powyższéj zasadzie przez Chamberlanda, a przeznaczony do szybkiego i zupełnego zabicia bakteryi (wyjałowienia, sterylizowania), jest dziś bardzo roz-

powszechniony. Używa się w nim pary pod dużém ciśnieniem o temperaturze, mogącéj dojść do 150°. Ten sposób dezinfekowania od dawna jest w użyciu we Francyi. Po pracach, ogłoszonych w r. 1881 przez Kocha, Loefflera i Gaffkyego, w Niemczech przez pewien czas powątpiewano o skuteczności téj metody, lecz okazało się w roku ubiegłym, że badania wymienionych uczonych polegały na pomyłce: nie udawało im się nigdy całkowicie wydalić powietrza z komory dezinfekcyjnéj. Straus we Francyi i Rohrbeck w Niemczech wykonali w roku 1890-ym duży szereg interesujących doświadczeń na tém polu, i niezależnie od siebie zgodnie dowiedli, że przyrządy, posługujące się ścieśnioną parą najlepiéj ze wszystkich w tym celu proponowanych zadanie zupełnéj dezinfekcyi spełniają. Takiemi właśnie przyrządami posługiwano się też podczas ostatniéj epidemii na granicy francusko-hiszpańskiéj.

* *
*

Nie ustały dotąd i nie prędko zapewne ustaną spory o to, w jaki sposób najlepiéj wydalać nieczystości z wielkich zbiorowisk ludzkich. W sprawie téj łączą się jednocześnie zazwyczaj dwie kwestye: kanalizacyi i dostarczania wody. Co się tyczy téj ostatniéj, oddawna już usilne wytężono starania, aby dostarczyć ludności miejskiéj wody możliwie od bakteryi wolnéj. W wielu też miastach w tym celu woda w biegu swym ulega filtrowaniu przez piasek. Tak dzieje się np. w Berlinie, gdzie procedurze téj ulega woda Szprei i jeziora Tegel. W r. 1887 instytut hygieniczny berliński, opierając się na badaniach Plaggego i Proskauera, orzekł, że filtrowanie przez piasek jest możliwe zupełnie i daje bezwątpienia wodę zupełnie od bakteryi wolną. Lecz ukazanie się epidemiczne tyfusu w Berlinie znów w roku ubiegłym obudziło zajęcie się tą kwestyą. Fränkel i Piefke doszli w swych badaniach do wniosków sprzecznych z poprzedniemi Plaggego i Proskauera, tak iż sprawa skuteczności filtrowania wody przez piasek znów przez czas pewien ważyć się musi.

Znakomity hygienista monachijski, Pettenkoffer, wytrwale pracujący nad kwestyą zanieczyszczania rzek odpadkami życia miejskiego, zajmuje stanowisko odrębne, różniąc się w wielu poglądach znacznie od hygienistów-bakteryologów. Niedawno, wobec petycyi miast, leżących pomiędzy Monachium a ujściem Izary, i żądających od ministeryum zakazu wprowadzania nieczystości do Izary, Pettenkoffer wygłosił w towarzystwie lekarskiém monachijskiém wykład, mający ogólne znaczenie, a zapatrywania jego różnią się od zapatrywań w tym

względzie komisyi berlińskiéj. Warto nieco bliżéj poznać się z wywodami uczonego monachijskiego.

Według doświadczeń Voita, słynnego fizyologa monachijskiego, człowiek wydala dziennie 131 gramów kału i 1,254 gramów moczu. Po odliczeniu wody i części mineralnych, pozostaje 73 gramów części organicznych i jedynie te ciała należy uwzględnić przy zanieczyszczaniu rzek. Ponieważ Monachium liczy 280,000 mieszkańców, przeto ilość dzienna części organicznych wynosiłaby, licząc że wszyscy mieszkańcy są dorośli, 20,440 kilogramów. Ilość wody w Izarze wynosi dziennie, według Pettenkoffera, 3,454 milionów litrów; na litr wody przypadałoby zatém 0,006 gramów części organicznych. Zanieczyszczenie Izary byłoby więc tak mało znaczącém, że najbliżéj nad rzeką tą leżące miasto — Freising (o 30 kilometrów od Monachium), nie odczuwałoby tego zanieczyszczenia i to nawet w tym razie, gdyby się nie uwzględniło, że każda rzeka w swym biegu sama oczyszcza się z części organicznych. Twierdzenie miast, które wysłały petycyą, jakoby wprowadzanie nieczystości do Izary mogło w miastach tych wywoływać epidemic tyfusu, uważa Pettenkoffer za nieuzasadnione. Twierdzi on stanowczo, że laseczniki cholery i tyfusu, dostające się do rzeki w Monachium, w Freising albo już nie żyją, albo tak są w żywotności swéj upośledzone, że zarazić człowieka nie mogą. A chociażby były nawet dość silne, jest ich tak mało w wodzie, że nie są w stanie sprowadzić zakażenia. Zakażenie bowiem zależy nietylko od jakości, ale także od ilości laseczników, które do organizmu człowieka się dostają. Zresztą znaną nam jest także odporność nasza; wiemy dobrze, że komórki i soki naszego ustroju posiadają téż, gdy są zdrowe, zdolność niszczenia laseczników, jeśli te w niezbyt wielkiéj liczbie wtargnęły. Dziś każdy żyje w obawie przed bakteryami i lasecznikami, zapominając, że obok złego, jakie one sprowadzają, są téż zarazem prawdziwymi dobroczyńcami człowieka. Zginęlibyśmy bowiem, gdyby drobne ustroje nie niszczyły nieczystości. Świat bakteryi również jest niezbędnie potrzebny dla człowieka, jak i świat roślinny, pomimo że między roślinami mamy rośliny trujące, jak śród bakteryi—bakterye chorobotwórcze.

Że ilość bakteryi w wodzie rzecznéj się zmniejsza, najlepszym dowodem Rodan. Pomimo że Genewa odprowadza wszelkie nieczystości do rzeki, woda Rodanu przy Lyonie, około 100 kilometrów od Genewy odległym, zawiera tylko 51 bakteryi w 1 centymetrze sześciennym.

W jaki sposób rzeki oczyszczają się same z części organicznych nie wiemy dotąd, lecz o samym fakcie powątpiewać nie można. Bada-

nie wykazało, że w rzekach, do których kału ludzkiego nie wpuszczają, ilość bakteryi bynajmniéj nie jest mniejszą.

Pettenkoffer, który był niegdyś nieprzyjacielem zanieczyszczania rzek przez kanalizacyę i dopiéro pod wpływem dalszych badań i doświadczeń zdanie swe zmienił, przyznaje, że w istocie niektóre miasta zanieczyszczają rzeki w sposób straszliwy i niebezpieczny dla zdrowia ludzkiego. Zanieczyszcza się rzeka przez kanalizacyę wówczas, gdy ilość wody w rzece jest stosunkowo za małą, albo gdy woda płynie nie dość szybko. Ostatnia okoliczność jest najczęstszym powodem zanieczyszczenia rzeki. Tamiza w Londynie, Sekwana w Paryżu, Szprea w Berlinie nie są odpowiednie do wprowadzenia nieczystości kanałowych, pomimo wielkiéj ilości wody, ponieważ prąd ich jest zbyt powolny. Bieg natomiast Izary jest nadzwyczaj bystry.

Pettenkoffer zaznacza także, że jest stronnikiem pól zraszanych, irygacyjnych (*Rieselfelder*), lecz nie upatruje w nich żadnych korzyści dla zdrowia mieszkańców Monachium. Ponieważ z pól takich korzystają tylko rolnicy, zdaniem przeto Pettenkoffera, Monachium w takim tylko razie na urządzenie pól zraszanych zgodzić się powinno, jeżeli okoliczni rolnicy koszta tego urządzenia poniosą.

Jak już wyżéj wspomniano, w zapatrywaniach swych na zanieczyszczanie rzek różni się Pettenkoffer od deputacyi dla spraw lekarskich w Berlinie. Po wysłuchaniu sprawozdań Kocha i Lissauera z Gdańska, rzeczona deputacya doszła na posiedzeniu w jesieni 1888 roku do następujących wniosków.

Zanieczyścić mogą rzekę:

1) Zarazki chorobotwórcze, które mogą być zawarte nietylko w kale i moczu, ale także w wodzie używanéj w gospodarstwie domowém; daléj w wodzie, która przechodzi przez podwórza i ulice. Również mogą zawierać zarazki chorobotwórcze odpadki z rzezalni i fabryk, przerabiających skóry, szmaty, włosy i odpadki zwierzęce. Zanim woda taka do rzeki się dostanie, powinna być wprzód w odpowiedni sposób oczyszczona.

2) Cząstki mogące ulegać gniciu. Wodę, zawierającą podobne ciała, należy również wprzód oczyścić, zanim się ją do rzeki wpuści.

3) Ciała trujące (arszenik, ołów); małe ich ilości nie szkodzą; większych natomiast ilości nie należy dozwolić wprowadzać do rzek.

4) Ciała inne, niewymienione w poprzednich punktach (np. odpływy z farbiarni, fabryk sody i t. p.), które mogą wodę rzeczną do te-

go stopnia zanieczyścić, iż nietylko do picia i gospodarstwa domowego, ale nawet w rolnictwie i w przemyśle użyć jéj nie można.

Wodę zanieczyszczoną kałem, daléj używaną w gospodarstwie domowém, wreszcie wodę, która przechodzi przez podwórza i ulice, można w dwojaki sposób oczyścić:

a) za pomocą pól zraszanych, które oczyszczają wodę z zarazków chorobotwórczych i części gnijących tak doskonale, że bez najmniejszéj obawy wodę w ten sposób oczyszczoną do rzeki wprowadzić można;

b) w sposób chemiczny, działając np. wapnem w połączeniu z innemi środkami chemicznemi. W ten sposób możemy wodę oczyścić zupełnie z zarazków chorobotwórczych i cząstek gnilnych, pozostających w zawieszeniu, niezupełnie zaś rozpuszczonych, a szkodliwych w pewnych razach materyi organicznych. Aby uniemożliwić gnicie tych ostatnich, należy je rościeńczyć wielką ilością wody, albo, jeśli to niemożliwe, wsypać do wody odpowiednią ilość wapna lub innego środka, uniemożliwiającego gnicie.

Tak więc, widzimy, iż walczą ze sobą dwa odmienne poglądy na sprawę zanieczyszczania rzek. Pettenkoffer broni poglądu, według którego w pewnych warunkach ma miejsce samooczyszczanie rzek i wówczas wprowadzanie nieczystości uważa za nieszkodliwe dla zdrowia ludzkiego; natomiast najwyższa instancya dla spraw lekarskich w państwie pruskiém, deputacya berlińska nie pozwala pod żadnym pozorem na wprowadzanie nieczystości do rzeki bez uprzedniego oczyszczenia wody.

Dziś stoimy jeszcze przed problematem, którego rozwiązanie, jak widać z powyższego, nie jest łatwe. Należy oczekiwać dalszych na tém polu prac, które obiecują być nader interesującemi. Za dni kilka właśnie przypada doroczny zjazd towarzystwa niemieckiego hygieny publicznéj w Lipsku i na programie debatów znajduje się sprawa samooczyszczania rzek. W najkrótszym téż czasie, jak donoszą ostatnie wieści, ma być we właściwych sferach poruszona sprawa rozległych badań nad wszystkiemi większemi rzekami w państwie niemieckiém. Zobaczymy wówczas, po czyjéj stronie słuszność. Jak w wielu kwestyach naukowych, tak i tutaj, stanowczego sądu orzec nie można przed dokonaniem olbrzymiéj liczby spostrzeżeń i doświadczeń.

* * *

W jednéj z kronik poprzednich, opisując postępy w dziedzinie badań bakteryologicznych, ogólnie wspomniałem o środkach obron-

nych, jakiemi organizm nasz posługuje się w walce z chorobotwórczemi zarazkami. Cały szereg badaczów dowiódł najsumienniejszemi doświadczeniami i spostrzeżeniami, że największą siłę odporności posiada w tym względzie krew. Rozmaicie wszakże odpowiadają na pytania: jaka część składowa krwi przeważnie udział bierze w téj samoobronie. Do niedawna ogólne panowało mniemanie, że białe ciałka krwi wchłaniają w siebie, niszcząc je, bakterye chorobotwórcze, i sądząc głównie z badań Miecznikowa, tego sposobu tłómaczenia w zupełności odrzucać nie można. Coraz więcéj wszakże okoliczności przemawia i za poglądem, że ciecz krwi, surowica, obdarzona jest w wysokim stopniu darem niszczenia bakteryi. Prace bakteryologa, p. Ogata z Tokio, ogłoszone niedawno, przypisują tę własność bakteryobójczą pewnemu fermentowi, zawartemu w surowicy krwi.

Ferment ten ma posiadać następujące własności chemiczne: rozpuszcza się w wodzie i glicerynie, nie rozpuszcza się w alkoholu, ani w eterze, traci swe czynne własności, jeżeli działać nań choćby minimalnemi ilościami karbolu lub kwasu solnego; również przestaje być czynnnym, gdy zostaje wystawiony na działanie temperatury 45°, lub gdy pozostaje przez pewien czas w zetknięciu z sokami trawiącemi. Ferment ten nietylko posiada własności ochronne, lecz i antyseptyczne, i nie zostaje ich pozbawiony, gdy nawet przez dłuższy czas przechowujemy go w glicerynie.

P. Ogata opisuje dość zawiły sposób wydobywania powyższego fermentu z surowicy krwi, oraz rezultaty swych doświadczeń, dokonanych z laseczników węglikowemi i bakteryami.

Inny bakteryolog, p. E. Freudenreich, badał zachowanie się mléka krowiego i koziego, względem mikrobów cholery i tyfusu, a z badań tych wynika, że i mléko zawiera w sobie ciała bakteryobójcze, podobnie jak surowica krwi. Lasecznik cholery zostaje zniszczony w krowiém mléku po godzinie, w koziém zaś po pięciu godzinach. Lasecznik tyfusowy bardziéj jest oporny: w mléku krowiém ginie dopiéro po 24 godzinach, w koziém zaś po pięciu. Gdy wszakże dany mikrob nie zostaje zupełnie zniszczony w mléku, to po pewnym czasie żywotność jego się wzmaga i rozwój postępuje bardzo szybko.

Wielu eksperymentatorów zauważyło, że bakteryobójcze działanie surowicy krwi ustaje lub słabnie, gdy ilość mikrobów jest bardzo duża. Otóż to samo skonstantował p. Freudenreich dla mléka. Podobnie téż, jak surowica krwi, zachowuje się mléko przy ogrzaniu. Utrzymywane przez godzinę przy 55° traci ono własność zabijania bakteryi i staje się nawet dobrém podłożem do ich rozwoju. Wreszcie

traci mléko swe własności bakteryobójcze, gdy się starzeje. Już po czterech dniach mléko krowie, a po piętnastu kozie zupełnie są pozbawione działania szkodliwego na bakterye.

Aby się przekonać, jakiéj właściwie części mléka przypada opisane działanie na bakterye, p. Freudenreich filtrował je przez przyrząd Chamberlanda, który zatrzymuje prawie całkowitą zawartość tłuszczu i sernika; w ten sposób przekonano się dowodnie, że przeważnie działanie przeciwbakteryjne w mléku przypisać trzeba przefiltrowanéj surowicy, przedstawiającéj klarowną, zlekka żółtawą ciecz.

Maksymilian Flaum.





NOWA LITERATURA FRANCUSKA.

(Dokończenie)*)

II.

Poznaliśmy się z dokumentem, jego filozofią, religiją, w któréj nie ma innego boga nad boga—„Ja“ i nie ma innéj wiary, jak wiara w dyabła, i nareszcie z jego socyologią. Pozostaje nam jeszcze zapoznać się z dekadencką estetyką. Jest to część, która mnie sama przez się interesuje najmniéj. Ponieważ jednak postanowiliśmy zapoznać się z dekadentyzmem, więc poznajmyż się do końca, témbardziéj, iż estetykę ową wykłada jeden z tak zwanych „głów“ dekadentyzmu i że wykład ów stanowi swego rodzaju syntezę wszystkiego tego, cośmy dotąd analizowali.

„Głową,“ o któréj mówimy, jest niejaki p. Karol Morice, a wykładem praca jego, zatytułowana: „*La littérature de tout à l'heure*,“ t. j. „Literatura jutra“ [1]). P. K. Morice rozpoczyna ją przedmową, w któréj zapowiada, iż książka jego jest wyrazem osobistych jego poglądów, gdyż literatura dekadencka nie zna szkół, tylko manifestacye czysto indywidualne i gdyby przypadkowo znalazło się trzech dekadentów, mających jedne i te same poglądy, to i wtedy nie utworzyliby szkoły, gdyż każdy z nich umiał by tylko jedną i wszyscy trzej jednaką rolę, a mianowicie rolę protagonisty. Ustęp ten zaznaczamy mimochodem, dla charakterystyki, gdyż w rzeczywistości wszyscy dekadenci, inter-

---

*) Patrz „Ateneum“ za m. wrzesień r. b., str. 453.

[1]) *Tout à l'heure* znaczy właściwie: natychmiast, zaraz.

wiewowani ostatniemi czasy, uznają p. Morice za jedną ze swych „głów,“ która w „Literaturze jutra“ sformułowała ich wspólne estetyczne *credo*. *Credo* to jest ciężkiém i zaplątaném, czytelnik nie weźmie nam za złe, jeśli dla większéj jasności i skrócenia roboty, zmienimy nieco porządek wykładu, zaczynając od tego, na czém p. Morice kończy: t. j. od programu czysto literackiego.

Rozpatrując literaturę francuzką ostatnich kilku wieków, p. Morice uważa, że była ona wyłącznie analityczną: literatura klasyczna analizowała duszę; romantyczna — uczucie i naturalistyczno-realistyczna — ciało. Obecnie, zdaniem p. Morice'a, nadszedł czas, kiedy należy zaprzestać analizować i zacząć syntetyzować. Idea to nie nowa, gdyż jak to konstatuje sam autor „Literatury jutra“ i w przeszłości nie jeden z pisarzy: Goethe, Michelet, Hugo i wielu innych, których wylicza, syntetyzowali nieraz, tylko źle; p. Morice obiecuje za siebie i swych przyjaciół, iż będą syntetyzować lepiéj. Po co owa synteza? jakie jéj zadanie? Na pytanie to p. Morice odpowiada: „Po to, żeby za pośrednictwem całéj sztuki poddać (*suggerer*) całego człowieka“ [1]. Aby zadaniu temu podołać, literatura jutra, gdyż jest to jéj zadanie, powinna porzucić jeśli nię całkiem, to częściowo, zwyczajne, dotąd używane formy stylowe i używać jak można najczęściéj symbolu. Co znaczy ów symbol? Przewertowawszy należycie „Literaturę jutra“ i kilku innych dekadentów, dowiadujemy się, iż symbol jest to porównanie, metafora, która zaoszczędzając poszczególnego wyliczania rozmaitych własności przedmiotu, o jakim mowa, daje w jednym wyrazie pojęcie zarówno o formie, jak o stanie, barwach, usposobieniu i t. d. Takim symbolem jest, naprzykład, lilija, która postawiona na miejsce opisu pewnéj kobiety mówi o jéj królewskości, dziewiczości, wysmukłych formach, białości duszy i lic i t. d. Wszystko jak dotąd jest w porządku i zrozumiałe, z wyjątkiem owéj „całéj sztuki,“ która z czasem wyjaśnia się... po części. Nim pójdziemy daléj, gdzie się robi ciemno, zatrzymamy się chwilkę, aby powiedzieć, iż od owego symbolu pochodzi nazwa „symbolistów,“ którą dekadenci dają sobie o wiele częściéj i chętniéj, niż miano „dekadentów“ i że co do nas, wybraliśmy tę ostatnią, gdyż charakteryzuje ona treść utworów „nowych“ pisarzy, treść będącą ich wyłączną własnością, gdy tymczasem pierwsza mówi o saméj tylko formie stylistycznéj, któréj nieraz wypada używać i powieściopisarzom i poetom innych szkół. A teraz powróćmy do p. Morice'a. Powiada on, iż symbol dokładnym, ścisłym być nie może i ze względów zarówno estetycznych, jak i psychologicznych być nim

---

[1]) „*La litterature de tout à l'heure*“ str. 358.

nie powinien. Dla tego téż należy brać go poza, czy téż właściwie po nad „geografią i historyą,“ t. j. po nad przestrzenią i czasem. Cały człowiek, któremu się poddaje (*suggerer*) cała w ten sposób zsymbolizowana sztuka, będzie „absolutem“ człowieka; absolutem, który jest celem marzeń wszelkich nieświadomych a często i świadomych porywów ducha, ogniskiem, ku któremu zdążają wszystkie marzenia i aspiracye ku czemuś wyższemu, doskonałemu, jedynym przedmiotem godnym integralnéj sztuki. Symbolem absolutu jest Bóg. Lecz Bóg jest tajemnicą, ideałem nigdy nie doścignionym, do którego sztuka może się tylko zbliżać, czerpiąc natchnienia i temata z rzeczy, co stoją najbliżéj niego, najwięcéj wiedzą o nim i o jego tajemnicach. Rzeczami temi są: 1) religia; 2) metafizyka, którą p. Morice identyfikuje z nauką, gdyż mniemaniem jego doszła do granic kresu swéj analizy, i dziś pozostaje tylko syntetyzować, t. j. zlać się z metafizyką, stać się nią, i 3) rewelacye, zarówno rozmaitych wielkich poetów i artystów, którzy miewali intuicye absolutu, jak proroków świętych, magów, astrologów, alchemików i t. d., którzy badali niezbadane i odkryli nie jedną z jego tajemnic, 4) legendy i tradycye [1].

Sztuką prawdziwą, całą, integralną jest tylko ta sztuka, która czerpie swe natchnienia i temata z owych źródeł. Była nią niegdyś sztuka prymitywna, będzie — sztuka jutra. To co było wczoraj, co jest jeszcze dziś, co odrzuciwszy religię i rewelacye, posiłkowało się wyłącznie analityczną podupadłą nauką, nie było właściwie sztuką, sztuką w prawdziwém pojęcia tego znaczeniu. Wszystkie źródła prawdziwéj sztuki, t. j. religia, nauka metafizyczna, rewelacye, i t. d. logicznie sprowadzają się do jednego, t. j. do religii. Sprowadzały się téż nie raz do niéj i historycznie. Wówczas artysta, dziś spodlony analizą i stykaniem się z „tłuszczą,“ był drugim kapłanem, stojącym na równi z tym, co nosił kapłańskie suknie i otrzymał święcenie: kapłanem, którego zadaniem, tak samo jak i urzędowego kapłana, było odkrywać światu tajemnice boskie za pomocą symboli.

Dla sztuki nowożytnéj głównem źródłem natchnień i tematów był katolicyzm, w którym zlewały się i metafizyka i rewelacye i ubóstwianie Boga, którego kapłani byli braćmi artystów, kościoły i klasztory— laboratoryami wiedzy, muzeami utworów artystycznych i t. d. Były to w ogóle świetne czasy dla sztuki, kościół i duchowieństwo popierały ją; sędziami, publicznością było nieliczne grono wybranych, obdarzo-

---

[1]) „*La litterature de tout à l'heure*.“ str. 65, 68. Cały ten ustęp czerpiemy z księgi I. (str. 1—70) gdyż praca p. Morice'a dzieli się nie na rozdziały, lecz na księgi.

nych przytém „łaską“ posłuszeństwa i zachwytu, nie uważających się za znawców, szanujących się, nie krytykujących. Czasy te trwały aż do chwili, gdy katolicyzm zamknął się w murach dogmatów. Okoliczność ta zmusiła artystów, których duch musi być wolnym, nie uznaje żadnych granic, do wzięcia rozbratu z kościołem. Pozostając religijną, sztuka przestaje być ortodoksalną; głównem źródłem natchnień artystów stają się z konieczności rewelacye ekstra-katolickie, często uważane przez kościół za heretyckie, t. j. magia, astrologia, alchemia. W okresie tym braćmi artystów, ich opiekunami staje się arystokracya, téż nieliczne grono wybranych, co pozostawiając ziemię i wszystkie jéj poziomości i brudy masie niewolników, po nad którą stoi sama szlachetna urodzeniem i duchem, unosi się wraz z poetami, malarzami i t. d. w sfery wyższe, czystsze. Czasy te były również dobremi i trwały mniéj więcéj aż do połowy XVIII wieku, wieku upadku duchowego, wieku przeklętego, kiedy ten „idyota“ Voltaire, „najpodlejszy z ludzi po tych co go szanują“ [1]) i jego również podła i idyotyczna klika, encyklopedyści zainaugurowali zabijający ducha, zarażający zgnilizną wszystko czego dotyka, racyonalizm. Religia, metafizyka, rewelacye, a z niemi i synteza artystyczna, sztuka integralna, wszystko to poszło precz. W nauce zapanowała analiza, w sztuce materyalizm, w świecie — „tłuszcza,“ która, nizka pochodzeniem, podła duchem... (patrz przedmowę Barbeya d'Aurevilly). Na dobitkę uczeni pchani, jedni potrzebą duchową, drudzy — żądzą popularności i pieniędzy, zaczęli, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa tego co robią, popularyzować, demokratyzować naukę [2]). Najbliższym skutkiem téj omyłki, tego obłędu okazało się to, iż „tłuszcza“ wbiła się w pychę, zaczęła uważać się za mądrą, mającą prawo sądzić o wszystkiém, między innemi i o dziełach sztuki, narzucać jéj swe nizkie upodobanie. Powstał dyletantyzm, krytyka; dotknięty powszechną zarazą artysta, poeta spodlił się również. Dziś przychodzi do świadomości swego spodlenia i pyta się sam siebie ze strachem: czy to koniec świata, czy téż tylko długa, okropna noc przed nowém Jutrem? Bohatér ducha zatrzymuje się na drugiém z tych przypuszczeń; chce odrodzić sztukę, która jedna jest w stanie odrodzić świat; czuje się znów kapłanem, którego rola jest tém trudniejsza i tém wyższa, iż nim nauka przyjdzie do świadomości, że powinna stać się metafizyką, co nastąpi wkrótce i nim ka-

---

[1]) „*Lit. de tout à l'heure*“ str. 46. Drugi z tych przydomków nadawanych Voltaire'owi zapożyczamy u J. de Maistre'a.

[2]) Ibid. str. 5 i 6. Do myśli téj autor powraca wielokrotnie. Z uczonych wini szczególnie tych, co upowszechniali pismo święte.

tolicyzm zreformuje się. jeśli zreformuje się! artysta jest jedynym kapłanem prawdziwego Boga. jedynym duchem odzwierciadlającym w sobie Absolut i jego symbol, jedynym skarbcem i stróżem świętych tajemnic. Trudność roli téj nie powinna go przestraszać; aby uniknąć spodlenia, powinien oddalić się od „tłuszczy,“ od świata; powinien szanować ducha swego, uprawiać go. Powinien oddalić się, izolować nawet od podobnych sobie artystów-kapłanów, aby się oddać całkowicie kontemplacyi Absolutu. badaniu jego tajemnic, które każdy z konieczności pojmuje na swój sposób; a ci co go otaczają powinni otaczać z szacunkiem i w cichości, aby nie przerywać jego rozmyślań, pozostawić go samemu sobie, uszanować w nim najwyższe na ziemi jestestwo.

Co do form, w jakie się wleje literatura jutra, będą one również nowe. Forma powieści romansu przeżyła się razem z analizą; spodlona zresztą materyalizmem, naturalizmem i realizmem nie może ona objąć utworów ducha czystego, wyższego. Literatura jutra będzie *par excellence* poetyczną. Co do utworów prozaicznych, powinny one albo stosownie do podniosłości przedmiotu i wysokości stanowiska artysty, mieć formę czystych, abstrakcyjnych rozmyślań, od czasu do czasu tylko dotykających ziemi okiem, lub wspomnieniem (powieści Barresa), albo być opowiadaniem, w którém artysta zaznaczy tylko główne linie, skoncentruje życie w jednym rozdziale, w jednéj jeśli można karcie, pozostawiając rozwinięcie i dopełnienie ich duchowi czytelnika (powieść Péladana). Najodpowiedniejszą zresztą formą dla przyszłéj literatury jest forma poematu, pisanego to wierszem, to prozą, o ile można rytmiczną i językiem, z którego należy powyrzucać wszystko to, co wczorajsza i dzisiejsza literatura wzięła z ulicy, zapożyczyła u „tłuszczy,“ a natomiast wskrzesić słownik, część słownika wieków średnich, wieków zeszłych, aż do XVIII.

Znudziliśmy cię, łaskawy czytelniku, całą tą scholastyką. Jest fałszywą logicznie, mylną historycznie. Mylną, gdyż jeśli religia bywała niegdyś źródłem poetycznych natchnień i metafizycznych hypotez, a kapłani — braćmi i opiekunami artystów, to nie dla tego. że pierwsza była religią, a drudzy kapłanami, lecz dla tego, że w pewnych okresach cywilizacyjnych, wszystko to co nie jest bezpośrednie, znane, dotykalne, uchodzi za religijne i że kapłani potrzebowali materyalnych symboli dostarczanych przez sztukę i byli jedyną warstwą społeczną, któréj warunki bytu pozwalały zajmować się sztuką i metafizyką. Druga z przyczyn tych, nie mająca nic wspólnego ze szlachetnością urodzenia i ducha, jest powodem, dla którego po kapłanach z kolei mecenasowała sztuce arystokrakcya, a późniéj burżuazya, która mówiąc nawiasem, nie zasługuje na pogardę i niechęć dekadentów, gdyż pła-

cąc tysiące a nawet i setki tysięcy za dzieła sztuki, nie jest ani trochę gorszą „siostrą“ artystów od swéj poprzedniczki, co im dawała nędzne pensyjki i od czasu do czasu „trzy łokcie sukna dla wstydliwości.“ Cały sęk w tém, iż dzisiejsi mecenasi nie są obdarzeni „łaską zachwytu“ i nie zadawalniając się zaletami mniéj więcéj zręcznego pieczeniarza, żądają od artysty głowy i talentu. Winien temu niewątpliwie ten, co pierwszy wprowadził w modę popularyzowanie wiedzy i krytykę t. j. idyota Voltaire, który jednak nie jest już ostatnim z ludzi, gdyż dekadenci odkryli jeszcze ostatniejszego, w osobie p. Franciszka Sarcey'a [1]). Innym winowajcą jest „druk, ten dyabelski wynalazek, co zrobił tyle złego ludzkości“ [2]) i demokracya, która „czyż długo jeszcze będzie istnieć!“ i t. d.

Dajmy jednak pokój winowajcom i powróćmy do dekadenckiéj literatury. Oprócz téj, jaką tylko co rozpatrzyliśmy, istnieje jeszcze inna, poetyczna, o wiele bogatsza w utwory i o wiele liczniéj reprezentowana od pierwszéj. Nie przerażaj się łaskawy czytelniku; nie mamy zamiaru analizować jéj, gdyż różna co do formy, co do treści, w wypadkach kiedy miewa jakąkolwiek treść, jest całkiem identyczną z tą, jakąśmy tylko co rozpatrzyli. Pozostawiamy ją więc na stronie, a pozwolimy sobie zakomunikować ci parę faktów, dotyczących również dekadentyzmu, lecz wziętych nie z literatury, ale z życia.

Dnia 29 kwietnia b. r. paryzki dziennik „France“ umieścił w łamach swych list podpisany imieniem: Sâr Péladan. Obrażony listem tym niejaki p. Rudolf Salis, czy téż de Salis, posłał dwóch sekundantów do owego Sâra, który na propozycyę pojedynku odpowiedział: 1) Że chociaż katolik, jest on w mocno naciągniętych stosunkach z rzymską kuryą i obawia się, aby ta nie wzięła pojedynku za pretekst do ekskomuniki; 2) iż rozporządzając potęgami nadziemskiemi, jest pewny zwycięstwa nad swym przeciwnikiem, wobec czego pojedynek nie był by pojedynkiem lecz prostém zabójstwem; 3) iż zabójstwo to pociągnęłoby za sobą dla niego, p. Péladana grzech. Zanieczyszczenie hermetyczne, tém groźniejsze, iż obecnie nie istnieje żadne kolegium magów, które mogłoby oczyścić zeń; że biorąc wszystko to pod uwagę on, p. Péladan, czuje się zmuszonym odmówić p. Salis żądanéj satysfakcyi.

Odpowiedź tę, podaje jako zakomunikowaną mu przez sekundantów, dziennik „Figaro,“ który lubi żartować i żartuje często. Co się

---

[1]) Krytyk pozytywista F. Sarcey powiedział o dekadentach, symbolistach, ezoterystach i t. d., iż w braku inteligencyi i talentu powymyślali rozmaite dziwolągi, aby zwrócić na siebie uwagę ogółu.

[2]) „*La litterature de tout à l'heure*“ str. 21.

tyczy innego faktu, jaki czytelnikom zamierzamy zakomunikować, jest on jaknajzupełniéj prawdziwy.

W romansie swym „Tam!“ p. Huysmans nazywa oszustem nie tylko kolegę swego Sâra Péladana, lecz i kilku innych magów paryskich, twierdząc przy tém, że nie oni są prawdziwymi magami, lecz taki kanonik Docre, dr. Johannes z Lionu i t. d. Twierdzenie to obruszyło widocznie całe plemię paryskich magów, którzy w imieniu „jednéj z grup studyów ezoterycznych“ rozesłali ogłoszenie, iż w sobotę, dnia 25 kwietnia odbędzie się zebranie publiczne, na którém mag Papus odpowié p. Huysmansowi. Zebranie to odbyło się w „księgarni cudów,“ przy ulicy Trévise, w sali obwieszonéj w około rozmaitemi symbolami, jak: kielich „magów“ husyckich, różany krzyż niemieckiéj dziś, dziś podobno wznowionéj we Francyi sekty Rosenkreuzer'ów i t. d. Wobec licznéj publiczności składającéj się z poważnych, zasiadających pod ścianami ezoterystów i sędziwych, z uśmiechem rozglądających się w około gości, doktor, mag Papus, w rzeczywistości medyk, były czy téż nawet dzisiejszy intern profesora Luysa w paryzkim szpitalu „Charité,“ tłomaczył co następuje, przedewszystkiém, iż p. Huysmans jest oszustem, nie znającym się ani trochę na magach i magii, o któréj wié tyle tylko, co wyczytał z Larousse'a, lub jakiéj innéj encyklopedyi; że każdy człowiek, oprócz ciała i duszy, ma jeszcze swą specyalną atmosferę, zwaną „astralną“ i zamieszkiwaną przez duchy, którymi „po prostu“ są jego własne, oddzielające się odeń i istniejące samodzielnie myśli i pragnienia; że duchom owym, zwanym larwami, jeśli są bezforemne, można „po prostu“ pragnieniem swém nadawać jaką się chce formę; że inkuby i sukuby są to „po prostu“ owe duchy, z którymi ma się pewnego rodzaju stosunki; że duchy takie można wywoływać, a jeśli żaden z nich nie ukazał się podczas doświadczeń robionych w obecności profesora Richer (Karol Richer, autor głośnéj pracy: „Wielka histerya“), to „po prostu“ dla tego, iż atmosfera astralna d-ra Richer okazała się niesympatyczną duchom i t. d.

W pośród wszystkich tych „po prostu,“ o których mówi tak po prostu, jakby chodziło o to: czy nazajutrz wzejdzie słońce, mag Papus powiada, iż prasa myli się przypuszczając, jakoby owym kanonikiem Docre, figurującym w „Tam!“, miał być kanonik Rocca, gdyż ten nie jest ani trochę magiem, lecz po prostu uczonym księdzem, usiłującym połączyć, zlać chrześciaństwo z buddyzmem i interesującym się naukami ezoterycznemi. Uwaga ta, nie mniéj ciekawa od innych części przemowy maga Papusa, opiera się na fakcie. W Paryżu istnieje rzeczywiście pewien kanonik Rocca, wydający specyalne pisemko, w którém stara się wszelkiemi siłami zidentyfikować Chrystusa z Buddą. Powra-

cając do uwagi saméj, była ona zbyteczna, gdyż podniósłszy chwilowo imię kanonika-buddysty, prasa, a przynajmniéj kilka dzienników, poprawiła się jeszcze przed publiczném zebraniem ezoterystów mówiąc, iż kanonik Docre. to nie kanonik Rocca, lecz pewien kanonik B..., co rzeczywiście wyklęty przez kościół i skazany przez trybunał kryminalny za przestępstwo przeciw obyczajom publicznym, po odbyciu kary przeniósł się do Lionu, gdzie pod imieniem „Nowego Karmelu“ założył coś pośredniego pomiędzy klasztorem i domem pani Laury, przyjaciółki ks. Jana des Exceintes. Do faktów tych, a są to fakta, dodamy jeszcze jeden. „Księgarnia cudów“ handlująca książkami, poświęconemi magii, astrologii, kabale i t. p. rzeczom, nie jest jedyną w swoim rodzaju. Inna także istnieje na Quais de grands Augustins; trzecia gdzieś, nie pamiętamy dokładnie gdzie, w głębi dzielnicy, leżącéj w okolicach Père-Lachaise i zowiącéj się Ménilmontant. Książki te wydawane przez specyalnego wydawcę, ktoś czyta, ktoś kupuje. A teraz łaskawy czytelniku zrozumiész, dla czego powiedzieliśmy przed chwilą, iż pomimo wszelkie uniesienia p. Huysmans, jest on, co do sposobu traktowania przedmiotu, co do metody lit[illegible]aturalistą, „studyującym“ według teoryi medańskiéj „społeczeństwo na podstawie dokumentów ludzkich“ i realistą „malującym wyrazami obrazy i sceny z życia współczesnego,“ jak tego wymaga estetyka braci Goncourtów.

III.

Jesteśmy u kresu analizy naszéj. Pozostaje nam obecnie sprobować rozwiązać parę kwestyj, dotyczących dekadentyzmu w ogóle, t. j. dekadentyzmu nietylko literackiego, lecz i... życiowego, którego istnienie w pewnéj części społeczności francuskiéj, wskazuje kilka, tylko co przytoczonych faktów i wiele innych, o jakich wypadnie nam zapewne nadmienić.

A przedewszystkiém: co wszystko to znaczy? i zkąd się bierze?

— Zkąd? Doktór Richer, jak się okazuje z przemowy maga Papusa, studyuje niektóre z przejawów dekadentyzmu z punktu widzenia medyczno-historycznego. Czytaliśmy, czy też słyszeliśmy niedawno określenie, mówiące, iż egotyzm, to „*l'onanisme psychologique*,“ a wszystko reszta: pesymizm, ezoteryzm i t. d., to zwykłe następstwa pierwszego — rozstrój systemu nerwowego, melancholia, halucynacye. P. Adryan Remàcle, były redaktor „*Révue Independente*,“ twierdzi, iż wszystkiemu winni H. Taine i E. Renan. P. Maurycy Barrès nareszcie uważa, iż „podniosłość ducha“ z jaką on i jego przyjaciele traktują

zadania życiowe, pochodzi ztąd „żeśmy niespokojni, bo nie wiemy na jakiéj nodze skakać.“ [1]).

Wsystkie te i tym podobne określenia i tłómaczenia są mniéj więcéj słuszne. Nowy jednak historyczny okres wielkiéj histeryi, czy też niepokój z powodu niewiadomości, na któréj nodze skakać, zjawisko to musi miéć i ma swoje przyczyny, swą historyę, których poszukamy w umysłowo moralném życiu współczesnéj Francyi.

Współczesna Francya, to Francya drugiéj połowy wieku, który się obecnie kończy. Powinnibyśmy właściwie powiedziéć: który się niedawno skończył, gdyż bieżący wiek, dla Francyi rozpoczyna się nie od roku 1800 lecz od chwili, gdy wziąwszy rozbrat z przeszłością, jéj pojęciami i formami, Francya odrodziła się, stała się nową, t. j. od chwili, gdy ruch umysłowo-moralny, reprezentowany przez encyklopedystów, ogarnął jéj społeczeństwo. Związek istniejący pomiędzy jedną, a drugą połową wieku tego, jest tak ścisły, iż aby zrozumieć drugą, wypadnie nam rzucić okiem na pierwszą. Rzucić na chwilę, lecz za to zaczynając nieco z daleka, t. j. od początku.

Charakterystycznym [redacted] początku tego jest powszechna, przed niczém nie zatrzymująca się krytyka wszystkiego, co stanowiło autorytet, co wiązało dawnych Francuzów w pewne moralne grupy i postawienie na miejscu wszystkich tych rozbitych, złamanych powag, jednéj nowéj, jakim jest rozum indywidualny. Na pomoc ruchowi temu, który sam wyrósł na gruncie nowych potrzeb i aspiracyi ekonomiczno-społecznych, przychodzi wkrótce faktyczne rozpadnięcie się wszelkich, zaczynając od stanów i prowincyj i kończąc na cechach, dotychczasowych grup na jednostki, indywidua. Stanowi ono treść wielkiéj rewolucyi, na dnie wszelkich reform i ideałów, któréj leży szacunek dla jednostki i dla idei racyonalistycznych. Cała wewnętrzna polityka pierwszego cesarstwa polega na zręcznem zużytkowaniu, wyzyskiwaniu indywidualnych talentów, zdolności, które nienawidzący ideologii, Napoleon I, przykuwa ku sobie za pomocą zręcznego dogadzania, schlebiania indywidualnym pragnieniom, słabostkom, ambicyom. Kolosalna epopea militarna z téjże epoki, zapala wyobraźnię ogółu i potęguje jego zaufanie, wiarę w potęgę indywidualnego geniuszu, który z niczego wyniósł tylu ludzi na wyżyny życia towarzyskiego i odegrał a jeszcze więcéj zdawał się odegrywać tak potężną rolę w historyi.

Stan ten umysłów odbija się i na literaturze. Treść, filozofię romantyzmu stanowi: przedewszystkiém wyswobadzanie indywidualnych uczuć z tych więzów, jakie na nią kładą pozostałe z przeszłości zapa-

---

[1]) „Homme libre,“ str. 4.

trywania, zasady, przesądy; powtóre, wynoszenie pod niebiosa indywiduum, które romantycy pod wpływem świeżych wspomnień historycznych i własnego racyonalistycznego idealizmu, widzą nie inaczéj jak przez powiększające szkła: kolosalne w cnocie i występku, kierowane ogromnémi tytanicznemi namiętnościami, dokonywujące bohaterskich, tytanicznych czynów. Układające się powoli nowe, po-rewolucyjne stosunki, zadają tymczasem co raz wyraźniejszy kłam romantykom i racyonalizmowi. W przeciągu kilku dziesiątków lat, jakie upłynęły od początku wieku, kilkanaście, jedna od drugiéj „racyonalniejszych“ konstytucyj, z których każdą inaugurowano z entuzyazmem, po każdéj z których spodziewano się zbawienia, jedna po drugiéj nie wytrzymują krytyki życia, krytyki historyi i upadają. Zagrożona w latach 30 i 48 w interesach swych burżuazya, zrzeka się dawnych ideałów, braterstwa i swobody i rzuca je pod nogi Napoleona Małego, spodziewając się ujrzéć w nim nowego pogromcę wrogów, na ten raz wewnętrznych, których przestaje nazywać „młodszą bracią,“ mieniąc natomiast „barbarzyńcami.“ Wewnątrz saméj burżuazyi, jako klasy, zapanowuje nowy ideał, nowe hasło, którém jest hasło „wolnéj konkurencyi.“ Zamiast roznosić po świecie „idee,“ w potęgę których przestaje wierzyć i szukać wawrzynów, skierowuje burżuazya wszystkie siły społeczne ku wytworzeniu wewnętrznego, t. j. domowego i ulicznego komfortu. Podstawą życia, zarówno politycznego, jak i prywatnego okazuje się cyfra; filozofia z racyonalistycznéj staje się pozytywną i wraz z życiem, z jego faktycznemi dążeniami i moralnemi aspiracyami głosi, iż jedyną rzeczą pewną, godną uwagi i szacunku, a przy tém i rozumną, są fakta, ściśle i dokładnie obserwowane, skontrolowane doświadczeniem, i kombinacya faktów takich — nauka pozytywna.

Pod wpływem wszystkich tych zmian zmienia się i dotychczasowy charakter powieściopisarstwa francuskiego, które przeszedłszy przez szereg gradacyj, prób (Flaubert, Balzac) z początkiem drugiej połowy bieżącego wieku i drugiego cesarstwa staje się realistycznem. Przewódcami kółka tego, do którego po latach około 18 przyłączają się młodsi: E. Zola i A. Daudet, początkowo są: bracia de Goncourt i Flaubert, a jego programem, hasłem twierdzenie, iż powieść, romans powinny być odtworzeniem na papierze kawałka prawdy, kawałka życia, jakiémkolwiek jest owo życie z jednym warunkiem, ażeby wszystkie szczegóły jego, fakta, były ściśle obserwowane i dokładnie, obiektywnie oddane. Program ten jest pozytywistycznym, o ile ogół robiący zazwyczaj programy z każdéj dochodzącéj doń teoryi naukowéj i filozoficznéj i ówcześni powieściopisarze-realiści, z których żaden pod względem inteligencyi i wiadomości nie przewyższał ogółu, znali i rozu-

mieli pozytywizm. Wkrótce jednak program ten modyfikuje się. W życiu zapanowuje bezpodzielnie hasło używania, a pod jego wpływem, powieściopisarstwo, co za czasów romantyków i w pierwszych utworach realistów, jak „Komedya ludzka“ Balzaca, „Karol Damailly“ Goncourtów, „Pani Bovary“ Flauberta, miało na względzie przedewszystkiém prawdę: moralną, lub pozytywną, starało się czegoś nauczyć czytelnika, zaczyna stawiać na pierwszym planie zrobienie czytelnikowi przyjemności, za pomocą wyboru tematów i co raz większego zwracania uwagi na formę doskonalenia takowéj. Pozytywizm zresztą taki, jakim go pozostawił A. Comte i podniósł Littré, zostaje w umysłach i sympatyach ogółu usuniętym na drugi plan przez innego filozofa, który w przeciągu lat około 20 cieszył się kolosalną popularnością. Filozof ten to Hipolit Adolf Taine autor „Historyi literatury angielskiéj“, „Filozofii sztuki“ i t. d. a tą częścią jego nauki, która dochodzi do ogółu, i zajmuje go, która zresztą stanowi oś, w koło jakiéj obracają się wszystkie prace Taine'a, jest teorya determinizmu psychologicznego. Nie jest ona wynalazkiem Taine'a, a przytém i sam Taine, co wyrósł i wychował się w epoce rozczarowań, w epoce „trzeźwienia,“ jest również pozytywistą, nieuznającym nic oprócz faktów i pozytywnéj nauki, szacunek swój i zamiłowanie w któréj posuwa aż do zapomnienia o samym sobie, do pewnego rodzaju fanatyzmu. Przenosi tylko badania swe na grunt psychologii i znajduje, iż podstawą wszelkich wiadomości ludzkich jest wrażenie, że wrażenie to jest całkowicie zależném od determinujących go okoliczności, jakiemi są: rasa, dziedziczność, historya, warunki bytu i t. d., że ze względu na fakt, iż determinujące warunki owe składają się dla każdego indywiduum mniéj więcéj różnie, wrażenia bywają rzeczą czysto indywidualną, a przytém i zmienną, gdyż zmiennemi nie stałemi są determinujące je okoliczności, i ich kombinacye.

Pod wpływem teoryi téj realizm powieściopisarski, który dotąd był, a przynajmniéj chciał być obiektywnym, staje się subiektywnym i rozpada się na dwie szkoły: właściwych realistów i naturalistów. Wpływ jéj nie ogranicza się jednak samém zmodyfikowaniem metod powieściopisarskich. Teorya determinizmu w ogóle i determinizmu psychologicznego, zastosowana do ludzkości, narodu, stanu, lub klasy i ich historyi, mówi o ciągłości i prawidłowości ich rozwoju; o tém, że w życiu ich wszystko się wiąże i wypływa jedno z drugiego; że to co się w niem zdaje najbardziéj przypadkowém, jak ilość gubionych listów i t. p., w rzeczywistości jest ściśle zdeterminowaném, dzieje się to w pewnym porządku według pewnych praw. Taż sama teorya przeniesiona na grunt psychologii indywidualnéj mówi: o nicości sił czło-

wieka i bezowocności jego starań, wysiłków; o nietrwałości indywidualnego szczęścia i niepewności indywidualnego jutra, które pierwsza lepsza okoliczność, zdeterminowana przyczynami nie mającemi nic wspólnego z danėm indywiduum i będąca dlań „przypadkiem,“ może pokrzyżować, złamać. Filozof swego wieku, swojėj epoki, która jest indywidualistyczną, Taine zajmuje się przeważnie indywiduum i z właściwėm mu mistrzostwem słowa, ilustruje poglądy swe szeregiem dosadnych, prostych metafor. Część metafor tych, jak naprzykład głośne twierdzenie, iż cnota i występek są to produkta, tak samo jak cukier i ocet, i że psychiczne „Ja“ jest swego rodzaju wiązanką rakiet z których jedna, zapalona z zewnątrz unosi się po nad poziom innych i oświetla je i cały otaczający świat właściwą jėj barwą, póki nie zgaśnie, poczėm zapala się inna, i t. d., kursują dotąd po takich nawet głowach, które nie tylko o teoryi determinizmu psychologicznego, lecz i o samym, niegdyś tak popularnym, a i dziś jeszcze tak znanym we Francyi H. Taine'ie nigdy nie słyszały. Oprócz psychologii H. Taine ówczesny (mówimy o okresie drugiego cesarstwa) zajmuje się literaturą i sztuką. Z prac tych jedne, a mianowicie krytyczno-literackie wywierają potężny wpływ na całą późniejszą literaturę francuską i stwarzają nową krytykę, krytykę naukową. Z pośród innych, dotyczących sztuki, studyum o prerafaelistach i pewne ustępy z innego, o ideale w sztuce, służą za teoretyczny punkt wyjścia dla średniowieczności i mistycyzmu pewnėj części dzisiejszėj sztuki francuzkiėj.

Obok H. Taine'a nieco starszy odeń i jednocześnie z nim występujący na arenę życia publicznego, Ernest Renan, obrabia wnioski do jakich prowadzi zastosowanie tėjże teoryi determinizmu, do moralności indywidualnėj; wnioski mówiące o nicości sił i bezowocności wysiłków człowieka, o nietrwałości indywidualnego szczęścia, niepewności indywidualnego jutra i t. d. W miarę jak stygnie pierwotny zapał Renana do nauki, jego wiara w jėj praktyczną potęgę, w jėj przyszłość, wnioski te doprowadzają uczonego eks-jezuitę do co raz to krańcowszego sceptycyzmu, czyniącego zeń dzisiejszego „wszechbłogosławiciela,“ którego pyrronizm, chociaż się otwarcie takim nie mieni, jest dziś w Paryżu przysłowiowym i służy za przedmiot żartów i pocisków rozmaitych pisarzy, zaczynając od pp.: E. de Goncourta i M. Barrèsa a kończąc na pierwszym lepszym reporterze.

Z obu tych filozofii, z których bierzemy tylko to, co i jak o nich wié ogół, ogół ten robi program mówiący, iż kiedy na świecie nie ma nic pewnego, stałego, trwałego, należy więc o nie się nie troszczyć, tylko używać. Do programu tego dochodzi tėm łatwiėj, że mu go podpowiada i życie, w czėm jedna z głównych przyczyn popularności

H. Taine'a i E. Renana i wziętości ich teoryi. *Maximum* wpływu, jakie teorye te wywierają, przypada zresztą na epokę III rzeczypospolitéj, epokę kiedy upadek drugiego cesarstwa, co nie wierząc w nic samo, narzucało społeczeństwu katolicyzm i moralność bezwzględną, zwalnia Francuzów od ostatnich, które na nich ciążyły, więzów i pozwala im swobodnie iść za impulsem, jaki daje życie i formułujący wnioski jego mistrze.

Nowy ten okres ma swoje hasła — nie nowe, lecz występujące w nim ze szczególną siłą. Hasła te są następujące: W dziedzinie stosunków ekonomicznych — wolna, niczém nie krępowana i nie krępująca się konkurencya, która wbrew tendencyom innych zachodnio-europejskich państw, ograniczenia i regulowania takowéj, we Francyi kwitnie po dawnemu i która w stosunkach społecznych przybiera charakter niepohamowanéj „walki o byt,“ żądzy używania, dostarczania swemu „Ja“ jaknajwięcéj i jaknajwiększych przyjemności. W dziedzinie sztuki — wrażeniowość, impresyonizm. W dziedzinie moralności — renanizm, z którego ogół robi: *„je m'en fichisme“* [1]).

Mistrz tego ostatniego, wykładający prostym, czystym i jasnym, jak górski strumień, językiem, straszliwie ciemne teorye o rzeczach, w które nie wierzy i z których drwi, bywa częściéj wesołym, niż smutnym. Nie wszyscy jednak są filozofami, mają po 70 lat i nie mają dzieci. To też większość *„je m'en fichistów“* nie podziela dobrego humoru mistrza, témbardziéj, że świeżo przebyte wypadki historyczne i co raz to nowe ruchy „wewnętrznych barbarzyńców“ głośniéj od wszelkich teoryi mówią o nicości sił i bezowocności wysiłków, o niepewności jutra — historycznego. Odgłosy ruchów tych, dźwięczące zwątpieniem o przyszłości nauki w zeszłorocznym utworze samego Renana, nieprzezwyciężoną niechęcią ku wszelkim mniéj więcéj gwałtownym zmianom pod piórem, zkądinąd politycznego indyferentysty Taine'a i strachem o losy sztuki w przedmowach E. Goncourta, wśród ogółu burżuazyi odzywają się co raz rosnącém zdenerwowaniem, pesymizmem i niechęcią ku „tłuszczy.“

Literatury okresu tego, łaskawy czytelniku, nie znasz, lub znasz bardzo mało. Tracisz na tém nie wiele; okoliczność ta jednak zmusza nas do nieco szczegółowszego w niéj rozejrzenia się. Ma ona pewne zalety. Jest nieskończenie tolerancyjną, dla wszystkiego co dotyczy „czystéj,“ t. j. abstrakcyjnéj nauki i czystéj sztuki; odznacza się wszechobejmującą „ciekawością intelektualną;“ jest przy tém lekką, piękną co do formy, artystyczną co do swych tendencyi. Rysy te wy-

---

[1]) *Je m'en fiche* = A co mi tam! A niech tam wszystko dyabli biorą!

stępują szczególnie wyraźnie we właściwéj okresowi, o jakim mówimy, krytyce. Krytyka ta jest impresyonistyczną, wrażeniową; uważa, iż jedyną możliwą i racyonalną podstawą sądu o dziełach sztuki i literatury są wrażenia, jakie dzieła owe robią na sądzącym, a że wrażenia są rzeczą czysto indywidualną, a przy tém niepewną i zmienną (A. France, J. Lemaitre), uważa więc za swój obowiązek sądzić pobłażliwie, formułować sąd swój grzecznie, być tolerancyjną. Wrażeniowém, t. j. uważającém za jedyne zadanie swe dostarczanie czytelnikom wrażeń, jest i powieściopisarstwo tegoż okresu. A że przy tém chodzi mu z konieczności o urozmaicenie owych wrażeń, zainteresowanie czytelnika ich niezwykłością, oryginalnością — odznacza się więc rzadkiém wyuzdaniem wyobraźni we wszystkich kierunkach, a szczególnie w kierunku „fizyologii“ i artyzmu. Najwybitniejsze stanowisko w powieściopisarstwie tém, zajmują dwie szkoły. Jedna z nich „Parnas“ głosi hasło: „sztuka dla sztuki.“ Parnasczycy są to prawie wszyscy— poeci. Wielu z nich jednak pisuje obok poezyi powieści i romanse, a ponieważ idee i tendencye grupy występują wyraźniéj w powieściach niż w poematach, ponieważ przytém mówimy dziś o powieściopisarstwie, a nie o poezyi, zatrzymajmy się więc nieco nad prozą parnasczyków. Nie potrzebujemy zapewne mówić ci, czytelniku, iż wybieramy najwybitniejszych.

Jednym z takich jest p. Armand Silvestre. Jako prozaik pisuje on zazwyczaj dobrze, co do metody—realistyczne powiastki. Właściwymi bohatérami powiastek tych bywają najczęściéj (prawie zawsze) nie ludzie, grający w nich podrzędną, dodatkową rolę, lecz rozmaite, tak zwane niższe organa ludzkie, najczęściéj trawienia, a treścią tychże powiastek — funkcyonowanie owych organów. Nie cytujemy, gdyż cytaty musiały by być za długie, a przytém nie zawsze przyzwoite. Gdybyś jednak, łaskawy czytelniku, był ciekaw tego rodzaju literatury, odsyłamy cię do pierwszego lepszego zbioru („Contes grivois,“ „Contes gaulois“ i t. d.) powiastek p. Silvestre'a, który obecnie napisał ich już kilkanaście tomów. Powiastki p. Silvestre'a napisane ładnym, gładkim stylem, z humorem i werwą, reprezentują w „Parnasie“ prozaicznym element wesoły, żartobliwy. Innym głośnym, wybitnym parnasczykiem, jednym z wodzów i teoretykiem grupy jest p. Catulle Mendès. Jako prozaik, p. C. Mendès jest autorem następujących powieści i romansów: „Małżeństwo jokastyczne“ (treść — kazirodztwo pomiędzy ojcem i córką), „Zo-Har“ (kazirodztwo pomiędzy bratem i siostrą), „Lesbijanki,“ „Mefistofela“ (królowa paryskiego Lesbosu), „Szklany buduar“—szereg drobnych powiastek, w których autor, przez szklane ściany buduaru pokazuje czytelnikowi szereg ładnych, głupich

i mocno zepsutych paryżanek, często kapłanek „bogini“ lezbijskiéj w chwilach gdy się ubierają, rozbierają, kąpią) i t. d. Wszystkie te i tym podobne utwory, p. C. Mendès napisał ich sporo, są co do formy wysoce artystyczne a co do metody — realistyczne ze sporą przymieszką naturalizmu w genezie typów i t. d. Co do tych ostatnich, najczęściéj indywidualistyczne, służą one nie ku charakterystyce społeczeństwa w pewnym okresie, gdyż większość z nich jest zanadto wyjątkowa i... potworna na to, aby miała charakteryzować coś i kogoś oprócz samych siebie i... autora, a z nim szkołę, lecz ku urozmaiceniu wrażeń, zrobieniu ich bardziéj rzadkiemi i niezwykłemi. Obok fizyologów „Parnas“ posiada metafizyków i mistyków, z których najwybitniejszym jest p. Villiers de l'Isle Adam. Jednym z utworów téj kategoryi jest „Nowa Ewa“ p. de L'Isle Adam. Bohaterka powieści téj to pierwsza Ewa — sztuczna, którą Edison, aby zaspokoić „wyższe,“ nadziemskie, miłosne, artystyczne aspiracye pewnego Anglika, robi ze stali, drucików, telefonów, przyrządów elektrycznych i t. d., nadając wszystkiemu temu kształty, głos i ruchy pewnéj idealnie pięknéj artystki. W idealną tę formę nagle, pomimo wiedzy i woli Edisona... wsiedla się dusza. Ztąd „Nowa Ewa.“ będąca doskonałym „symbolem“ tego współczesnego nastroju, dzięki któremu miłośnicy „sztuki dla sztuki“ przekładają kopie zrobione z blachy, drucików, i t. d. nad oryginały, t. j. naturę i człowieka, a po tém dla skomplikowania swych wrażeń, dla zrobienia sobie większéj przyjemności, wcielają w kopie te jakąś niewiadomą duszę, w któréj istnienie sami nie wierzą. Wodzem wodzów „Parnasu“ był niedawno zmarły „słowik,“ T. de Banville, a jedną z pereł parnaskiéj prozy jest — jego ostatnia powieść: „Marcela Rabe.“ Treść powieści téj jest następująca: Pewien genialny doktór-hypnotyzer i artysta z ducha, zakochuje się w pewnéj genialnéj horyzontalce, artystce z ducha, która go kocha również, lecz bojąc się skalać jego geniusz swą przeszłością i pochłonąć go (geniusz) swém demoniczném ciałem, poświęca się i szuka sobie rywalki. Rywalkę tę znajduje w osobie niejakiéj pani Klaudyi Vendrenens, żonie pewnego genialnego finansisty, dziennikarza i artysty z ducha. Pani Klaudya idealnie piękna, jest również genialną i artystką z ducha. Ma kilkoletniego, mocno podobnego do niéj syna, lecz zapewnia swych licznych znajomych i gości, iż jest dziewicą, czemu ci nie zupełnie wprawdzie wierzą, gdyż nie byliby wówczas ludźmi wyższymi, niezwykłymi, jakimi są prawie wszyscy, lecz czemu nie przeczą stanowczo, gdyż pani Klaudya ma kształty, barwy i ruchy absolutnie dziewicze i w swym nadzwyczaj artystycznie a przy tém dziewiczo umeblowanym salonie, wygląda zupełnie, jak bizantyńska, czy też w ogóle, prerafaelowska prymi-

tywna Madonna. Prerafaelowska Madonna owa... w praktyce, jaką niespodziewanie dostarcza zakochanemu od pierwszego wejrzenia, lecz nie śmiejącemu marzyć o niéj doktorowi artyście, okazuje się demonem, praktykującym, wszelkie, jaknajniezwyczajniejsze i najdemoniczniejsze formy zmysłowości. Na czém cała ta, iście słowicza co do pomysłu, historya kończy się? — nie wiemy, gdyż nie mieliśmy cierpliwości doczytać ją do końca. Co do formy, obrazowości opisów, żywości barw i t. d., jest ona wysoce artystyczną, tak samo jak „Nowa Ewa“ i większość utworów, wychodzących z pod pióra parnasczyków.

Inną, wybitną szkołę w literaturze ostatnich czasów stanowią „psycholodzy“ z Pawłem Bourget'em na czele. Ten jest dość znany u nas, poprzestajemy więc na podsumowaniu naszych wspólnych wiadomości o nim, jako powieściopisarzu. Uczeń Taine'a i tainista — P. Bourget stosuje również do powieściopisarstwa teoryę determinizmu psychologicznego, lecz nie całą, gdyż bierze z niéj przeważnie to, co dotyczy czysto indywidualnego ustroju, bytu, skłonności i t. d. bohaterów i bohaterek, i jednostronnie, gdyż zniechęcony „fizyologią“ innych powieściopisarzy i amator wrażeń delikatnych, wyższych, szuka przyczyn, determinujących postępki owych bohaterów i bohaterek w saméj tylko ich psychologii. Owo zamykanie się w ciasném kole wyłącznie osobistych wrażeń i uczuć, najczęściéj płytkich, gdyż ogniskiem ich bywa zazwyczaj jakaś mniéj więcéj salonowa intryżka miłosna; rafinowanie owych uczuć, pogoń za wyszukaną delikatnością szczegółów i odcieni, wielkoświatowość bohaterów i bohaterek i t. d., czynią z większości utworów p. Bourgeta literaturę nowożytnego dandyzmu, czy też francuzkiego snobizmu [1]). Jednym z charakterystycznych rysów literatury, najczęściéj pesymistycznéj, jest wspólna prawie wszystkim bohatérom i wielu bohatérkom skłonność do samoanalizy, grzebania się w swych myślach, uczuciach, skłonnościach i t. d. którą Bourget (tak jak parnasczycy — artystyczność) uważa za oznakę wyższości umysłowéj i modernizmu, a która dla „psychologów“ jest jednym ze środków urozmaicenia, komplikowania i potęgowania, czy też rafinowania wrażeń. Rys ten zapożyczony u p. Bourgeta przez p. Barrèsa, którego „Ja“ jest również doskonałym dandy, staje się jedną z podstaw filozoficznéj metody uprawiania samego siebie, dostarczania sobie jaknajwiększéj ilości jaknajprzyjemniejszych wrażeń.

---

[1]) To, co mówimy o utworach P. Bourgeta nie jest zarzutem czynionym autorowi. Powieści i romanse Bourgeta są dalszym ciągiem jego studyów o „Współczesnéj psychologii;“ głośny „Uczeń“, naprzykład, został napisany jako krytyka na ówczas nie zupełnie jeszcze sformułowany „egotyzm.“

Dwie te szkoły nie obejmują całego powieściopisarstwa ostatnich dwóch dziesiątków lat, lecz grają w niém przewodnią rolę, zadają ton. To téż z wyjątkiem niewielkiéj ilości utworów wyróżniających się głębszym pomysłem, cała beletrystyka francuzka okresu tego odznacza się indywidualnością i niezwyczajnością swych mocno brutalnych, lub mocno wyrafinowanych typów; ich pesymizmem, płytkością myśli i uczuć; wrażeniowością i wyjątkowém bogactwem impresyonistycznych opisów natury, a jeszcze częściéj rzeczy; opisów, w których autorowie sadzą się na artystyczność barw, linii i ich kombinacyi i którym poświęcają nie raz po pół, a czasem i więcéj, tomów, wychodzących z pod ich pióra. Typową próbkę tego rodzaju beletrystyki stanowią utwory p. Piotra Loti (Juliusz Viaud), który, względnie nowy przybysz w literaturze francuskiéj, gdyż pisuje od lat dziesięciu zaledwie, zlał w powieściach swych charakterystyczne rysy obu tylko co wspomnianych szkół, z dodatkiem kilku własności mniéj więcéj osobistych.

Pomimo niezwykłą obfitość pisarzy i utworów, pomimo nieskończone rozprawy o sztuce i nieograniczoną swobodę, jaką posiadają dzisiejsi „artyści“ dzięki bezgranicznéj tolerancyjności ogółu i jego „intelektualnéj ciekawości,“ cała ta „Nowa Ewa,“ jaką jest literatura właściwa ostatnim paru dziesiątkom lat, za wyjątkiem niewielkiéj ilości nieco głębszych utworów, okazała się suchą, robioną, a nadewszystko pustą jak bańka mydlana, którą przypomina zewnętrznem bogactwem barw. Zamknięte w zaczarowaném kole sobkostwa i pyrronizmu młode pokolenie francuskiéj burżuazyi, okazało się impotentem; okazało się niém we wszystkiém, zaczynając od polityki a kończąc na literaturze, w któréj kwitnie sama tylko forma. W pośród powszechnéj téj bezpłodności duchowéj, wyjątek stanowią postępy, poczynione w dziedzinie nauk przyrodniczych, gdzie sama metoda badań, oparta na doświadczeniach i kontroli własnych wrażeń, wrażeniami innych, nie pozwalając sceptycyzmowi wyrodzić się w pyrronizm i solidaryzując pomiędzy sobą badaczy, utrzymała indywidualizm i sceptycyzm we właściwéj im historycznéj roli, roli dźwigni nauki i postępu.

Powróćmy jednak do literatury i burżuazyjnego ogółu ostatnich czasów. Z zaczarowanego koła, o którém mówiliśmy, probuje wyrwać ich nowa, właściwa temuż okresowi filozofia za pomocą: 1) pojednania jednostki ze społeczeństwem; 2) wyzwolenia „Ja“ z pod jarzma determinizmu. Najwybitniejszym z'przedstawicieli pierwszego z tych prądów jest niedawno zmarły M. Guyau; drugiego — p. Em. Bontroux, rozprawa którego „O względności praw natury“ jest swego rodzaju

koroną wyzwalaczy „Ja“ [1]). Z dwu tych prób druga, filozoficznym celem któréj ma być wyniesienie ducha po nad materyę i wyleczenie tegoż ducha z pyrronizmu, przypada więcéj do gustu ogółowi. Ponieważ jednak w dziedzinie filozofii wyzwolenie owo odbywa się powoli, ogół więc sam a przynajmniéj pewna część jego, bierze na siebie dokonanie téj interesującéj ją próby i dokonywa ją zrzekając się na raz nie tylko pyrronizmu, lecz i sceptycyzmu.

Intelektualne to *salto-mortale* odbywa się na raz w wielu punktach. Pani Bławacka ze swą francuzko-angielską świtą inauguruje teozofię bramińską, czy też nawet przedbramińską; p. Leon Rosny — buddyzm; margrabia de Voguë głosi pesymistyczny mistycyzm Dostojewskiego i Tołstoja i każe rozwijać się jaknajśpieszniéj i najusilniéj po to, aby jaknajrychléj dojść do powszechnego „niebytu.“ PP. Em. Faguet i F. Brunetière, obaj popularni wśród młodzieży szkolnéj profesorowie i literaci, propagują wielką nienawiść ku racyonalizmowi, encyklopedystom i t. d., każą wierzyć w Boga, którego nie nazywają, nie określają i starają się wyzwolić „Ja“ z pod jarzma determinizmu. Odradza się zapomniany spirytyzm; genialni doktorzy robią z hypnotyzmu... hermetyzm; genialni kanonicy i genialne zakonnice dostają się pod sąd za odprawianie czarnych mszy; otwierają się „biblioteki cudów,“ wznawiają się sekty czarnych i białych magów i t. d. i t. d.

Jak się przedstawia, jaką jest ta część mniéj więcéj wykształconego ogółu francuskiego, która się podjęła owéj zbawiennéj roboty? Znasz ją, łaskawy czytelniku, z literatury dekadenckiéj, w któréj rys za rysem podnieśliśmy wszystko co charakteryzuje owo pokolenie, zowiące się: nowém, młodem. Miana te, które samo sobie nadaje, są omyłką, lub kłamstwem! pesymistyczne tym pesymizmem, co nie jest filozofią, chociażby złą, lecz prostém, mniéj więcéj gorzkiém krzywieniem się na świat i ludzi; od dzieciństwa zużyte, wyczerpane fizycznie i moralnie, nie umiejące ani nienawidziéć, ani kochać, ani wierzyć, gdy mu się wiary zachciewa, pokolenie to na progu życia jest już zgrzybiałém. A że przytém odznacza się kolosalną zarozumiałością i ambicyą, krzywi się więc na wszystko co różne odeń, co żywe, czynne, co myśli i szerzy myśl i życie w około siebie; krzywi się i osłania swą fizyczną i moralną nicość urywkami teoryi idealistyczno-pesymistyczno-scep-

---

[1]) W literaturze nowéj kierunek ten jest reprezentowany przez pp. Em. Hennequina i F. Brunetière'a. Ten ostatni w swéj: „Evolution des genres dans l'hist. de la litterature“ (tom. I. str. 254, 255 i t. d.) powiada, iż wpływ historyi, charakteru danego okresu historycznego na charakter literatury właściwéj okresowi temu, jest rzeczą „względną“ i że charakter utworu zależy od charakteru „indywidualnego ducha“ pisarza i od „chwili,“ w któréj pisarz ów pisze.

tycznego indyferentyzmu. Jedyny czyn na jaki pokolenie to zdobywa się względem innych, to podyktowana przez źle zrozumiane reminiscencye klasyczne próba zaprowadzenia „tłuszczy“ do domu rozpusty, lub cyrku. Jego wesele, to jak gad zimny i jak gad zjadliwy sarkazm, którym pluje na wszystkich i wszystko. Jego mądrość, to: „*je m'en fichisme*“ nie zatrzymujący się nawet przed obowiązkami obywatelskimi, które pokolenie to od czasu do czasu bierze na siebie dla urozmaicenia swych wrażeń. Jego filozofia moralna, to „egotyzm.“ Jego bóg — to jak balon rozdęte i jak balon puste „Ja,“ które przy pomocy kazuistyki jezuickiéj stara się wynieść po nad świat i ludzkość. Ani mądrość ta, ani moralność i wiara, jaką sobie stworzyło, nie zadawalnia go jednak. Zadowolnić nie może, a przytém pokolenie to nie jest w stanie zadowolnić się niczém, gdyż jest pyrronistycznem. W dalszéj pogoni swéj więc za wrażeniami i za jakąkolwiek pewnością, za spokojem moralnym, jaki pewność owa daje, pokolenie to, jak poetycznie mówi p. Huysmans: „pochyla się nad przepaścią tajemnic.“ Co w przepaści téj znajduje, spostrzega? Jak tłomaczy mag Papus, po prostu samego siebie, swe własne myśli i pragnienia, które, chore na nerwy i rozwiedzione „dla sztuki“ z „geografią i historyą“, bierze za samodzielnie istniejące „larwy.“ A że w chwili pochylania się swego marzy o prerafaelizmie, o „łasce zachwytu“ bezkrytycznego i t. p. średniowiecznościach, wyobraźnia więc jego nadaje owym „larwom“ formę średniowiecznego trupa, którego otacza magami i dyabłami.

Rysów tych stanowiących treść literatury dekadenckiéj nie będziemy rozpatrywać poszczególnie. Zawierają same w sobie swą krytykę. Rzućmy raczéj okiem na to, zkąd się rysy owe wzięły? Gdzie ich źródło? Wskazywaliśmy je wielokrotnie; źródło to jest dwojakiém. W dziedzinie faktów, w dziedzinie historyi jest niém przed niczém nie zatrzymująca się „walka o byt,“ tocząca się wewnątrz samego burżuazyjnego ogólu i rozłom istniejący pomiędzy owym ogółem a innemi warstwami społecznemi; rozłom, którego burżuazya francuska nie stara się nawet zmniejszyć, czy chociażby pokryć środkami, do jakich uciekają się inne nie mniéj burżuazyjne zachodnio-europejskie państwa. W dziedzinie życia umysłowo-moralnego źródłem tém jest krańcowy indywidualizm, sobkostwo, które zamykając jednostkę w saméj sobie i każąc jéj cofać się nawet przed kontrolowaniem swych osobistych wrażeń, wrażeniami innych ludzi, kontrolą do jakiéj nawołuje nauka, filozofia pozytywna, paczy myśl owéj jednostki, kazi jéj uczucia i wyradza się w pyrronizm, egotyzm i ezoteryzm.

Co do formy swéj, literatura dekadencka bywa najczęściéj symboliczną. Mówimy: „bywa,“ gdyż z dekadentów prozaików jeden

tylko p. Barrès jest symbolistą, a z poetów najwybitniejszy, p. Paweł Verlaine, uniósłszy się czasowo symbolizmem, dziś symbolistą być przestał. Charakterystyczną własnością obrazu, a przezeń i myśli nie dawanych, lecz poddawanych w symbolu, stanowi ich niejasność, ogólnikowość, mogąca być doprowadzoną do oderwania od „geografii i historyi,“ t. j. od przestrzeni i czasu. Na własności téj polega wartość symbolu, jako formy stylowéj, któréj zadaniem: zainteresować czytelnika, pozostawiając jego własnéj wyobraźni i myśli dopełnianie i lokalizowanie poddawanego obrazu i czyniąc go w ten sposób poniekąd współpracownikiem autora, współtwórcą. Środek ten od dawna znany i używany, szczególnie w poezyi, jest dobrym o tyle, o ile pisarz posługuje się nim nie stale, przeplatając go innemi, bardziéj określonemi formami stylowemi i o ile symbol, metafora, wraz z obrazem poddaje wskazówki, jak obraz ów ma być dopełnianym i kiedy potrzeba, lokalizowanym, — ze względu na co brać go należy z dziedziny zjawisk i rzeczy powszechnie znanych, popularnych. W przeciwnym razie, symbolizm rozmija się ze swemi zamierzonemi celami i zamiast zainteresować czytelnika męczy go i nudzi, lub posunięty jeszcze daléj w swéj nieokreśloności i oderwaniu, czyni z obrazu wyraz, lub kilka stojących obok siebie wyrazów, a z myśli — nonsens. Przekroczeniem owych granic, nie dających się w teoryi ściśle, dokładnie określić, tłomaczy się obfitość, w symbolicznéj poezyi, wierszy nie mających żadnego, lub prawie żadnego znaczenia, jak słynny: „Sonet samogłosek“ i t. p. Losowi temu uległy i niektóre z utworów dwu byłych parnasczyków baudelair'zystów, [1]) a dzisiejszych wodzów dekadencko-symbolicznéj poezyi, pp. Pawła Verlaine'a i Stefana Mallarmé. Z nich pierwszy, dawszy się początkowo unieść symbolicznym zapałom, napisał pewną ilość wierszy, nie mających sensu, lecz wkrótce cofnął się przed ostatecznościami, do jakich dochodzą inni symboliści. To też utwory jego, w których dość często, lecz nie stale używany i brany z dziedziny rzeczy i zjawisk zwyczajnych, znanych czytelnikom, symbol, gra wybitną rolę, posiadają pewien wdzięk marzenia, mirażu. Z utworów nie mniéj utalentowanego p. Stefana Mallarmé te, w których autor utrzymał symbol w wyżéj zaznaczonych granicach, jak poemat: „Popołudnie Fauna,“ posiadają wysoką wartość artystyczną. Im jednak p. Mallarmé daléj brnie w nieokreśloność, niezwyczajność i oderwanie symbolów, tém wiersze jego okazują się mniéj zrozumiałemi, a tém samém i mniéj pięknemi. Zbyt stałém, szczególnie w dwu pierwszych tomach

---

[1]) Określenie poezyi Baudelaire'a, zapożyczone u p. Huysmansa, podaliśmy w pierwszéj części obecnego studyum.

używaniem symbolów, zrzadka tylko lokalizownych, tłomaczy się zmęczenie i znudzenie, jakie wywołuje w czytelniku filozofia p. Barrèsa, pomimo, że jest pisana wykwintnym językiem i przeplatana nie raz istotnemi dowcipami. Symbolistom nie chodzi zresztą zbytnio o treść ich utworów. Wódz szkoły, p. St. Mallarmé, uważa, iż jasność, zrozumiałość utworów jest rzeczą drugorzędną [1]) i w sporach swych i manifestach poeci-symboliści rozprawiają przeważnie o ilości stóp, o rymach i rytmach. Rymy i rytmy grają w rozprawach tych nader wybitną rolę, gdyż o ile realizm sympatyzował z malarstwem i starał się „malować wyrazami,“ o tyle symbolizm zdaje się mieć pewną predylekcyę do muzyki. Krańcowym wyrazem téj predylekcyi jest tak zwany „instrumentyzm,“ specyalna metoda pisania wierszy tak, aby się składały w oktawy, trele, akordy i t. d. Owo wynoszenie formy po nad treść istnieje nie w saméj tylko poezyi symbolicznéj. P. Barrès wycofał niedawno z obiegu swe prelekcye o sztuce dramatycznéj, gdyż uznał, iż w druku styl ich jest mniéj „eleganckim.“

Przystrojona w formę ową, niejasną, mglistą, zaciemniającą treść, tam, gdzie ta istnieje, literatura dekadencko-symboliczna jest rodzajem mistyfikacyi, sztuką dla ludzi obdarzonych darem bezkrytycznego zachwytu, o których marzy. Co do treści swéj jest antinaukową; czy potrzebujemy dowodzić słuszności zarzutu tego! Jest nią nawet w dziedzinie téj nauki, w któréj dekadenci-symboliści uważają się za najmożniejszych, t. j. w dziedzinie psychologii. Jest nią dla tego, iż każe adeptom swym szukać szczęścia w odosabnianiu się, samoanalizie i kontemplacyi, gdy tymczasem psychologia naukowa twierdzi, iż szczęście, najbardziéj sobkowskie nawet, jest niemożliwe bez pewnéj dozy altruizmu i bez równowagi pomiędzy życiem wewnętrzném, duchowém i akcyą, dla któréj samoubóstwianie swego „ja“ i dostarczanie mu przyjemnych wrażeń jest polem za ciasném, nie dostateczném.

Antinaukowa jest téż antispołeczną. Nie dla tego, że krzywi się na „tłuszczę“ i rozprawia o arystokratyzmie, gdyż rozprawy o szlachetności i podłości „z urodzenia,“ z należenia do tego, lub innego z nieistniejących zresztą obecnie stanów, są to archaizmy, z któremi dziś we Francyi nikt się nie rachuje i rachować nie uważa za potrzebne. Antispołeczną literatura dekadencko-symboliczna jest dla tego, iż odrywa jednostkę od społeczeństwa; że z ubóstwiania swego „Ja“ i dostarczania mu przyjemnych wrażeń, z egotyzmu, robi jedyne zadanie, jedyny duchowy cel życia ludzkiego; że w pośród dwu zgrzytów

---

[1]) Wiadomość tę podaje p. K. Morice, w swéj „Literaturze jutra,“ str. 319.

śmiechu, sceptycznego aż do samobójstwa, gdyż pyrronizm jest samobójstwem duchowém, głosi teorye, co gaszą myśl i zabijają popęd do czynu!

Zowie się „literaturą jutra“ a marzy o wiekach średnich, o czasach kiedy jeszcze nie istniał ów „dyabelski wynalazek,“ druk. Z dwu tych krańców jest niewątpliwie bliższą drugiemu. Bez sił i bez akcyi, które neguje [1]) okazuje się przedewszystkiém i nadewszystko literaturą zastoju.

Ma jednak pewne zalety, niezależne od tych, co ją stworzyli i leżące po za nią. Jako historyczne *reductio ad absurdum* wszystkiego, co umysłowo moralne życie dzisiejszéj Francyi zawiera w sobie chorobliwego, rozkładowego, jest charakterystyczną i pouczającą. Wytwarza przytém atmosferę, w któréj, kto mumią, trupem, ten prędzéj dognije, a kto śpi tylko, zachowawszy iskrę życia w sennéj piersi, ten się zakrztusi — i obudzi.

W. Wojnarowska.



---

[1]) P. Karol Morice mówiąc o społeczeństwie, które nazywa „jedną ze smutnych konieczności tego przejściowego stanu, w jakim znajduje się obecnie człowiek,“ powiada, iż jedyną rzeczą jaką w stosunku do owéj konieczności powinien zrobić poeta, artysta (uważany przez dekadentów-symbolistów za najrozumniejsze, najwyższe jestestwo na świecie), jest zamknąć się w samym sobie: że ani bunt przeciw złemu, ani litość dla złych, nędznych, nie jest zadaniem jego, a co najwyżéj podniesienie palca i wskazywania nim piękna („Liter. jutra.“ str. 371).



ULGI TARYFOWE
DLA TRANSPORTÓW ZBOŻOWYCH.

Pomiędzy środkami jakie przedsięwzięte zostały przez władze rządowe dla złagodzenia skutków nieurodzaju, którym w bieżącym roku dotkniętych zostało wiele gubernii Cesarstwa, pierwszorzędne miejsce zajmuje zniżka taryf dróg żelaznych od transportów zbożowych. Przewodnia myśl, jaka kierowała przy układaniu tych taryf, była ta, aby przy ich pomocy okolice obfitujące w zboże, przesyłać mogły swoją nadwyżkę tym nieszczęśliwym guberniom, które czują ich brak.

Dokładna znajomość taryf kolejowych jest zawsze użyteczna, tak dla wytwórców jak i dla spożywców zboża, w czasie zaś takim, jak obecny, kiedy prawdopodobnie transporty zbożowe nie będą mogły dążyć po utartych szlakach ku zwykłym miejscom zbytu, jakiemi są porty i granica zachodnia, lecz będą musiały być skierowane na nowe zupełnie rynki, w okolice, które same dotychczas były eksporterami zboża—w takim czasie znajomość taryf kolejowych i umiejętne ich wyzyskanie, stanowi jeden z najważniejszych warunków korzystnego zbywania i nabywania produktów zbożowych. Z tego też względu sądzimy, iż krótkie zapoznanie czytelnika z nowo-wprowadzonemi ulgami taryfowemi na kolejach żelaznych nie będzie zbyteczne na łamach „Ateneum".

Ulgi są dwojakiego rodzaju.

1) Z jednych, które są nazwane ulgami, korzystają tylko ziemstwa i władze rządowe, które same się zajmują dostarczaniem zboża dla wyżywienia ludności i obsiewania pól.

2) Z drugich, które są nazwane zniżeniem taryf, korzystają wszyscy wysyłający zboże, o ile transporty ich wychodzą z któréjkol-

wiek stacyi, znajdującéj się na jednéj z linii dróg żelaznych, dla których zniżenie taryf zostało postanowione.

Pod względem formalnym ta pomiędzy dwoma rodzajami ulg zachodzi różnica, że kto chce korzystać z pierwszéj, winien przedstawić odpowiednie świadectwo ziemstwa lub władzy rządowéj, dla drugiéj zaś niewymagane są żadne formalności i każdy wysyłający zboże ma prawo żądać od drogi żelaznéj, aby do transportu jego zastosowana była zniżona taryfa.

1. Ulgi taryfowe dla zboża, dostarczanego przez ziemstwa i władze rządowe.

Opłata od transportów wszelkiego rodzaju zboża (z wyjątkiem nasion oleistych), wysyłanych przez ziemstwa lub władze rządowe dla wyżywienia ludności lub obsiewania pól, ustanowioną została po $1/_{100}$ kopiejki za 1 pud na przestrzeni jednéj wiorsty. Jest to bezwarunkowo taryfa najniższa ze wszystkich dotychczas istniejących, tudzież wszelkich taryf zniżonych, lecz korzystać z niéj mogą jedynie ziemstwa gubernii woroneżskiéj, charkowskiéj, kurskiéj, tulskiéj, riazańskiéj, tambowskiéj, penzeńskiéj, saratowskiéj, samarskiéj, kazańskiéj, symbirskiéj, niżegrodzkiéj, wiackiéj, chersońskiéj, ekaterynosławskiéj, połtawskiéj, ufimskiéj, permskiéj; powiatów: jeleckiego, liweńskiego i małoarchangielskiego gubernii orłowskiéj, tudzież władze rządowe dostarczające żywności mieszkańcom kraju turgajskiego w gubernii orenburskiéj, i w okręgach: kurhańskim, jałutorowskim i iszymskim, gubernii tobolskiéj. Ziemstwa innych gubernii, któreby chciały korzystać z ulgi taryfowéj w tym samym celu zaopatrywania ludności w zboże na pokarm i zasiewy, winny odnieść się do departamentu spraw dróg żelaznych, któremu pozostawioną została władza rozszerzenia taryfy ulgowéj i do innych miejscowości w miarę potrzeby.

Władze miejskie, nie korzystają bezpośrednio z ulg taryfowych, lecz o ileby zaszła potrzeba sprowadzenia przez nie zboża dla ludności miejskiéj, to winny odnieść się do ziemstw dla otrzymania od nich odpowiednich świadectw. Powyższa ulga taryfowa ma zastosowanie do wszystkich transportów zbożowych, z wyłączeniem nasion oleistych, wedle nomenklatury zaś komitetu taryfowego, do transportów zbożowych należą:

1) Zboże w ziarnie, kartofle, słód i odpadki.
2) Nasiona.
3) Mąka pszenna, kartoflana, gryczana, bobowa i krupy.
4) Mąka żytnia, grochowa, kukurydzana, owsiana i jęczmienna.

Ulga taryfowa stosuje się tylko do ładunków w pełnych wago-

nach, to jest 610 pudów, do opłaty transportowéj dolicza się za naładowanie i wyładowanie po 4 rs. od wagonu, a nadto po 60 kopiejek od wagonu za przejęcie ładunku z jednéj drogi żelaznéj przez drugą.

Dla przybliżonego wyliczenia należności transportowéj korzystać można ze zwykłych przewodników dla podróżnych, w których wskazane są odległości pomiędzy rozmaitemi stacyami, kto zaś chce miéć dokładne obliczenie winien się posiłkować wydawnictwem J. F. Sauera, w którém podane są odległości w ten sposób, jak one służą za podstawę do obliczenia przez zarządy wszystkich dróg żelaznych.

Ponieważ taryfa oblicza się wedle ilości wiorst, przeto transport o tyle taniéj wypada, o ile idzie po krótszéj linii, dla ludzi wszakże nieobznajmionych dokładnie z kierunkami dróg żelaznych, często ze sobą krzyżujących się, wybór kierunku najkrótszego jest kłopotliwy i często może być błędny. Z tego powodu zarządom dróg żelaznych poleconém zostało wybieranie drogi najkrótszéj, a właściwie takiéj, po któréj transport najtaniéj wypada, wysyłający zaś zwolnieni zostali od wskazania kierunku, którym transport ma przechodzić, i ograniczyć się powinni na wskazaniu tylko stacyi przeznaczenia.

Odpowiedni wybór miejscowości, z których ma być sprowadzane zboże, ma wielkie znaczenie ze względu na ceny zboża; gdyby ziemstwa zakupywały zboże w miejscowościach, które same nie mają go do zbytku, i gdzie obok ziemstw zakupy czynione są przez kupców, to ceny podniosłyby się znacznie, przy jednoczesném wyczerpaniu miejscowych zapasów. Tymczasem przy pomocy ulgi taryfowéj ziemstwa są w stanie przywozić zboże z takich rejonów, które są niedostępne dla kupców, zmuszonych płacić wyższe stawki taryfowe, i z których przy zwykłéj opłacie frachtowéj zboże nie mogłoby być dostawiane, pomimo niskiéj jego na miejscu ceny. Tym sposobem ziemstwa sprowadzając zboże z oddalonych punktów, nietylko nie wpłyną na podwyższenie cen w własnym ich rejonie, ani w tych, z których zwykle zboże sprowadzają, ale przeciwnie, powiększając zapasy zboża, jednocześnie wpłyną na zniżenie jego ceny.

Oprócz tego zrobiona jeszcze została ulga dla transportów zbożowych, idących z kolei rumuńskich do Odesy, a mianowicie ze stacyi Jass zniżoną została opłata do $^1/_{80}$ kopiejki, a z pozostałych stacyi do $^1/_{100}$ kopiejki z puda i wiorsty na całéj przestrzeni południowo-zachodnich dróg żelaznych.

2. Ulgi taryfowe dla wszystkich transportujących zboże.

Dotychczas była tendencya zniżania taryf od wszystkich towarów, a w szczególności od transportów zbożowych, skierowanych ze

środkowych gubernii cesarstwa ku kresom państwa, a głównie ku granicy zachodniéj. Nieurodzaj tegoroczny skłonił władze do zmiany dotychczasowéj polityki taryfowéj, przynajmniéj czasowo, celem ułatwienia transportowania zboża od granic ku wewnętrznym guberniom cesarstwa, dotkniętym nieurodzajem, i z tego względu obecne obniżenie taryf zbożowych ma wyjątkowe dla kraju naszego znaczenie. Wedle nowéj taryfy, stawki od wszystkich transportów zbożowych, wychodzących z portów i ze stacyi zachodniéj granicy lądowéj, obniżone zostały o 50% na przestrzeniach niedochodzących 1200 wiorst, a o ile przestrzeń przez którą transport przebiega, przewyższa 1200 wiorst, stawka wynosi $^1/_{100}$ kopiejki z puda i wiorsty. Do stacyi korzystających z obniżonéj téj taryfy zaliczone zostały w naszym kraju, Wierzbołów, Grajewo, Mława, Aleksandrów, Sosnowiec, Granica, tudzież Warszawa. Nie korzystają z powyższego obniżenia taryfy transporty zboża: *a*) z powyżéj wymienionych stacyi pogranicznych i portowych do innych stacyi znajdujących się w portach i na zachodniéj granicy lądowéj, tudzież do 5-ciu najbliższych stacyi portów i téjże zachodniéj granicy lądowéj, *b*) ze stacyi Warszawa do stacyi drogi żelaznéj petersbursko-warszawskiéj, linii dynabursko-ryskiéj, dynabursko-libawskiéj, landwarowo-libawskiéj i landwarowo-wierzbołowskiéj, dróg żelaznych warszawsko-wiedeńskiéj, warszawsko-terespolskiéj, iwangrodzko-dąbrowskiéj, a także do stacyi od Iwangrodu do Mławy na drodze żelaznéj nadwiślańskiéj i od Brześcia do Grajewa na drodze żelaznéj południowo-zachodniéj. Inne wyjątki od zniżonéj taryfy, jako kraj nasz nieobchodzące, tutaj pomijamy.

W motywach do tego obniżenia taryfy ministeryum wyjaśnia, iż zanim rezultaty tegorocznych zbiorów doszły do wiadomości publicznéj i przed podniesieniem się cen na rynkach wewnętrznych, dużo zboża zostało nagromadzonego w portach i na stacyach pogranicznych, celem wysłania go za granicę; następnie zaś pomimo znacznego podwyższenia się cen na rynkach wewnętrznych, nie mogło napowrót zostać tam skierowane, z powodu wysokich taryf kolejowych.

Zniżenie tedy taryfy ma na celu zwrócić napowrót do głębi państwa wywiezione stamtąd transporty zbożowe, a nadto odwrócić zboże od zwykłych rynków ku guberniom cierpiącym głód.

Transport kukurydzy po dr. żel. władykaukaskiéj i południowo-zachodniéj zniżony został o 50%, a to w celu uczynienia jéj tańszą i ułatwienia gorzelniom pędzenia z niéj wódki zamiast z żyta.

Transport kartofli zniżony został do $^1/_{100}$ kopiejki z puda i wiorsty, a zatém do téj saméj stawki, z jakiéj korzystają ziemstwa i wła-

dze rządowe; celem téj zniżki jest uprzystępnienie kartofli dla wyżywienia ludności i użycia ich w gorzelniach:

Transport odpadków zniżony został o 50%.

Nakoniec dla ułatwienia dowozu zboża z północnego Kaukazu, gdzie w bieżącym roku urodzaj był bardzo obfity, do gubernii dotkniętych nieurodzajem, taryfa na dr. żel. władykaukazkiéj obniżona została o 30%.

Wedle zwykłéj dotychczasowéj taryfy opłata przewozowa od transportów zbożowych pobierała się jak następuje:

Od 1 do 360 wiorst po $1/24$ kopiejki z puda i wiorsty z ustępstwem 10% na przestrzeni przewyższającéj 200 wiost. Od 361 do 1600 wiorst do powyższéj opłaty doliczało się po $1/80$ kopiejki z puda i wiorsty;

Od 1601 do 3000 wiorst do opłaty pobieranéj za 1600 wiorst dodawało się po $1/200$ kopiejki z puda i wiorsty.

Od 3000 i więcéj wiorst pobierała się taka sama opłata, jak za 3000 wiorst.

Wedle téj formuły, znając przestrzeń jaką transport ma przebiedz, nietrudno wyliczyć należność wedle ogólnéj taryfy, z któréj trzeba potrącić 50% przy transportach od portów i granicy zachodniéj, a 30% przy transportach po władykaukazkiéj drodze, a natomiast doliczyć za naładowanie i wyładowanie po 4 ruble od wagona i po 60 kop. za przejście z jednéj drogi na drugą. Ponieważ przy zniżce zwykłéj taryfy o 50% na przestrzeni 1200 wiorst opłata wynosi już tylko $1/100$ kopiejki z puda i wiorsty, a wedle przyjętéj zasady, stawka nie może być niższą od $1/100$ kopiejki, to przy transportach idących od portów i granicy zachodniéj, o ile przestrzeń przekracza 1200 wiorst, nie ma żadnéj potrzeby czynić jakichkolwiek wyliczeń wedle taryfy, lecz poprostu przyjąć należy w rachubę $1/100$ kopiejki z puda i wiorsty; przy transportach, idących po drodze władykaukazkiéj, gdzie zniżka taryfy wynosi tylko 30%, stawka $1/100$ kopiejki z puda i wiorsty zaczyna się dopiéro od transportów przebiegających 2260 wiorst i więcéj.

γ





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Ustrój. istota i stanowisko agonu w komedyach Arystofanesa.“ Napisał Gustaw Lettner. Kraków, Druk. uniwersytetu Jagiellońskiego, 1890, str. 212.

Układ techniczny dramatu starogreckiego tak mało jest znany naszéj publiczności wykształconéj, ba, i literatom nawet, że nie żdziwiłbym się bynajmniéj, gdyby tytuł powyższy wydał się zgoła niezrozumiały. Jeszcześ co do tragedyi, to tłómaczenia ich w języku naszym dokonane z zachowaniem podziału przyjętego w nauce, uprzystępniły cokolwiek nazwy epejsodyów i stazymów, ale co do komedyi, to chyba prócz parabazy i chórów, reszta jéj części pokryta była dla nas zasłoną tajemnicy. Co się zaś specyalnie tyczy nazwy „agonu“, to w swém techniczném znaczeniu nawet w europejskiéj literaturze występuje ona od niedawna. Tak bowiem nazwał pewną część składową komedyi greckiéj pierwszy T. Zieliński w znakomitéj swéj pracy: „*Die Gliederung der altattischen Komoedie*“, wydanéj w Lipsku 1885 roku.

Ta to właśnie praca, wskazana przez prof. uniwersytetu lwowskiego, p. Ludwika Ćwiklińskiego, słuchaczowi filologii Gustawowi Lettnerowi, wywołała dziełko wymienione w nagłówku. Autor jego, uznając genialność niektórych wywodów Zielińskiego, doszedł w innych do odmiennego poglądu, a chcąc go uzasadnić, musiał się wdać w szczegóły o układzie technicznym staroattyckiéj komedyi wogóle, o ile one do rozjaśnienia kwestyi „agonu“ przyczynić się mogą. Rozprawa jego tedy rozpada się na dwie główne części: 1) „O ustroju rozmaitych działów komedyi, okalających tak zwany agon aktorów“ i 2) „O tak zwanych agonach aktorów, zawartych w komedyach Arystofanesa.“

Nie idąc trop w trop za specyalnemi argumentami p. Lettnera, postaram się, o ile można, jaknajjaśniéj przedstawić główne rezultaty jego rozumowań w przeciwstawieniu do zapatrywań dotychczasowych lub poglądów Zielińskiego.

Zieliński starał się udowodnić, że komedya starogrecka miała swój zupełnie samoistny, od tragicznego całkiem niezależny układ. P. Lettner co do głównych części komedyi zgadza się z tym poglądem, lecz mu przeczy co do części końcowych. Wiadomo z Arystotelesa, że komedya starogrecka powstała z pieśni fallicznych, albo wogóle z pieśni szyderczych, tak zwanych jambicznych. Skądinąd znaną jest rzeczą, że „w Attyce dawnemi czasy krzywdzeni wieśniacy udawali się nocą do miejsca, w którém mieszkał winowajca, i tam głośno wywodzili swe żale, podając zarazem nazwisko krzywdziciela. Nazajutrz omawiali sprawę szczegółowo ci wszyscy, co owe nocne wykrzykiwania słyszeli. Gdy wskutek tego niegodziwe czyny rzadziéj się zdarzały, Ateńczycy pozwolili głośno krytykować i wyśmiewać w teatrze, kogokolwiek chciano.“ W ten sposób miała się pojawić komedya, którą z czasem zajęli się osobni poeci; pierwszy podobno Susaryon ujął osnowę w miary rytmiczne. Ponieważ treścią główną parabazy w staroattyckiéj komedyi jest krytyka teraźniejszości, a mianowicie nieprzyjaciół komedyopisarza i tych, których on za wichrzycieli porządku społecznego podaje, wyprowadza p. Lettner z zestawienia téj treści (oraz formy metrycznéj) z owém podaniem o początku komedyi, bardzo ważny wniosek, że parabazę poczytywać należy „za najdawniejszy zabytek prastaréj komedyi attyckiéj“ (str. 61).

Doszedłszy do takiego wyniku, autor wykazuje, jak charakterystyczna forma parabazy wpłynęła na ukształtowanie się innych ustępów komedyi, a w szczególności agonu. Trzeba więc o téj formie cośkolwiek powiedziéć.

Zupełna parabaza składa się z siedmiu części, z których trzy (kommatyon, anapesty i pnigos) nazywają się pojedyńczemi, t. j. nie związanemi ze sobą ściśle pod względem formy, a cztery (oda, epirremat, antoda, antepirremat) zowią się podwójnemi, ponieważ odzie odpowiada antoda, a epirrematowi—antepirremat, i tworzą „syzygią epirrematyczną“ ściśle określoną zarówno co do ilości wierszy, jak i co do miary rytmicznéj w niéj użytéj. Kommatyon było śpiewane przez chór, anapesty deklamowane, a pnigos przez przodownika chóru wygłaszany; oda i antoda były znów śpiewane, a epirremat i antepirremat deklamowane przy towarzyszeniu fletu.

Otóż p. Lettner stara się udowodnić, że zarówno pod względem

treści, jak pod względem formy „agon“ ukształtował się pod wpływem parabazy. Agonem nazwał Zieliński najwydatniejszą i najważniejszą część komedyi, tę mianowicie, w któréj dwie główne osobistości, występujące przeciwko sobie w utworze, staczają walkę na słowa, rozstrzygającą zazwyczaj, na czyją stronę przechylić się ma zwycięstwo. „Jest-to—jak mówi p. Lettner—w głównéj swéj części dyalog aktorów, który kształtem i sposobem najbardziéj rozwiniętéj syzygii epirrematycznéj, czyli w obecności i za współudziałem półchórów komedyi, wyraża walkę na słowa dwu przeciwników, albo jednego głównego mówcy. Przedmiotem walki jest wyłuszczenie i obrona projektu, lub objawienie zamiaru wprowadzenia nowego porządku rzeczy, czy to w stosunkach całego społeczeństwa, czy tylko owéj klasy istot, które chór reprezentuje. To określenie uzupełnia dodatkowa uwaga, iż sam ów dyalog aktorów odbywa się bądź w tetrametrach i pnigach anapestycznych, bądź téż w jambicznych“ (str. 189). Stanowi on „punkt kulminacyjny utworu“, poczém następuje zawsze przewrót dotychczasowych stosunków „w duchu zapatrywań i planów zwycięscy, lub głównego mówcy agonu.“ Wprawdzie nieraz walka trwa jeszcze przez czas po agonie; zawsze jednak już w nim poznajemy, czyja sprawa będzie w końcu na wierzchu (str. 196).

Najczęściéj w komedyach Arystofanesa bywa jeden tylko agon, czasami — dwa (w „Rycerzach“ i w „Chmurach“). Poprzedza go zwykle „proagon“, jakby przygotowanie do walki; słychać w nim głównie krzyki, groźby, najróżniejsze przezwiska i szyderstwa. „Odnosi się wrażenie—mówi p. Lettner — jak gdyby agoniści pragnęli się tutaj tém zawzięciéj wykłócić, aby módz następnie ile możności przestrzegać miary we właściwéj swéj walnéj dyspucie“ (str. 114). Według domysłu Zielińskiego, zadaniem proagonu było zadowolnić gawiedź łaknącą krzyku i szczęku; sam zaś agon miał mieć na względzie publiczność doborową.

Części składowe i ich następstwo są w agonie, takież jak w parabazie. Po odzie następuje epirremat, po antodzie — antepirremat; to są ustępy najważniejsze; ale prócz nich znajdują się tu jeszcze pewne pomniejsze cząstki. Dwuwiersz przodownika chóru łączy odę z epirrematem, antodę zaś z antepirrematem. Ponieważ tymi dwuwierszami przodownik wzywa zazwyczaj agonistę lub wogóle agonistów do zabrania głosu, nazwał je Zieliński „katakeleusmos“ i „antikatakeleusmos.“ Nadto epirremat i antepirremat agonu przechodzi za każdym razem w osobny wiersz, zwany pnigos i antipnigos. W ciągu wygłaszania ód i antod agonowych, półchóry odbywały na swoich stanowiskach odpowiednie poruszenia, czyli tańce. Przy wypowiada-

niu zaś epirrematów i antepirrematów chór żadnych poruszeń nie uskuteczniał i w tém widzi p. Lettner najwybitniejszą różnicę pomiędzy parabazami a agonami, polemizując w tym względzie z Zielińskim. Zieliński utrzymuje, iż jak w parabazach tak i w agonach panuje największa symetrya w układzie epirrematów i antepirrematów; a ponieważ faktycznie w trzech tylko agonach można ją stwierdzić, stara się tezę swoją przeprowadzić przez przypuszczenie pauz, przez dowolne zmiany w budowie wierszów i t. p. P. Lettner zbija zasadnie te śmiałe, lecz należycie nieugruntowane poglądy. Nie zupełnie zgadza się także autor na twierdzenie Zielińskiego, jakoby porządek, w którym spółzawodnicy głos zabierali, był w agonach ustalonym i publiczności teatralnéj dokładnie znanym, a mianowicie, jakoby wogóle w epirremacie zabierał głos słabszy przeciwnik, w antepirremacie zaś — jego przyszły zwycięsca. P. Lettner dowodzi, że Arystofanes sam nie odrazu wpadł na myśl systematycznego zużytkowania części składowych agonu i dopiéro w dojrzalszych utworach ją urzeczywistnił. Antepirremat jest u niego głównym wyrazem idei, któréj zwycięstwo i jego następstwa postanowił przedstawić w komedyi; epirremat zaś służy przeważnie ku temu, aby swém przeciwieństwem uwydatnić i spotęgować znaczenie treści antepirrematu. Pnigi zaś stanowią zwykle rozśmieszające zakończenie względnie poważnego dyalogu epirrematów (str. 182).

Miejsce agonu w komedyach Arystofanesa przypada zazwyczaj pomiędzy pierwszym (wstępnym) działem chórowym, a główną parabazą. Tylko w „Żabach“ i „Chmurach“ znajduje się on po parabazie. Nigdzie agon i parabaza nie stykają się z sobą bezpośrednio, chociaż przedział między niemi bywa nieraz bardzo szczupły (w „Lizystracie“ 6 wierszy).

Według Zielińskiego główna parabaza stanowiła przed Arystofanesem samo zakończenie, czyli epilog komedyi. Ślady tego widoczne są jeszcze w niektórych parabazach mistrza. Wszystko, co po parabazie następuje, to jedynie konsekwencye stworzonéj lub przygotowanéj przez agon sytuacyi; tylko w „Rycerzach“ i „Chmurach“ ponawia się jeszcze utarczka agonistów na słowa. Ostatnia część komedyi, zdaniem p. Lettnera, wbrew twierdzeniu Zielińskiego, ma pod względem formy podobieństwo do tragedyi; układ jéj nie jest już epirrematyczny, ale epejsodyczny.

Nie dotykałem w tém sprawozdaniu kwestyi metrycznych, stanowiących bardzo ważną część rozprawy p. Lettnera; nie chciałem bowiem wdawać się w sprawy zbyt specyalne dla ogółu ukształconych czytelników. Winienem tylko nadmienić, że z nadzwyczajną syste-

matycznością są one traktowane, tak jak i wszystkie inne, świadcząc o zamiłowaniu autora w tego rodzaju badaniach, oraz o znacznéj erudycyi.

Pod względem języka przedstawia się rozprawa p. L. wcale nieźle; razi jedynie zbyt często powtarzane wyrażenie z reguły (*in der Regel*) w znaczeniu: „zazwyczaj“, „pospolicie“, a to témbardziéj, że praca ta, jako drukowana w akademii krakowskiéj, przechodziła przez ręce językoznawcy d-ra L. Malinowskiego, któremu autor dziękuje we wstępie za „uwagi i poprawki“, dotyczące językowéj strony swego dzieła. *P. Ch.*

Fr. Picavet, „Les Idéologues.“ Essai sur l'histoire des idées et des théories scientifiques, philosophiques, religieuses etc. en France depuis 1789. Paris. Alcan. 1891, str. 628 + XII.

Stanowisko historyi filozofii i literatury wobec ideologów było dotąd nie bardzo wdzięczne. Pomijani w krótkich kursach, zaszczycani kilku wierszami w obszerniejszych, stanowili oni jakby oazę, nie mającą żadnego związku z przebiegiem dziejowym myśli. Stosunek ich do innych szkół filozoficznych, związek i pokrewieństwo z poprzednikami i następcami zostawały nieokreślone. Przy czytaniu kursu literatury lub filozofii XVIII-go wieku zostawało takie wrażenie, że gdyby nie było ideologów, to nicby się nie zmieniło w historyi myśli. Reakcya początku XIX w. zdawała się wprost następować po rozkwicie filozofii encyklopedystów: między niemi była rewolucya — no, a taka burza wszystko zmiata.

Fr. Picavet, autor kilku dzieł treści historyczno-filozoficznéj, podjął się zadania naprawienia wyrządzonéj ideologom przez historyą krzywdy. Zadanie to nie było łatwe: opracowań źródłowych brakowało, a te, które pozostawiła literatura reakcyjna z epoki eklektyzmu, były stronne i pełne niechęci. Należało przeczytać setki tomów, szperać w bibliotekach i antykwarniach, wyszukiwać niewydane korespondencye i rękopisy. Przy pomocy licznych profesorów i uczonych francuskich i zagranicznych, udało się jednak autorowi zebrać obfity materyał, z opracowania którego powstał leżący przed nami gruby tom.

Ideologowie stanowią generacyą myślicieli, występujących podczas rewolucyi, a stopniowo przygotowujących reakcyą XIX-go stulecia. Jakkolwiek autor stara się zaznaczyć, że nie są oni wyłącznymi następcami Condillac'a, że na rozwój ideologii wpłynęła cała literatura filozoficzna XVIII w., która swoją drogą w znacznym stopniu

ulegała wpływowi Kartezyusza (nie samego więc Lock'a—ojca sensualizmu) przyznaje jednak, że przynajmniéj pod względem metody w filozofii byli ideologowie uczniami Condillac'a. Jest-to zresztą naturalny porządek rzeczy: po dogmatycznym materyalizmie encyklopedystów występuje sensualizm—doktryna, główny nacisk kładąca na zagadnienie: w jaki sposób powstaje poznanie?

Ideologia rozwija daléj teoryą poznania, z gruba przez sensualizm zaznaczoną. Sensualiści badali przeważnie poznanie zmysłowe, ideologowie kładą nacisk na rozwój idei, robiąc z téj doktryny kamień węgielny filozofii swojéj. Ideologowie nie byli jednak wyłącznie filozofami, ale myślicielami w szerokiém znaczeniu słowa.

Oddziaływali oni potężnie na życie i opinie swego czasu: przez zgromadzenia prawodawcze, które zawierały licznych przedstawicieli téj doktryny; przez szkoły, a szczególniéj szkołę normalną; przez akademią (*l'Institut*), wreszcie przez pisma; głównym organem ich literackim była „*Décade philosophique.*“

P. Picavet poświęca obszerny rozdział ocenie téj działalności; zwłaszcza stara się rehabilitować szkoły tak normalną, jak centralne (zakładane w każdym departamencie), które nie uszły potwarzy przeciwników rewolucyi, starając się odtworzyć plany wykładów i wpływ takowych na uczniów, przeważnie na podstawie zebranych przez siebie materyałów. Szerokość pomysłu i liberalne zasady pedagogiczne szkoły normalnéj wzbudzają istotnie podziwienie i dowodzą najlepiéj, że konwencya rozumiała dobrze, w jakim stopniu szkoły przyczynić się mogą do utrwalenia głoszonych przez nią zasad.

Autor rozróżnia trzy generacye ideologów. Do pierwszéj należą ci, którzy umarli przed końcem XVIII-go stulecia, lub w tym czasie dosięgli szczytu sławy. Należy tu przedewszystkiém Condorcet; daléj Sieyès, Roederer i Lakanal; Volney, Dupuis, Marechal, Naigeon, St. Lambert.

Dziedziczka Voltaire'a i d'Alambert'a w filozofii, Turgota w ekonomii politycznéj, ma ona za przedstawicieli w wiedzy ścisłéj Laplace'a, Buffona.

Na czele drugiéj generacyi stoją Cabanis, twórca fizyologii materyalistycznéj i Destutt de Tracy, który pierwszy wprowadził termin ideologii, termin używany późniéj pogardliwie przez Napoleona (narówni z „metafizyką“) dla oznaczenia doktryn, które się sprzeciwiały jego despotycznym planom.

Ideologowie téj generacyi (są to ideologowie *par excellence*) występują w czasie dyrektoryatu i konsulatu. „Cabanis jest uczniem Greków i Turgot'a; Franklina i Condorcet'a; Holbacha, Voltaire'a

i Rousseau'a; Bonneta, Condillac'a i Helvecyusza. Wzorem Hypokratesa wiąże on medycynę z filozofią i filozofią z medycyną; jak Condorcet rozwija doktrynę postępu; jako twórca psychologii fizyologicznéj, poprzedza Lamarcka i Darwina, lub toruje im drogę, również jak Schopenhauerowi, Hartmannowi, Comte'owi, Lewes'owi i Preyerowi... De Tracy uzupełnia ideologią fizyologiczną przez ideologią racyonalistyczną; czyni z niéj punkt wyjścia dla gramatyki i logiki, dla etyki i ekonomii społecznéj, prawodawstwa i polityki. Daje on klasyfikacyą hierarchiczną tych gałęzi wiedzy, które uważa za nauki matematyczne, fizyczne lub przyrodnicze. Koło tych dwóch głównych przewodników grupują się Daunou i Chenier, Andrieux i B. Constant, J. B. Say i inni. Bichata, Lamarcka; St.-Simona i Fourrier; A. Comte'a i J. S. Milla uważa Picavet za latorośle téj saméj szkoły.

Istotnie, ideologowie téj generacyi przypominają w zakresie filozofii współczesne odłamy następców pozytywizmu angielskiego. Ten ostatni jest tak samo przejściem od materyalizmu piątego lat dziesiątka bieżącego stulecia, jak ideologia od materyalizmu encyklopedystów ku doktrynie krytycznéj. Słusznie téż zaznacza Picavet, że nie ma idei współczesnéj naukowéj lub filozoficznéj, któréjby nie można było odnaleść u ideologów, przynajmniéj w zawiązku. Jedno tylko wyróżnia korzystnie ideologów przeszłego stulecia od dzisiejszych — szerokość ich poglądów w zakresie społecznym i politycznym, i wiara gorąca w postęp i doskonalenie się ludzkości, nie tak jak dziś pojmowane.

Na trzecią generacyą składają się przeważnie ludzie z epoki cesarstwa i restauracyi. Głównymi przedstawicielami są: Portalis, Sicard, Degerando, a szczególniéj Laromiguière. Generacya ta jest metafizyczną, spirytualistyczną i chrześciańską. Ograniczona coraz cieśniéj przez Laromiguière'a, ideologia łączy się w wykładach szkolnych z katolicyzmem i eklektyzmem. Taine, Renan, Littré, Ribot wiążą ją nareszcie z pozytywną wiedzą.

Takie ugrupowanie, taki związek i następstwo idei wyznacza Fr. Picavet.

Już z tego widać, że nie sięga on zbyt głęboko w wewnętrzne powinowactwo doktryn. Istotnie, całe dzieło jest przeważnie utrzymane w tonie narracyjnym. Charakterystyki są dobre i bezstronne; materyał źródłowy obfity; ale ta zbytnia bezstronność, a raczéj brak ściśle określonych zasad własnych, sprawiają to, że autor nie może ani poddać ocenie krytycznéj pojedyńczych myślicieli, ani wykryć głębszego między nimi związku. Ugrupowanie, jak widzieliśmy, jest chronologiczne, a za miarę pokrewieństwa dla autora służy nie we-

wnętrzna zgodność idei, ale zewnętrzne następstwo; wskazówka, że dany autor studyował innego lub zapożyczył kilku myśli od niego, wystarcza do zaznaczenia następstwa. Z tém wszystkiém dzieło p. Picavet'a, dające dobry i sumiennie nakreślony obraz tak mało znanéj epoki intelektualnéj, czyta się z zajęciem i z łatwością. *Wł. K.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Alma**, poemat w 2-ch częściach, pisany we Włoszech 1883 r. przez *Gabryelę Leszczyc-Radolińską* (Warsz., 1890, str. 36). Są to dzieje zawiedzionego serca. Bohatérka pokochała poetę Alda, ale ten był żonaty, widocznie z przyjaciółką Almy—Lili, musiała więc pożegnać ukochanego, udając się nad brzegi jeziora Como, by cudami natury ukoić duszę. Ukojenia nie znalazła, wszędzie i zawsze wracał do jéj egzaltowanéj (trochę na zimno, o ile z opowiadania wnioskować można) wyobraźni wieszcz w proroczo-męczeńskiéj szacie:

Wiecie, co być poetą? to umrzéć sto razy!
To widziéć srogich cierpień tysiączne obrazy,
To wciąż z grobu powstawać i grobu być blisko,
To żyć deptan nogami! — Na urągowisko
Ludzkie stać pod pręgierzem! Usychać pragnieniem
Nigdy nienasyconém! To błędnym być cieniem
Wśród cielesnéj ludzkości! To nieba być gońcem,
To w krainie cudownéj być pokutującém
Pielgrzymem, co w pustyni za kroplą źródlaną
Goni wiecznie — wabiony wciąż fata-morganą:
Lecz jak ten pielgrzym skona, nim stanie u mety,
Tak usycha i serce spragnione poety!...

Jak w tém określeniu życia poety, tak i w myślach Almy przebiegały błyskawice połamane w zygzaki i nie dawały jéj spokoju, nie pozwalały pięknością przyrody się poić lub zająć się czémkolwiek. Ostatecznie udręczona dusza poszukała ratunku w życiu klasztorném. Czuła wprawdzie, że poświęca się Bogu „nie z szczęściem, nie z chlubą“, ale z właściwą takim subtelnym umysłom kazuistyką, powiedziała sobie: „On widzi, że go kocham: jak kocham, nie spyta...“ i została zakonnicą, odtrąciwszy z bólem prośbę Alda, by ją mógł raz jeszcze widziéć przed złożeniem ślubów zakonnych. Wszystko to opowiada sama Alma w listach do Janiny, najprzód z nad brzegów Como, potém z klasztoru San-Clemente pisanych. Wprawa wersyfikatorska jest dość znaczna, lecz nie wyklucza bynajmniéj błędów rytmicznych i gramatycznych, a pod względem świeżości, a zwłaszcza konsekwen-

cyi porównań i przenośni, dykcya pozostawia, niestety, bardzo wiele do życzenia. Pogłębienia psychologicznego nie ma w tym utworze, który przedstawia się raczéj jako wierszowana relacya o wypadku w sferach zamożnych i arystokratycznych, aniżeli jako poemat, któryby mógł wstrząsnąć duszą czytelnika, a przynajmniéj silniéj ją zająć.

= *Henryk Odyniec*, **Święto umarłych**, wyjątek z niewydanéj całości p. t. „Warszawa w pieśni“ (Warsz., 1890, str. 13). O ile mi wiadomo, autor jest debiutantem na Parnasie, ale występuje z bardzo już wyrobioną formą, którą włada swobodnie, używając jéj umiejętnie do wyrażenia tego, co wypowiedziéć zamierzył. Niewiele nowego, co prawda, ma do oznajmienia czytelnikowi obeznanemu z nowoczesną poezyą; ani wyobraźnia jego, ani uczucie, ani myśl, o ile się w tym drobnym urywku uwydatnić mogły, nie wznoszą się nad poziom skali ukształconego ogółu; lecz bądźcobądź odznaczają się jasnością, szczerością, prawdą, język poetycki celuje poprawnością, wiersze potoczystością, a budowa zwrotki sześciowierszowéj — swobodą i lekkością. Rozpoczyna ten urywek zarys krajobrazu jesiennego; nic tu nie ma świeżego, oryginalnego; punkt widzenia zwykły, tysiąckrotnie wyzyskiwany; niektóre wszelako zwrotki można przeczytać z przyjemnością:

Powietrze ciężkie ołowiem się kładzie
Na zwilgotniałe dachy i na mury;
Z za sinych lasów w olbrzymiéj gromadzie
Kłębiąc się, płynie całun chmur ponury—
I tylko patrzéć, jak błękit uroczy
Czarną, dżdżu pełną, oponą się zmroczy...

Smutno, bo jesień obumarłéj ziemi
Wszystkie ozdoby zagarnęła prawie,
Zdarła szmaragdy rękami chciwemi,
Zabrała barwy kwiatom, świeżość trawie—
I na świecące nagością swą łany
Rzuciła tylko siwéj mgły tumany...

Nie jest ten obraz zastosowany do miejsca, w którém dalszy ciąg utworu się rozwija; prawda jego dałaby się uczuć prędzéj na wsi, niż w Warszawie; autor nie zadał sobie trudu wystudyowania zjawisk natury tam, gdzie przedmiot go miał zaprowadzić. Chodziło mu tylko o tło ponure, na którém mógłby nakreślić zarys tłumu i grup pojedyńczych, dążących w dzień Zaduszny na Powązki. Ale i tu również nie dba o odtworzenie fizyognomii i sytuacyi, ale raczéj o nastrój

duszy, czy tego, co do grobu matki pośpiesza, czy tego, co towarzyszkę życia swego tu odwiedza, czy téj, co nie doczekała dnia ślubu z ukochanym. Albo też chce autor rzucić parę myśli o wspólnym dole, w którym czy możny niegdyś pan, czy nędzarz jednako spoczęli, — lub o mogiłach tych „wykolejonych szaleńców, którzy wyroki lekceważąc boże, na siebie wyrok zgotowali srogi, własnemi dłońmi od Boga dane przecinając życie.“ Żywszéj, ognistéj strofy nie znajdziemy w poemaciku p. Odyńca; wszystkie są mniéj więcéj jednostajnie ciepłe; wszystkie gładkie i poprawne—prócz zwykłych już u nas omyłek drukarskich.

= **Nie pierwszy**, fragment sceniczny w 1-ym akcie przez *Józefa Łozińskiego* (Warsz., 1891, str. 32, w 8-ce w.). Sytuacya, którą autor wziął za przedmiot swego fragmentu może być motywem zarówno komicznego, jak tragicznego sposobu traktowania; droga pośrednia jest tu, co najmniéj, mało efektowną. P. Łoziński chciał skarcić niewątpliwie lekkomyślne igranie mężczyzn z uczuciem kobiét, ale zarazem nie rad był nadawać swemu karceniu ostrego tonu i stworzył — rzecz mdłą. Teodor 24-letni znudził się w ciągu lat trzech 32-letnią Jadwigą, którą od męża uwiózł i skazał na położenie nienormalne. Starszy od niego umizgus, artysta, jak się zdaje, drwi z jego skrupułów i radzi mu wprost napisać list, że myśli się żenić i że czas się rozstać. Jadwiga, dowiedziawszy się przypadkiem o zamiarach Teodora, zwraca mu wolność, grożąc, pewnie w intencyi podziałania na niezdecydowanego młodzieńca, iż w przyszłości może ją ujrzéć w gronie kobiét upadłych. Teodor przeląkł się téj perspektywy, uczciwość odezwała się w nim na chwilę, ale ją stłumił zaraz szczwany przyjaciel, mówiąc mu, że nie będzie on pierwszym, ani ostatnim, co tak sobie postąpi. Rozmowy przeważnie są żywe wprawdzie, ale bardzo pospolite, dowcipu w nich mało, tak samo jak cech charakterystycznych. Charaktery główne są niewyraźne, podobno lepsza Jadwiga, niż Teodor; Stanisław jako szyderca i cynik nieźle utrzymany. Język i styl poprawne, ale ortografia w kilku miejscach zbyt rażąca.

= *A. Lange*, **Pogrzéb Shelley'a** (Warsz., T. Paprocki, 1890, str. 34). Przeniknięcie się nastrojem i sposobami tworzenia poety, który, długo zapomniany, nabył w ostatnich czasach tak olbrzymiego rozgłosu, powołało do życia poemat p. Langego i stanowi zarazem jego cechę znamienną. Że autor umié władać wierszem, że choć nie po mistrzowsku, to bądźcobądź dzielnie opanowuje formy, mieli czytelnicy „Ateneum“ sposobność przekonania się z paru przekładów je-

go pióra w niém zamieszczonych. W „Pogrzebie Shelley'a“ nie idzie bynajmniéj o prawidłowy według dawniejszych pojęć estetycznych opis téj wspaniałéj, a jak na r. 1822 wielce oryginalnéj uroczystości spalenia zwłok młodego wieszcza, lecz raczéj o odtworzenie—w duchu samego Shelley'a — uczuć i wrażeń, których podczas tego obrzędu doznawali przyjaciele (Byron, Marya Godwin), a zwłaszcza—natura... Uduchowienie przyrody, która uczestniczy w złożeniu hołdu swemu wielbicielowi i kochankowi, jest najważniejszym czynnikiem artystycznym w tym utworze, czynnikiem uprawnionym przez właściwości twórcze Shelley'a:

Bo on był arfą natury... wcieleniem
Nieśmiertelnego bóstwa greckich ludów:
A jego dusza płonęła natchnieniem.
Czerpaném z pieśni wszechstworzenia cudów...

Pierwszą przemowę nad płomiennym ma Słońce; jęgo słowa są najpiękniejsze w całym poemacie; potém odzywają się z kolei postaci z poematów Shelley'a: Obłok, Wiatr zachodni, Alastor, Prometeusz; w końcu wyliczone są już tylko inne dusze, „co tęsknią, kochają i płaczą: Jante, Beatryks, Cytna...“ Zapewne autor nie wié, że już w XVII wieku u nas podobny kondukt pogrzebowy urządził Jędrzej Morsztyn swemu dziadowi po matce, Otwinowskiemu; przedstawiając te osoby i rzeczy, które w tłómaczonych przez Otwinowskiego „Przemianach“ Owidyusza były opisane. Oczywiście, wykonany w duchu klasycznym utwór jest inny, aniżeli poemat Langego, lecz zasadniczy pomysł jest ten sam, a i efekty także poetyckie niezbyt od siebie odbiegają. Zapewne jeden i drugi poeta chciał wyrazić żal serdeczny, ale jeden i drugi roztopił go w erudycyi, tamten w klasycznéj, ten w romantycznéj,—i uczynili obaj poematy swe chłodnemi, niezdolnemi głębiéj poruszyć serca czytelnika, który podziwiać tylko może błyskotliwość fantazyi autorów. Co do p. Langego, nie można mu jego „Pogrzebu Shelley'a“ liczyć za ostatni wyraz uzdolnienia poetyckiego; napisał go bowiem przed czterema z górą laty podczas pobytu w Paryżu;—odtąd talent jego wciąż się doskonalił.

= *Gabryela Zapolska.* **Fantazye i drobnostki** (Warsz., T. Paprocki, 1891, str. 443). Od początku zawodu literackiego p. Zapolskiéj można było dostrzedz dwa różne sposoby roboty artystycznéj: melodramatyczny i naturalistyczny. Czasami jeden przemagał nad drugim, czasami ukazywały się one oddzielnie. W drobnych obrazkach, szkicach, nowelkach, fantazyach, częściéj widniał nastrój patetyczny i taki punkt patrzenia na ludzi i rzeczy, jaki był modny wśród

najbujniejszego w beletrystyce rozkwitu romantyzmu; w większych powieściach panował naturalizm w szczegółach i w przedstawieniu ludzkich stosunków, a dowolność w scenowaniu i układzie. W najnowszym zbiorze, którego nadpis powyżéj przytoczyłem, na 17 kawałków (trudno-bo dobrać stosowniejszego określenia) jeden tylko właściwie, mianowicie „W gabinecie restauracyjnym“, kreślony jest zamaszyście z uwydatnieniem brudu materyalnego i duchowego, z naciskiem na złe, nikczemne strony serca ludzkiego, inne zaś mniéj więcéj przedstawiają życie lub duszę ludzką wielostronniéj, z pewną, chociaż niestety, zazwyczaj sztuczną podniosłością moralną. Nie widzimy w poglądach autorki jakiéjś z góry powziętéj dążności, jakiegoś wyłącznie optymistycznego lub pesymistycznego poglądu na ludzi; lecz osobistości przedstawiają się różnorodnie, stosownie do téj niewyczerpanéj skarbnicy kombinacyi, jaką tworzą namiętności i umysły rodzaju zwanego człowiekiem. Mamy więc tu historyą brzydkiéj i ubogiéj hrabianki, włóczonéj przez mamę po balach, rautach, koncertach, ślizgawkach, i czującéj upokorzenie własne, zdobywającéj się wreszcie pod wpływem zachęty jakiegoś idealnego szlachcica galicyjskiego na krok samodzielny, na otwarcie magazynu strojów damskich („Znak zapytania“). Mamy obrazek jakiegoś ekscentrycznego hrabiego, który po wydaniu wszystkich pieniędzy prócz tych, jakie na pogrzéb przeznaczył, zażywa truciznę, bo nic go z ziemią i ludźmi nie wiąże („W sam czas“). Przypatrujemy się kilku godzinom bytu innego hrabiego, również z życiem pokłóconego, ale inaczéj niż poprzedni, samoluba, sądzącego, że wszystko można za pieniądze dostać, który w przywiązaniu biédnego prowansala do brzydkiéj małpeczki widzi dotykalny dowód nieprawdy swego mniemania („Sam jeden“). To znów staje przed nami, jak żywy, wizerunek paryskiéj „Portyerki“, interesowanéj, złośliwéj, egoistycznéj, ale głęboko czującéj swoję plebejuszowską godność i dla niéj zdolnéj nawet do zaryzykowania 18-tu franków, ażeby biednéj wyrobnicy nie wyrzucać z zajmowanego przez nią mieszkania. Albo téż daje nam widziéć autorka ten świat prowincyonalnych aktorów, który sama dobrze poznała, i wśród obrazków nędzy moralnéj i materyalnéj, wśród pospolitości i brudów, ukazuje nam rozmaitego rodzaju i stopnia poświęcenia („Cnota“, „I tacy bywają“). Drwi téż sobie niekiedy z sentymentalnych wyobrażeń panienek o mężczyznach, wskazując zarazem, jak te panienki łatwo przystosowują się do prozaicznych stosunków, jak wybaczają swoim narzeczonym łzy robione z wody, w któréj się moczyły konopie („Męska łza“). Najmniéj smaczne, a może lepiéj powiedziéć, najbardziéj zwietrzałe są w tym zbiorku tąk zwane „fantazye“, t. j. rozmyślania

nad sercem, miłością, poświęceniem, uśmiechem, płaczem, szczęściem i t. d. Bawi się tu p. Z. w natchnioną wieszczkę minionéj doby, wygłasza donośnie rozmaite pysznie brzmiące zdania o nieprzebranych klejnotach duszy niewieściéj, a samolubstwie i trywialności mężczyzn, o przeciwieństwie marzeń i rzeczywistości, o smutkach, bólach, cierpieniach, zawodach. Naturalnie, znajdzie się tu nieraz pięknie wyrażona myśl, ale tonie wśród mnóstwa napuszonych ogólników. Te deklamacye wydają się szczególniéj dziwnemi, gdy się obok nich spotyka sceny pospolitego cynizmu. Np. „Siedziały na stole pomiędzy próżnemi butelkami i ogryzkami owoców, paląc papiérosy i od czasu do czasu kopiąc nogą którego z mężczyzn. Kłęby dymu owiewały ich głowy, piersi, wpadały im do gardła... One nie przestawały krzyczéć ochrypłemi głosami, głosami starych pijaczek, które się słyszy wieczorami w niedziele... Były one uosobieniem rozpusty gminnéj, trywialnéj, która w kieliszku fałszywego szampana szczyt szczęścia widzi.“ Porównajmy z tym obrazkiem tyradę o szczęściu: „Dokoła ciebie rozpacz, smutek, zwątpienie... jednym ruchem twego białego płaszcza wszystkie te żałobne kruki ulecą w bezdenne otchłanie, jeden uśmiéch rozjaśni horyzonty, uśpione duchy z grobów egoizmu obudzi i samobójcy z ręki broń morderczą wytrąci! Jeden ton twéj piosenki konającym żyć nakaże, w bratni uścisk zwaśnionych połączy, piętno geniuszu na czole wybranych wyciśnie!... Spojrzenie twe łaskawe—to poczęcie wielkich czynów, odrodzenie z grzechów, zmartwychpowstanie z letargu!...“ (str. 120). Gdyby autorka lubiła się zastanawiać, toby łatwo spostrzegła, że są bardzo a bardzo rozmaite pojęcia o szczęściu, że tę rozmaitość sama w swoich nowelkach i obrazkach umiała uwydatnić, że zatém „szczęście“ może równie dobrze wznieść w sfery nadziemskie, jak strącić w błoto najobrzydliwsze; że jednėm słowem cała pompatyczna deklamacya o szczęściu jest tylko ćwiczeniem stylistycznėm na zadany temat zrobionėm przez kogoś, komu nie tyle idzie o myśl i treść, ile o popis...

— **Komedye i monologi oryginalne i tłómaczone.** Serya I. (Warszawa, nakład redakcyi „Echa Muzycznego, Teatralnego i Artystycznego“, 1891, str. 426, w 8-ce wielkiéj). Znajdujemy w tym zbiorku 18 komedyjek jednoaktowych, oraz 10 monologów i dyalogów scenicznych. Z wyjątkiem „Wieszczby róży“, mającéj znaczenie raczéj obrazka poetycznego, posiadającego dość naiwnego wdzięku, z wyjątkiem „Monologu narzeczonéj“ (p. W. Rapackiego-syna), „Aktora“ (Wacława Szymanowskiego), „Podczas balu“ E. Paillerona, w których już to szczere uczucie w kapryśnéj formie, już to marzenia

takie lub inne są wyśpiewane, wszystkie inne sztuki tu pomieszczone mają na celu rozbudzenie wesołości, wywołanie śmiechu w bardzo różnym smaku i stopniu natężenia, stosownie do narodowości autorów, ich usposobienia i rodzaju talentu. Z naszych pisarzów reprezentowani tu są: pp. Bałucki, Fredro-syn, Gomulicki, Kościelski, Mellerowa, Przybylski, Rapacki, Reinstein i Szymanowski Wacław. Bałucki, jak zwykle, w krotochwilach swoich pobudza do szerokiego śmiechu za pomocą środków niewykwintnych, wyzyskując chętkę lampartowania się mężczyzn żonatych, lub mających się żenić („O Józię", „Kuzynek"). Fredrze w „Hypnotyzmie" nie dopisała werwa, a skorzystanie z manii magnetycznego usypiania ludzi nie przyniosło scen prawdziwie komicznych, lecz tylko dość rozwlekłą gadaninę i niezbyt zabawne nieporozumienia. Gomulicki w „Skrytce" przeprowadził bardzo ładny dyalog dwojga szczęśliwszych małżonków, których niebo chmurką powlec chciała dewotka, mszcząc się za wzgardę swych wdzięków. Kościelski w „Dzienniczku Justysi" pragnął okazać, że i w młodszém pokoleniu nie zatarły się cechy „świętego dzieciństwa" miłości; zrobił to zręcznie pomimo trochę karykaturalnego wykonania postaci Justysi, w któréj umyśle, łatwo zapominającym, przepisy kuchenne plączą się z marzeniami poetyckiemi. W sztukach p. Mellerowéj („Fałszywe blaski", „Przemędrkował", „Postanowienia") więcéj jest zwrócona uwaga autorki na pewne tezy psychologiczne (omamienie kobiéty błyskotliwością pozorów umysłowych, przerafinowanie w refleksyi nad uczuciem, błahość rozumowych wywodów i opartych na nich aktów woli wobec przemożnego wzruszenia), niż na komizm sytuacyi; czasami jakaś figura wybrana jest na to, ażeby śmieszyć, dużo jest satyry, na któréj traci naturalność rozmów; właściwość ta widnieje zwłaszcza w „Fałszywych blaskach" w wielu frazesach Leonory. — Co do dyalogów i monologów, to prócz wyróżnionych na samym początku téj wzmianki, mamy tu dwa maleńkie utwory p. Franciszka Reinsteina i jeden p. Zygmunta Przybylskiego. „Muzykalny" ma kilka miejsc dowcipnych, lecz pomysł osobistego zaznajomienia się z ukochaną na widowiskach i przechadzkach przez przyjęcie na siebie roli nauczyciela muzyki trąci już wielką starzyzną. Za to „Przed monologiem" doskonale maluje usposobienie człowieka, którego narzeczona chce za jakąbądź cenę pchnąć na t. zw. arenę działalności publicznéj, ażeby nazwisko jego w gazetach było pomieszczone; biédna ofiara pożądania głośności, pragnąłby narzeczony być wysykanym, ażeby raz nazawsze uwolnić się od potrzeby i możności występowania na estradzie. „Pies" p. Przybylskiego należy do kategoryi komizmu grubego; oświadczenie się bogatéj wdowie przy równoczes-

ném rzuceniu zwoju wędlin nieodstępnemu jéj stróżowi... O utworach cudzoziemskich autorów, których w tym zbiorze jest większość, nie będę się rozpisywał; charakterystyka takich pisarzów, jak Aleksander Dumas-syn („Zaproszenie do walca“), Edward Pailleron („Podczas balu“), Henryk Meilhac („Księżna“), Edmund Gondinet („Mgła“), A. Dreyfuss („Histeryczka“) lepiéj u nas podobno jest znana, aniżeli własnych pisarzów, gdyż przedstawienia dramatyczne, w których nazwiska owe często występowały i występują, dały sposobność prasie do szczegółowego zastanawiania się nad zaletami i wadami teatru francuskiego. Lekkość i lekkomyślność w głoszeniu dowcipów, drastyczność sytuacyi, zręcznie skombinowana intryga, a wyjątkowe serdeczniejsze uczucia (u Paillerona) stanowią pospolicie główne cechy utworów, któremi nietylko u nas, ale w całéj Europie posiłkują się teatry. Nic téż dziwnego, że zbiór niniejszy mieści najwięcéj rzeczy francuskich, bo zarówno w pomysłach jak w rozmowie, zarówno w komedyjkach, jak w monologach najwięcéj posiadają skrzącego się dowcipu, zręczności w rozmowie i gorączkowego ruchu w akcyi; lubo pospolicie płytkość pod względem wewnętrznym jest ich znamieniem. Z niemieckich pisarzów znajdujemy w tym zbiorze jednę tylko krotochwilę dość ciężką w wykonaniu, lubo dobrą w pomyśle: „Model na bohatérkę“ Henryka Holpeina, gdzie autor dramatyczny, nie mogący sobie poradzić z tragicznemi sytuacyami, stara się za poradą przyjaciela, wystudyować na własnéj żonie wrażenia tragiczne, co mu się nie udaje. Włoską literaturę reprezentuje tu fraszka sceniczna „Na balkonie“, któréj autorem jest A. G. Cagna. Więcéj tu uczucia, aniżeli we francuskich utworach, z których swobodny dyalog został przejęty. — Czy zbiór ten jest „wyborem“? Chyba nie. Znaczna część pomieszczonych tu sztuk była grana na scenie naszéj; to stanowiło dla nich rekomendacyą na teatry amatorskie. Praktyczny ten cel głównie wydawca miał na widoku. W tłómaczeniach pożądaną byłaby większa poprawność, mianowicie unikanie przysłówka w i ę c é j zamiast już, we frazesach przeczących. Ponieważ zbiór oznaczony jest cyfrą I, spodziéwamy się ujrzéć dalszy jego ciąg, w którym dezyderata wyboru i poprawności będą spełnione.

= **Kobiéta w pieśni ludowéj,** napisała *Kazimira Skrzyńska* (Warsz. 1891, str. 100). Książeczka ta stanowi 8-my tomik „Biblioteki Wisły,“ wydawanéj przez p. Jana Karłowicza i jest próbą określenia stanowiska, uczuć i ideału kobiéty na podstawie „pieśni gmin-

nych," prawie wyłącznie z kilku powiatów gub. lubelskiéj branych, a dotychczas jeszcze w tym kształcie nieogłoszonych. Autorka jak się zdaje, nie myślała dawać jednostronnego, z góry obmyślonego obrazka w dodatnim czy ujemnym kierunku, starała się owszem, o ile jéj materyał pozwalał, oświetlić przedmiot obrany ze wszystkich stron, jakie jéj były dostępne, i posługiwała się bardzo obficie przytoczeniami samych pieśni, grupując je tylko tak, ażeby w pierwszym dziale zebrać rysy znamionujące usposobienie, nastrój i losy kobiéty, w drugim — jéj uczucia religijne, rodzinne, towarzyskie, w trzecim— ideał kobiéty wyrażony w baladach. W początku natomiast i w zakończeniu, jakby chcąc temat swój zalecić czytelnikom, p. Skrzyńska popada w naiwnie entuzyastyczną przesadę romantyzmu, szukającego w twórczości ludowéj jakiegoś odświeżającego czy odradzającego pierwiastku, któryby jady zepsutéj cywilizacyi mógł uśmierzyć. „Serce tego ludu — mówi autorka — kształcone na łonie przyrody, tak jak ona proste i szczere, bo tak jak ona w o l n e od w s z e l k i c h z b o c z e ń i p r z y m i e s z e k, maluje się w pieśni całkowicie" (str. 6). Pomijając niewłaściwość zestawiania przyrody z sercem ludu, bo tę niewłaściwość popełniano stale od czasu przejęcia się ważnością pieśni ludowéj w literaturze, łatwo okazać z samych przytoczeń p. S., że owo serce ludu, choć w formie najprostszéj, nieokrzesanéj, te same przecież objawia uczucia co i w warstwach ucywilizowanych, i bynajmniéj nie jest wolne od licznych „zboczeń" i „przymieszek," które są od skupienia towarzyskiego nieodłączne. Znajdziemy więc w niém obok zamiłowania kwiatów i potrzeby kochania, tak samo jak i gdzieindziéj pragnienie zabawy, tańców, strojów, ba, nawet ów flirt, który podobało się nam uważać za objaw wyrafinowanéj cywilizacyi nowoczesnéj. „Dziewczę — powiada p. S. — nie bierze na seryo wyznań w tańcu rzuconych, bo umié z całą subtelnością odróżniać p r z e l o t n e, c h w i l o w e u p o d o b a n i a od uczucia prawdziwego. L u b i o n a t y l k o p a t r z e ć n a ł a d n y c h c h ł o p c ó w i b a w i ć s i ę z n i m i w m i ł o ś ć, powodowana żywością charakteru" (str. 17). Kokieterya, próżność, zmysłowość, wietrzność nie są bynajmniéj obcemi sercu i usposobieniu dziewczyny wiejskiéj, a cała różnica od podobnych objawów w innych warstwach polega na tém, że się do tych uczuć dziewczyna wyraźnie w pieśni przyznaje, co ma analogię do wyznań, jakie poeci, powieściopisarze i komedyopisarze w imieniu swoich osobistości składają. W zawieraniu małżeństw i pożyciu małżeńskiém znowu się wspólne rysy, tylko zgrubiałe, odnajdują. Miłość wyróżnia się w pieśni ludowéj od małżeństwa a nawet mu się przeciwstawi: nieraz dziewczyna wychodzi za starego w nadziei próżnowania i stroju, nieraz też

idzie za „obcego“ dla poprawienia losu, co się jéj nie powodzi; oszukiwanie starego męża zdarza się również: „Idź, stary, do wołów, Bo cię woły znają, A młody do karczmy, Bo tam ładnie grają....“ „Do mnie chłopcy, do mnie, Choć ja kobiecina, Tak ja wam dam buzi, Jakby i dziewczyna“ (str. 57). A choć przyzwyczajenie do pracy, z natury położenia, jest w kobiecie wiejskiéj nie małe, to przecież unikanie roboty pod pozorem choroby nie jest wyjątkowym objawem: „Oj, żebyście wiedzieli, Jak ja rada niedzieli; Cały tydzień choruję, A w niedzielę tańcuję; Cały tydzień na kolki, A w niedzielę do polki,“ (str. 63). Uśmiecha się jéj wywyższenie, pragnęłaby bałamucić nie tylko dworzan, ale samego ordynata; a jeżeli niezbyt pochlebnie odzywa się pieśń ludowa o dworakach, to głównie dlatego, że różni chłopa od dworusa tryb życia, przywyknienia. Zdarza się i śmierć z miłości („Niechaj wszyscy ludzie znają, Że z kochania umierają“ str. 55), ale częściéj z poczucia hańby i odepchnięcia przez rodzinę i towarzystwo wiejskie, chociaż i w takim wypadku niektóre cynicznie stawiają czoło opinii („Oj, jak sobie pojedziewa Da o mileczkę, o dwie, Oj, to sobie znajdziewa, Da kochaneczków obie“ str. 91). To też po przytoczeniu powyższych urywków i mnóstwa innych, słusznie powiada p. S., że w kobiécie ludowéj widzimy istotę „z charakterem, przymiotami, wadami i uczuciami pokrewnémi wszystkim kobiétom kuli ziemskiéj, wszystkich stref i krajów.“ Ale, jakby dla utrzymania tezy na początku książki wypowiedzianéj, autorka sądzi, że z kobiéty wiejskiéj nie wyradza się „Lalka“ Prusa. I owszem, jeżeli idzie o rozmarzenie w pierwszym rozkwicie młodości, nawet o brak praktycznego przygotowania do życia, a potém o wyrachowanie w zawieraniu związków małżeńskich i zalotność, to p. S. przywiodła w swéj pracy dość rysów do scharakteryzowania „Lalki“ chłopskiéj. Ballady, których treść tylko podaje autorka są zapewne wszystkie pochodzenia szlacheckiego; jest w nich wciąż mowa o wyprawianiu się na wojenkę, o ścinaniu mieczem głów żon niewiernych i tym podobnych szczegółach, które ze zwykłém życiem chłopskiém są w bardzo dalekim stosunku. Na czém opiera nadzieję p. S., że gdy pieśń ludowa przeniknie do warstw inteligentnych, to „ożywcze jéj prądy odświeżą spalone gorączką usta męczenników świata źle stosowanéj cywilizacyi“ (str. 100), trudno zrozumiéć po krytycznem przyjrzeniu się temu ożywczemu kordyałowi, jaki nam w swéj pracy przedstawiła. Pieśni ludu studyujemy dla poznania nie tylko ludu, ale wogóle cywilizacyi narodu, ale przy największém dla nich spółczuciu, nie podobna ich uważać za coś naprawdę wyższego albo nawet zdrowszego tylko od pieśni wielkich mistrzów.

· = *W. Lutosławski.* **O logice Platona.** Część pierwsza: O tradycyi tekstu Platona (Kraków, nakł. Akad. Umiejęt. 1891 str. 69 wielk. 8-ka). Autor tak swobodnie, tak jasno, tak przystępnie a nawet tak zajmująco umié przedstawiać bardzo zawiłe, subtelne i drobiazgowe kwestye filologiczne i filozoficzne, że istotnie może się uważać za najlepszego dzisiaj popularyzatora „nauki nauk,“ chociaż jest zupełnie samodzielnym w niéj pracownikiem i budzi wielkie nadzieje co do jéj rozwoju i pogłębienia. Jako owoc specyalnych badań swoich nad dziejami filozofii greckiéj, przedstawia nam rozlegle obmyślaną pracę o logice Platona. Dotychczas mamy zaledwie drobną jéj cząstkę, składającą się z wstępu do całego dzieła, oraz z I-go rozdziału: „o tradycyi tekstu Platona.“ Wszystkim uczonym jakiegokolwiek fachu, polecamy do odczytania wstępu i do przeniknięcia się myślami w nim zawartémi, a wielu z nich przy dobréj woli i rzetelnéj miłości dla nauki mogą stąd odnieść niemałe korzyści. P. Lutosławski uświadamia dążenie najnowszego w świecie naukowym kierunku, który zaczyna głośno i dobitnie wyrażać niezadowolenie z bezmyślnego gromadzenia i obrabiania poszczególnych faktów, żądając, by z nagromadzonych robiono głębsze uogólnienie, mające istotną wartość umiejętną. „Same fakta — powiada on — jako fakta dla uczonego są obojętne: on tylko szuka w nich potwierdzenia i sprawdzenia swych teoryj. Elementarnym błędem logicznym jest mniemanie, że byle tylko fakta były, wnioski same się znajdą. Z takich faktów, które nie są obserwowane z myślą o wytłómaczeniu ich teoretycznem, najczęściéj nic a nic nie wynika, gdyż każdy fakt dopiéro wtedy może służyć jako materyał naukowy, gdy sam obserwator stara się go pojąć i wyjaśnić. Wyjątkowo czasem można budować teorye na cudzych obserwacyach, ale takie teorye często będą musiały być błędne, gdyż najdokładniejszy opis całego bogactwa rzeczywistości wyczerpać nie jest w stanie i każde sprawozdanie o faktach jest z konieczności jednostronném i subiektywném. Dopiéro wtedy nasze spostrzeżenia nabierają powszechnego znaczenia, gdy nadamy im formę ogólnych sądów, w których wyrażamy związek całego szeregu faktów. Na tych pierwszych uogólnieniach także nauka nie poprzestaje, tylko sięga coraz to daléj, dążąc do wykazania związku i wzajemnéj zależności wśród coraz to większych szeregów faktów. Celem nigdy nie osiągniętym tego dążenia jest pojęcie całéj rzeczywistości, zawierającéj w sobie wszystkie fakta, jakie kiedykolwiek były lub będą obserwowane“ (str. 7). To też autor podejmując zadanie zbadania logiki Platona, którego zasługi w téj dziedzinie nie były dostatecznie i należycie docenione, gdyż Arystoteles „niewdzięczny uczeń“ stanął mu

w drodze, nie myśli bynajmniéj poprzestać na samém zobrazowaniu całości jego logicznych pomysłów i poglądów, ale obiecuje wykazać ich związek z całym późniejszym rozwojem logiki: „Gdy pojmę dobrze logikę Platona i stosunek jéj do współczesnéj logiki, wtedy pozyskam całe to psychologiczne doświadczenie, jakie miałby sam Platon, gdyby żył aż do czasu obecnego i był świadkiem przemian, rozwoju a po części i upadku własnych teoryi“ (str. 9). Ażeby taki wynik osiągnąć, potrzeba dokonać badań przedwstępnych, potrzeba zapuścić się w obszerną knieję dociekań filologicznych, bo trzeba się upewnić co i w jakim czasie napisał Platon naprawdę, a co mu niewłaściwie przyznano. Są ludzie, lekceważący tego rodzaju robotę, którą p. L. do kamieniarskiéj w przeciwstawieniu do budowniczéj nazywa, ale są inni, co ją przeceniają. Obu tym kategoryom poglądów naznacza autor właściwe granice i uprawnienie. „I zwykli kamieniarze i kowale — mówi on — także lekceważą sobie nieraz architektów i inżynierów, żartują z ich delikatnych i wygładzonych rąk, z ich cienkiéj i czystéj bielizny, ale przynajmniéj pojmują i przyznają, że jeśli bez kamieniarzy i kowali nie mogliby istniéć architekci i inżynierzy, to za to bez tych ostatnich małoby mieli do roboty pierwsi. Kamieniarze nauki często takiéj wyrozumiałości dla jéj architektów nie mają, ostro występują przeciwko wszelkim próbom, aby z niezupełnego jeszcze materyału budować nowe gmachy, najlżejszy błąd poczytują za potwierdzenie swych uprzedzeń do *konstrukcyi* — i z historyi filozofii chcieliby wszelką *konstrukcyę* to jest zrozumienie wewnętrznego związku i zależności psychologicznych faktów, zupełnie usunąć. Z prac takich kamieniarzy korzystajmy, uczmy się od nich zamiłowania do dokładnéj znajomości faktów, ale odważmy się daléj sięgnąć i miejmy politowanie i wyrozumiałość dla ich złośliwéj krytyki, gdy oni odgrzebawszy jakiś fakt nieznany, dowiodą nam, że z dostarczonego przez nich materyału niezawsze nieomylne umieliśmy wyciągnąć wnioski“ (str. 13). Na chwilę p. Lutosławski sam staje się kamieniarzem-filologiem i w pierwszym rozdziale swéj pracy z całą gruntownością i subtelnością specyalisty, ale zarazem z całą swobodą myśliciela, ogarniającego rozległe widnokręgi, zapuszcza się w las wiadomości i wiadomostek o rękopismach wydanych i tłómaczeniach dzieł Platona, ażeby zdobyć sobie materyalną podstawę do późniejszych wywodów krytycznych o autentyczności i chronologiczném następstwie pism wielkiego filozofa. Chodzi mu głównie o wykazanie mylności dotychczasowych twierdzeń, przyjętych powszechnie nawet przez najsamodzielniejszych krytycznych wydawców spuścizny po Platonie, twierdzeń, dotyczących przypuszczalnego wieku téj redakcyi dyalogów, jaka się w odpi-

sach do nas doszłych przechowała. Utrzymywano mianowicie, że redakcya ta była dziełem niejakiego astrologa Trazylla, żyjącego w I-szym wieku po Chr. Otóż autor uzbrojony w cały rynsztunek filologiczny, którym dzielnie włada, udawadnia, że nie mamy najmniejszego prawa do utożsamiania Trazylla-Platonisty z Trazyllem-astrologiem z czasów Tyberyusza. Ponieważ zaś podział dyalogów platońskich na czwórki (tetralogie), jaki nam redakcya owego Trazylla podała, znany jest ze świadectw pisarza z I-go wieku przed Chr., możemy więc o stulecia całe cofnąć faktycznie dowiedzione istnienie tego układu dyalogów, jaki posiadamy. Z innego zaś szeregu rozumowań, których tu przytaczać niepodobna, wyciąga autor wiarogodny wniosek, że jeden z dwu najstarszych rękopismów, dziś istniejących, może pochodzić od egzemplarzy przechowywanych w Akademii platońskiéj, któréj istnienie nieprzerwane ciągnęło się aż do zamknięcia wszystkich szkół pogańskich w r. 529. Zwraca uwagę na to, że żaden z autorów starożytnych grecko-rzymskich nie dochował się w takim komplecie, jak Platon, i że tekst dzieł jego jest bardzo poprawnym, wolnym zupełnie od zmian umyślnie dokonywanych, przeróbek późniejszych, konjektur wydawców, które „tyle innych greckich tekstów szpecą i robią niezrozumiałemi dla nas.“ Ci, co przepisywali Platona, robili to starannie, a błędy, które popełniali, są tego rodzaju, że każdemu przepisywaczowi mogą się wydarzyć, a szczególniéj w dawném piśmie greckiém, w którém więcéj było do siebie podobnych liter, niż w tém, którego dziś używamy“ (str. 30). Rozglądając się w wydaniach dzieł Platona, wykazuje p. L., jakie dziś jeszcze mają wartość a jakie już ją utraciły, oraz zaznacza zasługi wydawców z XIX w., mianowicie Bekkera, filologów zuryskich: Hermanna, a szczególniéj Schanza, którego stawia najwyżéj, żałując tylko, że wydanie przez tego ostatniego podjęte, idzie tak powoli i dotychczas nie jest jeszcze zupełne. Rozejrzenie się w tłómaczeniach umożliwia pogląd na stopień popularności Platona w rozmaitych krajach, a przy téj sposobności wypowiada p. L. swoje wielkie dla filozofa uwielbienie, chociaż zna i wskazuje jego jednostronność. „Ktokolwiek czytał Platona (są jego słowa), przyzna, że jest on tak samo jednym z największych poetów, jak i jednym z największych filozofów, i w całéj literaturze świata Ateńczyk Platon tylko równego ma sobie Anglika Szekspira“ (str. 49). Mówiąc o nielicznych tłómaczeniach polskich, ubolewa (i słusznie), że nie mamy dotychczas całkowitego ich przekładu. Szkoda, że do téj wzmianki wkradła się niewłaściwa wiadomość, jakoby kilka dyalogów przełożył Karpiński (str. 51). Śpiewak Justyny pisał wprawdzie „Rozmowy Platona,“ ale oryginalnie, wyznając, że „może dziesiąta część“

myśli tu wyrażonych należy do innych, w części i do Platona. Rozmowy te, do których wchodzą: Platon, Arystoteles, Focyon, Demostenes i t. d. odbywają się na wybrzeżu Sunium. Możemy też wyrazić żal do p. L. że wspominając (str. 9) o pracy F. Kozłowskiego, pominął rozprawkę Józefa Jeżowskiego p. t. „O postępie badań filologicznych we względzie pism Platona“ (Moskwa, 1829). Ale przeoczenie to może jeszcze powetować przy rozbiorze autentyczności dzieł filozofa, co ma stanowić treść drugiego rozdziału, który oby jak najrychléj mógł się ukazać.

— *Teodor Jeske-Choiński*, **Na straconym posterunku**, dramat współczesny w 5-ciu aktach (Warsz. Nakład „Niwy“, 1891, str. 167). Autor znany jako publicysta ze swego antysemickiego usposobienia, kreśląc dramat na tle stosunków żydowskich, starał się jako artysta zachować pewną przedmiotowość poglądu, rozważając żydów ze stanowiska psychologicznego i estetycznego. Nie gromadził zatém samych ciemnych cech na osobnikach semickiego pochodzenia, lecz i dodatnie w nich odnalazł i silnie zaznaczył. W przewodniéj myśli jedynie znać zajęte przez p. Choińskiego w publicystyce stanowisko. „Straconym posterunkiem“ nazywa on usiłowanie bohatéra dramatu, Henryka Proszowskiego, by, pozostając żydem co do wyznania, wpłynąć na oświecenie, a zwłaszcza umoralnienie ciemnego proletaryatu żydowskiego, oduczyć szachrajstwa, lichwy, lekkiego wogóle zarobku, a nauczyć pracy i uczciwego we wszystkich stosunkach zachowania się. Zdaniem autora, na te ciemne masy nie może zbawiennie oddziałać taki szlachetny i rozumny człowiek, jak Proszowski, bo nie zdoła pozyskać w nich zaufania, podejrzéwać go one będą ciągle o sprzeniewierzenie się zakonowi, a wszelkie jego rady, a nawet dobre uczynki sporadycznie zaledwie sprawić potrafią dobre wrażenie i okazać się owocnemi w praktyce. Droga do chrztu dla takich ludzi jest wskazana, zdaniem p. Choińskiego. Nie roztrząsając tutaj kwestyi tak ważnéj, która w krótkiéj wzmiance wszechstronnie rozpatrzoną byćby nie mogła, powiem jedynie, że nauka taka nie wypływa z faktów w dramacie przedstawionych. Henrykowi nie powodzi się apostolstwo; oskarżony przed synagogą przez motłoch o szkodliwe dla Izraela działanie, widząc, że wyrok potępienia jest nieuchronnym, uprzedza go podeptaniem powagi, któréj dobrowolnie się poddał, i doświadcza skutków tego kroku, gdyż fanatyczna ciżba, zagrożona w swoich spekulacyach, nie waha się dokonać na nim skrytobójstwa. Henryk został tedy odtrąconym przez swoich, to prawda; lecz nie znaczy to wcale, aby inne postępowanie nie mogło mieć pomyślniejszych rezulta-

tów, z tém oczywiście zastrzeżeniem, żeby nie czekać doraźnego wyleczenia chorób, na których wytworzenie całe składały się wieki. Wszak w życiu mamy przykłady ludzi, którzy podobni są do Proszowskiego w celach swojego działania, lecz, obierając odpowiedniejsze niż on środki, nie doznają tragicznego losu, a niepodobna twierdzić, iżby ich działalność była całkiem bezowocna. Powolną jest w skutkach, drobną, ale przy wytrwałości może złagodzić biédę, roświetlić mroki. podnieść moralność mas. — Jako dramat, jest utwór p. Choińskiego w pierwszych dwu aktach wyborny. Charakter Izydora Krongolda, chcącego za pośrednictwem podrzędnych osobistości (Fruchtbauma, Cukerwassera, Postbriefa) wyzyskać smutne materyalne położenie szlachcica Stanisława Lachowskiego, daléj charakter córki tego bogacza Amelii, wychowanéj w zbytkach, wyśmiewającéj się ze swych ubogich spółwyznawców, śmiałéj, wyzywającéj kokietki, oraz jéj przeciwieństwo w poetycznéj Sarze, która nie śmiéch, lecz litość i czynne spółczucie ma dla nędzy; pierwsze wreszcie wystąpienia Henryka są tak silnie postawione i tak dzielnie przeprowadzone w charakterystycznych sytuacyach i jędrnym dyalogu, że najlepiéj usposabiają czytelnika, i każą mu rzecz całą za piękne artystyczne odtworzenie rzeczywistości uważać. Ale akt trzeci, przedstawiający scenę sądu w synagodze podrywa znacznie to wrażenie; z wyżyn dramatu spadamy niemal na poziom farsy. Mimowoli nasuwa się porównanie z Urielem Acostą, a na tém porównaniu okropnie traci i bohatér i synagoga. Kreśląc sytuacyę na tle stosunków spółczesnych, nie mógł się posługiwać autor całym zasobem pełnych grozy i poetycznego uroku motywów, użytych przez Gutzkowa, a wprowadzając do brudnéj izby z odrapanemi ścianami, wystawiając lichego rabina i nędznych oskarżycieli, zniszczył tym realizmem powagę położenia, uczynił je nieprawdopodobném. Piękne tu są tylko słowa Proszowskiego, lecz i one wrażenia zrobić nie mogą wobec tak lichego audytoryum. Dwa pozostałe akty, w których bohatér już się bierną tylko staje osobistością, mają jeden tylko moment ważny psychologicznie, kiedy Sara, przeświadczywszy się, iż pomimo szlachetnych planów Henryka, pomimo jego dobroczynności, tłumy go potępiły, pożogą zniszczyły jego majątek, czuje, jak rwą się w niéj nici sympatyi dla tych tłumów, jak serce jego spragnione miłości, zwraca się do ewangelii, głoszącéj zasadę miłości powszechnéj. I w tych dwóch aktach znaleść można parę sytuacyi dobrych, parę rozmów pięknych, monolog Proszowskiego na cmentarzu podniosły; ale te szczegóły piękne nie układają się w całość dobrze zbudowaną. Osoby, które poprzednio zajmowały plan główny, schodzą teraz z niego, a zajmują go osoby w cieniu wprzódy pozosta-

wione; są wypadki (pożar składów Proszowskiego, wyprawa na cmentarz), ale akcyi dramatycznéj bardzo tu mało; nie wytrzymał autor do końca budowy tak dobrze poczętéj. Być może, chęć tragicznego zakończenia popsuła mu szyki, nie dozwoliła rozwinąć spokojniéj charakterów, pomyślanych trafnie i nakreślonych wyraziście.

= **W okowach**, powieść w dwóch tomach, przez *Wilhelma Feldmana* (Lwów, księgarnia polska, 1890, str. 222, 245). Okowy, o których powieść ta traktuje, to paragrafy kodeksu austryackiego, dotyczące nierozerwalności małżeństwa. Temat nie nowy, to prawda, ale żywotny dopóty, dopóki dotychczasowe przepisy nie zostaną zmodyfikowane zgodnie z potrzebami i wymaganiami nowożytnego społeczeństwa. Powoływanie się na świętość instytucyi wówczas, gdy wszystkie nici wiążące dwoje ludzi porwane zostały i gdy nic ich nawiązać już nie potrafi, jest niewątpliwie dowodem albo nieznajomości czynników psychicznych, albo téż bezbrzeżnéj obłudy. Że tu o istotne zasady moralne nie chodzi, wydaje się rzeczą widoczną. P. Feldman obrobił ten temat w części przynajmniéj bardzo oryginalnie, biorąc pod uwagę głównie sam naturalny przebieg wypadków, nie zaś wyłącznie dowiedzenie tezy. Małżeństwo przezeń przedstawione napotyka się w życiu dość często: mąż grubo zmysłowy, nie rozumiejący zgoła uczuć subtelniejszych, skłonny do hulanki, lekkomyślny, choć w gruncie może nawet dobry, gdyby się dostał pod rozumne kierownictwo niewieście; żona zaś wydelikacona, umysłowo rozwinięta wysoko, ale niepraktyczna, nie wchodząca w żadne kompromisy z tém, co jéj uczucia drażni i upokarza. Wyszła za Zimowieckiego w młodym wieku, kiedy jéj pierwsza miłość do nauczyciela została raptownie zerwaną; obojętném jéj wtedy było, kto zostanie jéj małżonkiem. Zimowiecki ubóstwiał ją, jako piękność działającą mu na zmysły; ale popędów swoich nie powściągał i miał dorywczo poboczny stosunek z dziewką. Podczas chrzcin drugiego dziecka, pokrzywdzona Maryśka wpadła do sali i zaprezentowała lamentując swego „bajstruka“ wobec licznie na uroczystość zgromadzonego obywatelstwa. Pani Jadwiga Zimowiecka dotknięta do żywego, nie chce nawet słuchać tłómaczeń i usprawiedliwiań się męża, i zabrawszy cząstkę tylko majątku, który mu posagiem wniosła, osiadła w małém miasteczku z dziećmi, chcąc się całkowicie ich wychowaniu poświęcić. Podejrzenia, plotki, potwarze ze strony małomiasteczkowego towarzystwa, choroba i przygnębienie moralne, omyłki z powodu braku zmysłu praktycznego zatruwają życie Jadwigi, ale jéj nie łamią; pokonywa trudności, kosztem zbytecznych wydatków uczy się używać grosza, przy-

pominaniem sobie tego, czego się niegdyś uczyła, skraca sobie czas, a zarazem przygotowuje się na wychowawczynię swych dzieci, doznaje dowodów spółczucia od starego proboszcza, niegdyś wojskowego, oraz od doktora, który podczas choroby poznał jéj szlachetny, podniosły charakter. I już zabierało się na spokojne i względnie szczęśliwe chwile, gdy naraz zjawia się mąż, który dopóty nie zajrzał, dopóki nie stracił na hulanki i grę w karty całego majątku. Opierał się do téj pory podpisaniu prośby o separacyę, teraz gotów to za pewną sumę zrobić, ale dostawszy pieniądze (widocznie Jadwiga nie nabyła jeszcze dostatecznéj praktyczności), korzystając z utrudnień stawianych przez młodego księdza-fanatyka, zastępującego proboszcza, który był chorobą złożony, wyjeżdża coprędzéj, zostawiając rzeczy w dawnym stanie. Wówczas Jadwiga, nadwerężywszy fundusz przeznaczony na wychowanie dzieci, musi szukać zarobku, zajmując się szyciem. Z początku roboty nie dostała wcale; potém miała jéj dosyć; dowiedziała się, że zawdzięcza ją wstawieniu się profesora Teofila, niegdyś ukochanego jéj nauczyciela. Wznawia się stosunek; oboje płoną miłością; Teofil napróżno stłumić ją w sobie usiłuje; następuje wyznanie; profesor proponuje wyjazd do Węgier, przyjęcie protestantyzmu i wzięcie ślubu; zapewne Jadwiga zgodziłaby się na tę propozycyę, ale zbieg wypadków oswobadza ją od uskutecznienia tego kroku. Męża jéj dosięgła kara z ręki Maryśki, która schodząc powoli po szczeblach poniżenia i hańby, znalazła się już wśród wyrzutków. Zimowiecki chciał jéj pretensye okupić, ale ona cisnęła nań lampą tak skutecznie, że zgorzał. „Bajstrukiem“ Maryśki zajął się Teofil Zahradnik. Przypadkiem okowy zostały rozerwane, ale przypadki takie nie zawsze się zdarzają i nie wszystkim są na usługi. — Powieść ta jest mieszaniną bardzo subtelnych, starannie wycieniowanych zarysów psychicznych, oraz grubych, jaskrawych, brutalnie realistycznych sytuacyi; nie potrafił autor dwu tych czynników estetycznych zharmonizować; nie umiał różnorodnego swego artystycznego zadania równomiernie traktować; stąd téż ustępy w tym utworze są często ładne, całość zaś nie robi dodatniego wrażenia. Zdaje się, że autor podjął się malować stany duszy, których nie wystudyował, stosunki, które znał tylko powierzchownie, charaktery, z których dokładnie sobie sprawy nie zdawał. Bohatérka, Jadwiga, lubo jest prawie ciągle przed oczyma naszemi, nie rysuje się nam jako postać jednolita, lecz jako z różnych, sprzecznych niekiedy z sobą cząstek złożona. Teofil jest sylwetką bardzo zamgloną. Zimowiecki bardzo powszednim okazem brutala. Towarzystwo małomiasteczkowe — to karykatury. Wyjątek stanowi zacny, ale nakreślony pobieżnie doktór, oraz wyborny choć w jednéj

tylko scenie występujący stary proboszcz. Młody fanatyk zdaje się z książek francuskich raczéj wzięty, niż z obserwacyi bezpośredniéj. Najkonsekwentniejszą, najwyraziściéj narysowaną w powieści postacią jest Maryśka, lecz ta estetycznego wrażenia obudzić nie może, zanadto cuchnie. Styl jest żywy, obrazowy; zbyt tylko może ucinkowy. Język wogóle poprawny; jedynie w użyciu bezokolicznika po przeczeniach i w niektórych formach gramatycznych wytknąć można rzadkie, ale dość rażące błędy, a raczéj pomyłki.

= *Andrzéj Niemojowski*, **Poezye prozą** (obrazy). Kraków, W. Kornecki, 1891, str. 204. Świeży to, młodzieńczy i bujny talent. Niedola społeczna, głęboko odczuta, wyrażana nie za pomocą tyrad patetycznych, lecz żywych, barwnych obrazów, stanowi główny motyw jego natchnień, czy je wyraża jędrnym wierszem, czy silną, niekiedy aż do przesady obces kroczącą prozą. Z opisami przyrody, czy ludzi dla samych opisów zerwał autor stanowczo; stanowią one tylko środek do wypowiedzenia uczuć i myśli, do odmalowania wnętrza duszy. Po części wraca on do subiektywizmu romantycznego do uogólnień symbolicznych, ale nie traci téż z oczu tych nabytków, jakie realistyczny sposób tworzenia dla sztuki osiągnął. Gdy się czyta pierwszy obrazek: „Habdank“ na krwawém tle narysowany jaskrawemi pociągnięciami pędzla, doznaje się wrażenia, jakby się wracało do czasów „prozy poetycznéj“, do czasów, kiedy „krwawy chrzest“ Magnuszewskiego powstał. Ale wrażenie to rozprasza się niebawem; widzimy przed sobą pisarza spółczesnego, drgającego życiem trochę chorobliwém, zbolałego cierpieniami nie swojemi, lecz ogółu, zwłaszcza tego biédnego, ciemnego ogółu, który się ludem nazywa, a który bywa przedmiotem wyzysku z powodu swéj ciemnoty i bezbronności; widzimy stylistę, który umié do różnych scen i sytuacyi nastrajać sposób wyrażenia i nie daje się porwać najulubieńszemu sobie, fantazyą nawskroś przeniknętemu, dosadnemu i rozbujałemu wichrowi słowa. Sztuka dla sztuki nie jest jego hasłem; on pragnąłby płomiennemi wyrazy podziałać na ludzi, by się w skorupie samolubstwa nie zamykali, by zrozumieli, a co ważniejsza odczuli biédę mas i starali się jéj zaradzić. Satyra, ironia, fantazya służą mu do obudzenia wrażeń i wzruszeń, któreby w powyższym kierunku na ludzi oddziaływali. *Hab' Dank* mówi cesarz niemiecki do Jana z Góry, gdy ten pierścień do jego skarbca rzucał; *Hab' Dank* mówi potomek Jana z Góry, gdy mu urzędnik niemiecki wyliczył pieniądze za sprzedaną ojcowiznę. Pracuje dzień i noc biédny estończyk na baronów i kupców rewelskich, poświęca życie dla ratowania okrętów, a żona jego zostaje kel-

nerką w restauracyi i wdzięczy się do tych, co zrobili i robią dobre interesa („Retman“). Topi się biédna uwiedziona córka dorożkarza, słuchająca słodkich słówek studenta niemieckiego, a z katedry zaznacza profesor etyki, że, przeglądając dane statystyczne, można być dumnym ze stanu obyczajowości stolicy inflanckiéj, grodu muz; poczciwi mieszczanie zabawiają się w swéj resursie, strzegą ognisk rodzinnych, by ich nie zalewał heteryzm, a *malum necessarium* chroni się w odpowiednich instytucyach („Helotka“). Stary o zasuszonych uczuciach profesor greczyzny w gimnazyum ś. Anny w Krakowie, patrzący na wszystkie sprawy świata poprzez stronice tragedyi Sofoklesa, nie pojmuje krewkości młodzieńczéj i studenta, który skradł całusa dziewczynie sprzedającéj fiołki, złapawszy na błędzie gramatycznym, łamie mu karyerę naukową („Didomi“). Student borykający się z biédą, byle zdobyć skarbnicę wiedzy, mieszkający jako sublokator u babek kościelnych, mamiący żołądek wszelkiemi możliwemi sposobami, zmuszony jest w końcu podać do gazet następne O g ł o s z e n i e: „Juliusz Wieroński, 29-letni młodzieniec z wykształceniem uniwersyteckiém, znający języki: niemiecki, francuski, hiszpański, portugalski i t. d. poszukuje jakiegokolwiek zajęcia, mieszkając tymczasowo w hotelu krakowskim. Pisze pięknie i wyraźnie, zna gruntownie stenografię polską i niemiecką. Może przyjąć posadę guwernera, lektora, tłómacza, kolportera, komiwojażera, towarzysza podróży w kraju, za granicę, za kontynent.“ I w dodatku, ponieważ nie może interesantów przyjmować w swojéj nędznéj ciupie, musi błagać.... kokoty o pośrednictwo. Ciemnotę, rutyniczne czy instynktowe przyzwyczajenia, niezaradność ludu górskiego, a wyzysk fiskusa austryackiego dosadnie przedstawia autor w najdłuższéj z pomieszczonych w zbiorku noweli: „Nad brzegami Dunajca.“ Ma ona w części anegdotyczny charakter (wybieg urzędnika, ażeby mu zreperowano but, by pociągnąć następnie do opłaty za fachowe zajęcie), ale w części maluje stałe nawyknienia i sposób widzenia mas nieukształconych. Zdenerwowany hrabia, który się gotuje wypowiedziéć w sejmie mowę o potrzebie dźwignięcia małych miasteczek, i palące się miasteczko, będące własnością hrabiego, stanowią tak wymowny kontrast, że żadnego chyba nie potrzebują komentarza, by wykazać różnicę pięknie brzmiących frazesów od czynnego zajęcia sprawą publiczną („Pali się“). W „Bajce noworocznéj“, mającéj charakter paraboliczny, odtworzył autor bujne rojenia i świetne obietnice młodości, sponiewierane i zniszczone pokusami chwilowego zadowolenia i tym starodawnym frazesem: młode piwo wyszumiéć się musi. Z przeglądu tematów okazuje się, że N. nie poruszył jakichś całkiem nowych myśli; wszystko, o czém mówi, było

już traktowane w naszéj literaturze; tylko że w ostatnich czasach trochę o tém zapomniano; ale autor umiał nadać świeżość tym dawnym motywom, odsłonić mniéj znane w nich tony, wypowiedzieć je silnie i barwnie. Językiem pisze p. N. pięknym, czystym i dźwięcznym. Powinienby tylko unikać takich porównań, które w stylu chyba żartobliwym ujść-by mogły, jak np. „Bałtyk ukryty w ciemnościach skowyczał jak stado hyen przedpotopowych“ (str. 18). Ma on dosyć wyobraźni, ażeby dać poznać szalony wód zamęt, żeby się miał tak niezgrabnemi podpórkami posługiwać.

= **L'année philosophique** *publiée sous la direction de F. Pillon. Première année 1890.* Paris; Alcan, 1891, str. 356. — F. Pillon, były redaktor pisma „*Critique philosophique*“, rozpoczął pod tym tytułem nowe wydawnictwo filozoficzne. Rocznik pierwszy składa się z dwóch części: jedna obejmuje większe prace oryginalne, druga zawiera wyczerpującą bibliografią krytyczną literatury filozoficznéj francuskiéj za rok ubiegły. W dziale pierwszym znajdujemy trzy prace oryginalne: Renouvier'a: o zgodności metody fenomenalistycznéj z doktryną stworzenia i rzeczywistości przyrody; Pillon'a: pierwszy dowód kartezyański istnienia Boga i krytyka nieskończoności; wreszcie Dauriac'a pod tytułem: „Filozofowie współcześni: J. M. Guyau.“ Nie możemy tu poddawać tych prac analizie szczegółowéj; wspomnimy tylko, że pierwsza jest analizą form intelektualnych, w jakich w filozofii idealistycznéj występuje idea istnienia i jedności bóstwa (którą autor uważa za trzeci wymagalnik filozofii praktycznéj obok idei przyszłego życia i wolności); druga stanowi obszerne studyum nad ideą nieskończoności i doskonałości, czyli, mówiąc ogólniéj, krytykę idei wielkości matematycznéj i jakości ze stanowiska logicznego i psychologicznego. Trzecia wreszcie, jak tytuł wskazuje, poświęcona jest rozbiorowi doktryny niedawno zmarłego filozofa Guyau'a, przyczém przeważnie uwzględnione są jego teorye estetyczne (zawarte w dziele: *L'art au point de vue sociologique*). — Dział bibliograficzny podzielony jest na 4 rubryki. Pierwsza obejmuje dzieła z zakresu metafizyki i psychologii; druga moralność i filozofią religii; trzecia filozofią dziejów i socyologią; czwarta wreszcie—historyą filozofii. Dział ten prowadzony jest przez samego redaktora bardzo starannie; znajdujemy tu nietylko streszczenie krótkie dzieła, ale i krytykę; a jakkolwiek jest ona często jednostronną, niemniéj zalecić można ten dział każdemu, kto życzy sobie miéć treściwy obraz bieżącéj literatury francuskiéj w zakresie filozofii. Bibliografia obejmuje tylko osobno wydane

książki, nie uwzględniając wcale artykułów zawartych w pismach filozoficznych. *Wł. K.*

= *Paweł Bert.* **Pierwszy rok kształcenia naukowego** Książka dla młodzieży. Przełożyli J. J. Boguski i Adolf Dygasiński. Z 426 drzeworytami w tekście. Warszawa, 1891. T. Paprocki i S-ka. — Autor pomieścił w téj niewielkiéj książce taką moc wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, że niemal wydaje się rzeczą niemożliwą, aby w pierwszym roku kształcenia naukowego dziecko mogło to wszystko wchłonąć w siebie. Pierwsza część jest poświęcona opisowi ciała ludzkiego i niektórych jego ważniejszych czynności. W dwu dalszych częściach zapoznaje się uczeń głównie z systematyką i morfologią zwierząt i roślin. Nie sądzimy, aby uczeń bez pomocy, i to bardzo czynnéj pomocy nauczyciela, mógł sobie poradzić z tym obfitym materyałem i uporządkował sobie go w głowie tak, jak to najwidoczniéj jest zamiarem autora. Lecz z drugiéj strony, umiejętna pomoc osoby starszéj bezwątpienia może materyał ten podać uczącemu się w formie bardzo strawnéj. Czwarta część dziełka poświęcona jest opisowi kamieni i lądów; w piątéj mamy wykład najważniejszych zjawisk fizycznych, wreszcie w szóstéj pierwsze początki chemii. Wogóle dwie ostatnie części wydają nam się znacznie lepiéj opracowanemi od pierwszych; nie dostrzegamy w nich tylu nieścisłości i téj powierzchowności, która cechuje część biologiczną dziełka. Ale i tutaj podany przez autora materyał, zdaniem naszém, może służyć tylko jako punkt wyjścia dla wykładów nauczyciela. Wzorując się na podanych przykładach, umiejętny nauczyciel może z wielką korzyścią uczyć zasad nauk przyrodniczych; niewolniczo wszakże w takim razie krok za krokiem nie będzie on postępował w myśl wykładu Berta. Z konieczności nie jedno pominie, zaś to i owo doda w swym wykładzie. Książka Berta doskonałych znalazła tłómaczów. Załączone drzeworyty w wielu razach niczego nie uczą. Forma czytanek szczęśliwą jest i daje właśnie nauczycielowi wdzięczne pole do zajęcia umysłu dziecka. *F.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Broszura p. Glińskiego—„Honor.“—Za dużo polemiki.—Reakcya moralna.—Zwrot w etyce Prusa.—Nadprodukcya inteligencyi.

W zimowym sezonie r. b. wystawiono w teatrze warszawskim sztukę Sudermanna „Honor“ w przekładzie Gawalewicza. Teza sztuki, postawiona śmiało, przeprowadzona logicznie i z prawdą życiową zgodnie, wywołała w widzach, w krytyce i czytającéj publiczności wrażenie duże, na jakie słusznie zasługiwała. Sam tytuł, a dla rozgłosu utworu literackiego tytuł wiele znaczy, obiecywał dużo, i wszystkiego, dodajmy, dotrzymał. Utwór Sudermanna olśniewał przez kilkanaście wieczorów widownię połyskiem ciętéj i gorzkiéj ironii, niepospolitym i lotnym dowcipem, dramatycznością sytuacyi, efektownem słowem głównych bohatérów. Tych efektów było dużo, z góry na wrażliwość widowni obliczonych, lecz pamiętajmy, że dramaturg dzisiejszy, jeżeli chce mieć powodzenie, musi być w nierównie większym stopniu wirtuozem, niż myślicielem. Sardou, Dumas, a nawet ten głęboki i oryginalny Ibsen są przedewszystkiém wirtuozami techniki i słowa.

Jakąż była teza sztuki Sudermanna? Oto bardzo prosta, że „honor“ jest często konwencyonalném kłamstwem. Zaszczyt tego odkrycia niezawodnie do Sudermanna nie należy i trudno byłoby powiedzieć, kogo nim trzeba obdarzyć. Każda, najmoralniejsza nawet idea, po wprowadzeniu jéj w życie zaczyna być fałszowaną i przekręcaną. To samo stało się oddawna i z wielką ideą rycerskiego „honoru“, a fałszywa jego interpretacya w praktyce, przypuścić można, że wytkniętą już została przez jakiegoś moralistę średniowiecznego.

Dziś, naturalnie, nie potrzeba być wielkim spostrzegaczem, ażeby o fałszowaniu „honoru“ na każdym kroku wiedzieć. Z pewnością,

w dzisiejszéj etycznéj publicystyce, choćby Nordau i Mantegazza, wypowiedzieli pod adresem tego konwencyonalnego kłamstwa więcéj bolącéj i kolącéj prawdy, więcéj wypuścili strzał zatrutych ironią, niż Sudermann. Dlaczego więc u nas dopiéro sztuka Sudermanna wywołała aż specyalnie ją roztrząsające broszury, jak świeżo co wydana p. Henryka Glińskiego „Honor (Sztuka — temat — teza — etyka — krytyka)“?

Jest-to błogosławiony przywiléj autorów teatralnych. To, co w książce prześlizguje się po umyśle, nie zwraca uwagi, wydeklamowane przez aktora na scenie, robi hałas, choćby powierzchowny. Jest to wielki przywiléj sztuki dramatycznéj. Siemieński słusznie powiedział, że „Plato rozmawia z kilkoma uczniami, Eschylos masami włada.“

Załatwimy się krótko, w kilku słowach, z treścią „Honoru.“ Robert Heinecke, syn rzemieślnika berlińskiego, obecnie komisant handlowy, wraca z Indyi, gdzie był plenipotentem radcy Mühlingka, do rodziny składającéj się ze starych rodziców, zamężnéj siostry Michelskiéj i drugiéj Almy, młodéj a ślicznéj dziewczyny. Kochający rodzinę i stęskniony za nią Robert, zamiast pogody i czystości, znajduje rozkład i brud moralny. Ukochana jego siostra, Alma, jest kochanką młodego Mühlinghka, lowelasa i pasorzyta salonowego; starsza siostra zaczęła zawód stręczycielki od sprzedania własnéj siostry, a rodzice na upadek córki patrzą przez szpary, bo im z têm dobrze. Zawikłanie powiększa jeszcze miłość Roberta do Leonii, córki jego pryncypała, przez którą wzajemnie jest kochanym. Robert chce wywieść całą rodzinę daleko od miejsca jéj hańby.

Niestety, skrupułów jego nikt nie rozumié, a stary Mühlingk, ku większéj hańbie Roberta, płaci jego rodzicom 40 tysięcy marek za sromotę córki, pod warunkiem, ażeby natychmiast opuścili miasto. W téj otchłani upadku i rozpaczy, Robert znajduje współczucie i pomoc u dwóch osób: Leonii i hr. Trast-Saarberga, swego przyjaciela, który razem z nim wrócił z Indyi. Saarberg pożycza mu 40 tysięcy marek, ażeby niemi w twarz rzucił Mühlingkowi, a sam od uwodziciela Almy żąda satysfakcyi. Odmawia mu jéj jednak przyjaciel tego ostatniego, lejtnant pruski, mówiąc:

— Pan, hrabio Saarberg, nie możesz nas obrazić, gdyż ja jestem oficerem tego pułku, z któregoś pan wyszedł za nieuczciwą grę w karty.

Saarberg w swoim czasie, będąc młodzieńcem, przegrał kwotę, któréj uiścić zaraz nie mógł. Według wymagań wyznawców karcianego „honoru“, powinien był dla jego ocalenia zastrzelić się. Saar-

berg tego nie zrobił, lecz pojechał do Indyi, oddał się pracy, zrobił majątek, którego używa szlachetnie i pożytecznie.

Widzimy jednak, że odmawiają mu prawa do honoru. Robertowi parweniusz Mühlingk odmawia także prawa przemawiania za siostrą, bo za jéj „honor“ znów zapłacono. Saarberg, przedstawiciel poglądów autora, i dodać należy, jedna z najlepiéj narysowanych i najsympatyczniejszych postaci w repertuarze, szczególnie się nie podobał niektórym krytykom warszawskim, a zwłaszcza Prusowi. Dlaczego? Dlatego, że według niego, Saarberga, honor, jako kłamstwo konwencyonalne, jest szkodliwy i niemoralny; Prus zaś pośpieszył z wnioskiem, że według Saarberga i Sudermanna „honoru“ nie ma wcale i w kronice swojéj nie żałował cięgów „profesorowi honoru“, jak nazwał rezonera sztuki.

Obrony Sudermanna i jego tezy podjął się z wielką energią p. Henryk Gliński i we wzmiankowanéj broszurze, ze stu kilkudziesięciu stronic złożonéj, polemizuje z felietonem Prusa.

Czy dla samego sporu z krytykami i Prusem należało pisać aż książkę—nie wiem. Zdawałoby się, że pożyteczniéj byłoby napisać rozprawę krytyczną, rozumowaną, wykazującą, że idea średniowiecznego, formalnego honoru, którą do dziś dnia z głupoty lub obłudy wyznaje tak zwane „towarzystwo“, jest nietylko za ciasną dla świadomości i sumienia współczesnego człowieka, lecz więcéj nawet—niemoralną, często nikczemną; że wytworzona przez kasty i dla kast średniowiecznych, mogła być, jak i inne wyobrażenia w swoim czasie pożyteczną, ale dziś jest tylko mechanicznym, pozbawionym etycznéj żywotności przesądem, druzgocącym tak często szlachetnych i wyższych, że już nie mówię o słabych, a osłaniającą parweniuszów duchowych, filistrów i obłudników; że działanie, w dzisiejszych stosunkach ludzkich, tego świadomie czy bezwiednie wyznawanego przesądu przedstawił w sztuce swojéj Sudermann, z taką ujmującą szczerością, z tak niepospolitym darem i ogniem słowa, z taką znajomością zawikłań, upokorzeń i bólów życiowych, iż żałować należy, że zamiast uznania spotkała go w Warszawie, ze strony naszych kierowników moralnych, ironia i udawane, czy téż istotne niezrumienie.

Sudermann mówi do widzów: oto macie przed sobą towarzystwo kramarzów, filistrów, junkrów i pasorzytów, rzucających w twarz obelgą ludziom pracy za to, że nie mają renty, ludziom rzeczywistego honoru za to, że nie zachowali pewnego razu formułki, jakiéj wymaga honor towarzyski, hańbiących bezkarnie kobiéty bezbronne, deprawujących ubóstwo za pieniądze, zdobyte na wyzysku innego ubóstwa, kalających zasadę rodzinną w suterénie, choć klękających niby

przed nią w salonie i dokonywających tego wszystkiego za parawanem „honoru.“

— Panie autorze — odpowiadają publicyści — to wszystko się zdarzało, zdarza i zdarzać może; ale twój Saarberg nie zapłacił w dwudziesto-cztero-godzinnym terminie długu honorowego i nie jemu o tém sądzić.

Rozumiem, że taka logika wywołała protest p. Glińskiego, lecz żałuję jednocześnie, że w książce swojéj za wiele autor podniósł drobnych szczegółów polemicznych, a za mało dotknął saméj rzeczy. Sprzecza się zresztą czasami niesłusznie, zapytując np. kilkanaście razy w ciągu swéj rozprawy „dla czego Saarberga obrano za tłómacza pojęć autora? Dla czego nie posądzono Sudermanna, że w Robercie chciał naocznie przedstawić, jakie to przykre wypadki i zdarzenia spadają nie raz na głowy wyznawców „religii honoru?“

Otóż, jeżeli w utworze literackim wolno szukać osobistych zapatrywań autora, to prawdopodobnie ich przedstawicielem w „Honorze“ jest Saarberg. Pod tym względem krytycy teatralni się nie pomylili, pomylić się nawet nie mogli. On panuje nad sytuacyą i logiką wypadków, on rozcina wszystkie węzły i wątpliwości ostrzem swego sarkazmu, rozumu i dowcipu, on to w czynnéj roli, to w refleksyi, przedstawia wyższy, filozoficzny pierwiastek, jego autor obdarzył rozumem, sercem, nieszczęściem i wielką swoją sympatyą, dla niego nareszcie wywalczył sympatyę wszystkich nieuprzedzonych widzów. Rzecz obojętna, czy jest on rezonerem w sztuce, czy nie, bo jak chce mieć p. Gliński, nowi autorowie teatralni rezonerów z repertuaru wyrzucili, o co się sprzeczać nie będę, bo to należy do specyalnéj krytyki teatralnéj. Lecz kto był w teatrze na „Honorze,“ kto choć powierzchownie zna psychologię roboty autorskiéj, ten nie wątpi, że Saarberg jest przedstawicielem zapatrywań Sudermanna. Przecież ani jednemu ani drugiemu to ujmy nie przynosi, i nie wiem, dla czego p. Gliński koniecznie o to tak długi spór prowadzi.

Żałujemy więc, że téj sprawy, a pojęcia moralne w literaturze obecnéj zaczynają co raz więcéj górować nad innémi zagadnieniami, autor nie traktował w książce swojéj syntetycznie, i dopiéro przy samym końcu w ten ton uderzył, poświęciwszy poprzednio całą broszurę polemice z artykułem Prusa, z którym należało skończyć krótko, boć Prus, rzecz jasna, artykułem swoim literatury polemicznéj wywoływać nie myślał. Przy końcu także autor zdaje sobie sprawę, dla czego Prus tak ostro przeciw Sudermannowi wystąpił. „Wystąpienie Prusa jest nadzwyczaj charakterystyczném zjawiskiem — pisze p. Gliński. Prus zna nas doskonale, wié, co nas boli, wié téż co nas raduje. Zro-

zumiał on, że draźliwi na punkcie „honoru,“ „honor“ ten staramy się przechowywać, zmieniając zresztą całkowicie treść jego wewnętrzną, w czystości. Mniejsza o jakim honorze mówi Sudermann, dość, że o „honorze“ — a więc trzeba zwrócić się przeciwko niemu! Honor toćto i obowiązek, i zasady moralne, i godność, i cześć, i ambicya, a ma jeszcze i tę dobrą stronę, że słuchają go nawet bardzo wątpliwéj dobroci jednostki — powiedział sobie Prus“ i t. d.

Charakterystyczne rzeczywiście zjawisko zachodzi w sferze pojęć moralnych. Komu by sił i chęci starczyło, mógłby napisać ciekawe studyum o téj reakcyi moralnéj, o zmartwychwstającém widmie dogmatu na horyzoncie końca naszego stulecia.

Analityczna inteligencya wykształciła się kosztem dawnych podstaw, nakazów i dogmatów. Hasłem sceptycznéj umysłowości nowoczesnéj stało się: wszystko zrozumiéć, niczego nie sądzić. I na cóż by się zresztą zdało sądzić, jeżeli światem rządzą prawa żelaznéj konieczności, których nasze sądy nie odwrócą. Tym sposobem duch czasu uczynił z wielu nas fatalistów, wierzących w potężną a ślepą maszynę kosmiczną, któréj rozpędowe koła wynoszą jednych a druzgocą drugich z niezachwianą regularnością, maszynę, która drwi z marnych wysiłków człowieka.

I przeciwko tak pojmowanemu hasłu, reakcya moralna kładzie swoje *veto*. Wiek, który układa już swój bilans filozoficzny, spostrzega szerzące się dokoła odszczepieństwo. Wzmaga się liczba rozczarowanych, nowe a raczéj w nowe szaty ubrane stare wiary, podszyte wyszydzonym już mistycyzmem, zyskują licznych zwolenników.

Reakcya moralna więc mówi: Równolegle z systemem ekonomicznym, opartym na swobodnéj konkurencyi, rozwinął się i system swobodnéj, moralnéj, a raczéj niemoralnéj konkurencyi. Doszliśmy do bezwyznaniowości moralnéj. Ta negacya jest najgorszego gatunku, bo negacya właściwa barbarzyńskiemu tłumowi. Ten tłum w pogoni za użyciem i dostatkiem stracił świadomość różnicy między dobrem a złem, a rozhulane egoizmy osobiste wyznają zasadę nieograniczonéj zasady postępowania, byle tylko prowadziła do celu.

Wszystko, co jest dobrém i pożytecznem w praktyce, jest prawdą. Cóż nas obchodzą rozliczne hypotezy, jakiemi tłómaczycie zjawiska, jeżeli one nie wzmacniają lecz osłabiają instynkty moralne w masach?

Tak mniéj więcéj przemawia obecna reakcya moralna w literaturze, pierwszorzędnych posiadająca przewodników.

Istotną, przyczynową, a nie sztuczną konieczność téj reakcyi literackiéj dostrzedz można.

Rozumiemy, że rozluźnione węzły starają się spoić na nowo, że ludzie moralni, ostrożni i praktyczni obawiają się dla tłumów zaraźliwości umysłowego rozpasania, bo jak oni zdawna twierdzą — ten tłum wessał w siebie i wessie tylko powierzchowne a ujemne wyniki, a raczéj pozory nauki krytycznéj, zastosuje je zaraz w praktyce dla swoich dzikich instynktów. Można się tylko sprzeczać, coby było lepsze, czy forsowny pochód do nowych pojęć moralnych i nowych form życia, za któremi świta przyszłość,—czy reakcya dogmatyczna, która jest zawsze skostnieniem i zaprzeczeniem rozwoju. Ludzie praktyczni i ostrożni odpowiedzą znów, że tłum, ta ogromna o nieruchawéj psychologii masa ludzka, nie podąży, podążyć nie może, za intelektualistami, za arystokracyą talentu, w krainę światła. Zatrzymajmy więc stary kodeks etyczny — powiedzą nam -- jak zatrzymujemy kodeks cywilny. Zatrzymajmy fałszywy, konwencyonalny honor, choćby on tylko idyotom mógł imponować, lecz trudno, tacy przeważają. Zatrzymajmy konwencyonalną religię, choć dusza dawno z niéj uciekła, bo w świątyni religii intelektualnéj nie będzie pobożnych.

Prawdopodobnie i w téj dyskusyi, jak zawsze, zwyciężą powolni i ostrożni. Ze stanowiska rozwoju można nad tém ubolewać, nie zapominając tylko, że przyszłość nie należy ani do reakcyi, ani do rewolucyi, ale do siły i wytrwałości.

Nie byłoby pozbawione ciekawości badanie, czy i w literaturze naszéj ta moralna reakcya literacka ma już naśladowców lub wyznawców? Odkładając to zapytanie do innéj okazyi i zwracając się z niém do moralistów i krytyków literatury, pozwolę sobie zatrzymać się jeszczę chwilkę przy Prusie, nie jako powieściopisarzu, ale publicyście, z którego etycznemi poglądami polemizuje, choć niestety nie o zasady, lecz o drugorzędne szczegóły, p. Gliński w swojéj książce.

Promienie cywilizacyi, moralności i umysłowości europejskiéj załamywały i załamują się w Prusie zawsze, pod kątem widzenia swojskim, a nawet warszawskim. Przepuszczone w jego umyśle prze filtr zasady zdrowego rozsądku, sprowadzone na poziom umysłowego i moralnego poziomu jego czytelników, zaprawione oryginalnym i swojskim humorem, zapewniły mu stanowisko niezawodnie najpopularniejszego z tegoczesnych pisarzów naszych. Tak zrozumiane powołanie swoje Prus spełnia z rzadką szczerością i z natchnieniem mocnego przekonania.

Otóż, o ile uważam, Prus (mówię zawsze, jako o publicyście) stanął w kwestyach etyki społecznéj na gruncie dogmatu. Pamiętam, choć nie mam pod ręką tego artykułu, że w r. z. z powodu wystawienia w teatrze tutejszym *Cienia* Lindau'a, podobnież jak w tym roku

z powodu „Honoru“ Sudermanna w sprawie moralności kobiét, zajął bardzo surowe, prawie kanoniczne stanowisko. W komentarze, w usprawiedliwienia, a nawet w tłómaczenia wypadków, naruszających ustalony kodeks obyczajowy, bawić się nie chce. Nie chce być nawet sędzią, słuchającym stron. Jest prokuratorem, żądającym potępiającego wyroku z góry, na podstawie dokonanego faktu, bez wnikania w doniosłość psychologicznych i moralnych motywów, które go wywołały i sprowadziły. „Trzeba, to trzeba i tyle“ — powiada.

Że ten zwrot w jego poglądach na moralne potrzeby życia społecznego nie był przypadkowym, że jest zasadniczym, wnoszę ze stanowiska w obec „Honoru“ Sudermanna i z kilku innych objawów. Czy w Prusie ten neo-dogmatyzm, który właściwie jest reakcyą, zaszczepił się drogą wrażliwości na prądy moralne, przenikające literaturę francuzką i skandynawską, czy go wysnuł z własnego serca, to należy do jego biografów. Ja tylko upieram się i obstaję, jak mówi p. Gliński, że tak jest. Zresztą, oba czynniki, t. j. wewnętrzny i zewnętrzny, a może i inny jeszcze, ten zwrot wywołać mogły. Nie jest on namacalnie widocznym, lecz odszukać go można. Jeżeli jest zewnętrznym, to znów według psychologii i temperamentu Prusa, został przepuszczony przez filtr jego poglądu na świat i do miejscowych potrzeb zastosowany.

Prus, pisarz wielkiego serca i dużego zmysłu praktycznego, powiedział sobie zapewne, że nie pora na roboty i systemy etyczne lub jakiekolwiek inne w wielkim stylu. Dla tego téż zwrot, który i w „Emancypantce“ jest widoczny, ma na oku najprzód interesy praktycznéj moralności i praktycznego bytu. Mistycyzmu filozoficzno-religijnego tam nie ma, bo taki kościół w chwili obecnéj nie znalazłby między czytelnikami Prusa wielu prozelitów, lecz jest system, prawie katechizm, jak widzieliśmy właśnie z zajętego stanowiska w obec „Honoru“ praktyczno-moralnych przykazów i nakazów. Zdaje się, że gdyby p. Gliński zechciał był uwzględnić, jeżeli także go dostrzega, ten zwrot w publicystycznym zawodzie Prusa, broszura jego na innych fundamentach mogła być opartą i mieć istotniejsze, pożyteczniejsze znaczenie nad to, jakie ma obecnie. Autor zgubił myśl wytyczną w szarży polemicznéj, w obfitości drobnych, często bez znaczenia sporów. Krytycy teatralni i publiczność mogą ją jednak nie bez pewnego pożytku przeczytać, bo tryska z niéj szczere przekonanie, wstręt do kłamstw konwencyonalnych i żywotność.

W pewnych odstępach czasu w publicystyce naszéj pojawia się pytanie: czy nie za dużo mamy inteligencyi? lub téż wprost twierdzenie o nadprodukcyi inteligencyi. Zdawałoby się, że w kraju, w któ-

rym ogromna większość mieszkańców składa się z analfabetów, zarzut taki brzmi dziwnie dla ucha. Rozpatrzony bliżéj ma za sobą pewne uzasadnienie, warunkowane naturalnie względami ekonomicznemi i praktycznemi, nie zaś umysłowemi.

Piosnkę o nadprodukcyi inteligencyi śpiewali dotychczas przeważnie konserwatyści nie tylko u nas ale i w całéj Europie. Odbierało im sen, widmo proletaryatu umysłowego. Proletaryatu ciemnego niech sobie będzie jaknajwięcéj, i owszem, będzie więcéj tanich rąk do pracy, ale z proletaryatem umysłowym gorsza sprawa.

Odsuńmy na bok te jawne lub tajne dążności reakcyjne, zasadniczo nieprzyjazne rozwojowi oświaty. Kwestya ta wówczas przedstawi nam się jako odszukanie środka między dwiema zasadami, z których pierwsza, a nazwałbym ją filozoficzną, wymaga jak najszerszego i jak najwyższego rozpowszechnienia oświaty, między wszystkiemi, a zwłaszcza między upośledzonemi klasami społecznemi, i z których druga, a nazwałbym ją praktyczną, wymaga, ażeby tę oświatę skierować do celów praktycznych, pożytecznych, i że tak powiem, procentujących. Ta druga zasada liczyć się każe pierwszéj z realnemi warunkami istnienia i rozwoju danego społeczeństwa i rezygnować często z aspiracyj wyższych dla praktycznego pożytku.

Wskazanie kształcącemu się i pracującemu ogółowi tego miarodajnego środka, w obec surowych, bardzo surowych warunków realnych, w jakich dane społeczeństwo byt swój podtrzymywać i rozwijać musi, jest nader trudne, od bieżących a zmiennych interesów ciągle zależne, i stąd, zdaje się, płyną wielkie nieporozumienia i spory o nadprodukcyi i warunkach istnienia inteligencyi. Nie dziw więc, że sprawa ta często na łamy dziennikarskie wraca i dziś, zarówno, jak przed dziesięciu laty, jak może znów po latach dziesięciu, istotnego i potrzebom, a zwłaszcza pojęciom ogółu odpowiedającego rozwiązania może nie znaleść.

W jakim kierunku się kształcić, w klasycznym czy w realnym? w szkołach ogólnych, czy w szkołach fachowych? w uniwersytetach czy w wyższych zakładach specyalnych? który z fachów i kierunków zapewnia najwięcéj widoków egzystencyi lub karyery? zapytuje interesowana jednostka, — a który najlepiéj odpowiada warunkom bytu i rozwoju społecznego? zapytać musi dziennikarstwo.

Kwestya ta zresztą istnieje zarówno u nas, jak zagranicą, jak we Francyi i Niemczech, i możnaby ją nazwać kwestyą pracującéj inteligencyi europejskiéj, bo każdéj zarobkującéj lub wykształconéj jednostce, która dla przyszłéj egzystencyi, to wykształcenie sobie zdobywała, wcześniéj lub późniéj bardzo dotkliwie się narzuca.

W ogóle stanowi ona niezawodnie, pod względem ekonomicznym przynajmniéj, część wielkiéj kwestyi pracy i osobno, niezależnie od téj ostatniéj, rozstrzygnięta nie będzie. Nie jakościowo, lecz ilościowo jest mniejsza od kwestyi robotniczéj.

Świeżo „Głos,“ biorąc pochop z „Gazety Warszawskiéj,“ zamieścił artykuł, czy mamy za dużo, czy za mało inteligencyi? „Gazeta“ z filozoficznego stanowiska nie uznaje nadprodukcyi inteligencyi, mówiąc: „W łacińsko-francuskiéj szacie ukrywa się niedorzeczność, uderzająca w oczy, skoro toż samo powiemy po polsku — „zbytek rozumu.“

Artykuł „Głosu“ słusznie rozróżnia teoretyczną od praktycznéj strony sprawy. Nie chodzi o zbytek rozumu, bo takiego zbytku być nie może, lecz o to, że społeczeństwo nasze ma za dużą liczbę wykształconych fachowców, którym zajęcia i egzystencyi nie daje. Zmiany stosunków na lepsze pod tym względem nie ma się co spodziewać. Dla lekarzów, prawników, górników i inżynierów będzie coraz mniéj wakansów.

Postęp oświaty w warstwach ludowych powiększy zapewne popyt na pracę inteligentną, lecz praca ta musi się do nowych warunków przystosować. Wymaga ona zmiany systemu wykształcenia zawodowego. Téj inteligencyi, do nowych potrzeb przystowanéj, prawie jeszcze nie mamy.

Produkcya zawodowców o wyższém wykształceniu nie idzie równolegle z podniesieniem poziomu oświaty, z rozwojem uspołecznienia. Wybitny przykład stanowi Galicya, gdzie według przypuszczeń „Głosu“ powinno być około 10 tysięcy ludzi z wyższém zawodowém wykształceniem, a jednak ruch umysłowy jest tam bardzo słaby, handel księgarski w zastoju, czasopisma bez powodzenia.

I u nas nie jest dobrze. W naszym ruchu literackim i naukowym wykształceni zawodowcy żadnego prawie nie biorą udziału. Nie czytają, nie wiedzą często o postępach, tyczących się własnéj ich specyalności. Zdarzyło się np., że na konkurs „Gazety Sądowéj“ na temat prawny, nadesłano jedną, wyraźnie jedną pracę.

Wielka więc liczba wykształconych zawodowców nie jest u nas wcale dodatniém, znamiennem zjawiskiem cywilizacyjném. Wzrastająca liczba fachowców nie koniecznie sprowadza za sobą wzrost wiedzy i kultury społecznéj; zjawisko pierwsze nie stoi do drugiego w stosunku prostym. Dalszy więc napływ młodzieży do przepełnionych już fachowcami pomienionych zawodów, ani im, ani społeczeństwu dobrych skutków nie przyniesie. Przeciwnie,

przyniesie nawet szkodę, bo współzawodnictwo obniża zarobki ludzi, istotnie pracujących umysłowo.

Takie są, w przybliżeniu, wnioski „Głosu“ którym dużego zrozumienia warunków i potrzeb praktycznych odmówić nie można. „Głos“ obiecuje jeszcze pomówić o unormowaniu pracy zawodowéj, kończąc swój wywód zdaniem że „za mało mamy ludzi wyżéj wykształconych, ale za dużo ludzi „z wyższém wykształceniem.“ Sprawa ta jest bardzo żywotną, bo powiedziéć można, iż mamy już klasę społeczną wykolejonéj inteligencyi.

B. Lut.

Przeznaczenie jednego dnia w tygodniu na wypoczynek po pracy urodziło się przed wieki z przepisu religijnego; obecnie ma ono i naukowe uzasadnienie. Zdawałoby się przeto, że w praktyce powinno być powszechnie stosowane; wiadomo jednak, że u nas zachowują to ściśle tylko wyznawcy Starego Zakonu, wśród ludności zaś chrześciańskiéj, pracodawcy w wielu warsztatach i handlach uszczuplają ten wypoczynek swym pracownikom albo nawet całkiem go odmawiają.

Z tego powodu Towarzystwo wzajemnéj pomocy subiektów handlowych i przemysłowych rozesłało w bieżącym miesiącu okolnik, w którym potrzebę uwalniania pracujących od zajęć w dnie niedzielne stara się przystępnie wyjaśnić. Towarzystwo subiektów wypowiada przekonanie, że chęć zarobku nie będzie nigdy wystarczającym bodźcem i dostateczną do pracy zachętą, jeżeli nie idzie w parze z zamiłowaniem do obranego zajęcia i uczuciem zadowolenia, budzącém się przy spełnianiu pożytecznéj dla ogółu czynności. By to zamiłowanie było trwałém, by zadowolenie nie ustępowało miejsca zniechęceniu, potrzebna jest wśród pracy chwila wytchnienia. „Siły pokrzepione wypoczynkiem wynagrodzą uszczerbek krótką przerwą sprawiony, a pracownik z większą ochotą powracający do zajęć, bez trudu wyprzedzi tego, kto, nie mogąc ani na chwilę oderwać się od obowiązków, czuje, jak siły mu słabną, a chęć do pracy maleje.

Dziś, gdy staranne pielęgnowanie zdrowia uznaném zostało za ważny obowiązek jednostek i społeczeństwa, nie wolno nam pominąć milczeniem wielkiego wpływu, jaki wypoczynek niedzielny niewątpliwie miéć będzie na zdrowie wszystkich, których się stanie udziałem. Bez możności użycia, przynajmniéj raz na tydzień, ruchu niezbędnego dla zdrowia, — bez możności zaczerpnięcia przynajmniéj w niedzielę świeżego powietrza, niedocierającego zazwyczaj do dzielnic, będących ogniskiem handlu i przemysłu, — nie może pracownik myśléć o zachowaniu zdrowia, które ma mu zapewnić zarobek w sile wieku a czerstwą sta-

rość po pracowitém życiu. Wypoczynek niedzielny, darząc pracowników tém dobrem, zapewni pracodawcom korzyści, jakie daje praca ludzi, posiadających niestargane siły i niepodkopane długiém wycieńczeniem zdrowie...

Jeżeli wypoczynek niedzielny jest nieocenionêm dobrodziejstwem dla pracującéj jednostki, — to jeszcze zbawienniejszym jest wpływ święcenia niedzieli na życie rodziny, będącéj pierwszą szkołą młodego pokolenia. Stosunki rodzinne uledz musiały w ostatnich latach ważnéj, a dla każdego widocznéj zmianie. Obok ojca, którego praca stanowiła dawniéj jedyne utrzymanie rodziny, staje dziś częstokroć do pracy matka, nie mogąca już poświęcać całego czasu zajęciom domowym i pielęgnowaniu dziatwy. Zakłady handlowe i przemysłowe, niedostępne do niedawna dla kobiét, pomału otwierają dla nich swe podwoje, a poczucie sprawiedliwości nie pozwala bronić im udziału w coraz nowych gałęziach pracy fizycznéj i umysłowéj. W obec tego każdy, komu troska o dobro ogółu nie jest obcą, zadać sobie musi pytanie: czy rodzice przez całe lata po za domem zajęci, mogą spełniać obowiązki względem dziatwy, będącéj w wieku, w którym opieka rodzicielska jest niezbędną i w którym żadna szkoła nie zastąpi ogniska rodzinnego? Pytanie to zadał sobie i Zarząd Towarzystwa.

Według naszego przekonania, niedziela powinna być dniem, w którym ojciec i matka, nie mając innych zajęć, mogą poświęcić czas cały młodemu pokoleniu, budzić w niém uczucia rodzinne, tępić złe skłonności i siać w młode umysły ziarno tych prawd, które wpojone w dzieciństwie, przetrwają wszystkie burze późniejszego życia.

I pod tym względem dobro pracowników związane jest z dobrem pracodawców. Pracownik silnie przywiązany do ogniska rodzinnego, daje większą rękojmię sumienności i niechybnie na większą zasługuje ufność; a pracodawcom, którzy sięgają wzrokiem w lata przyszłe, nie może być obojętném, czy nowe pokolenie pracowników wzrasta w zdrowych tradycyach życia rodzinnego, — czy téż, puszczone samopas, żyje na łasce nieznanych, a częstokroć niebezpiecznych prądów.

Wątpliwość co do następstw, jakie wyniknąć mogą z zaprowadzenia tak doniosłéj reformy, jak ta o któréj mówimy, rozwiać się wreszcie musi w obec przykładu krajów o ruchu przemysłowym i handlowym bez porównania bardziéj rozwiniętym, aniżeli u nas. Komuż nie jest wiadomém na przykład, że w Angli gdzie ustawy przyznają tylko nieletnim prawo wypoczynku niedzielnego, prastary obyczaj uwalnia od zajęć w dzień niedzielny wszystkich pracowników bez różnicy płci i wieku. A jednak któż chciałby poważnie twierdzić, że święcenie tego jednego dnia w tygodniu przeszkodziło społeczeństwu

angielskiemu kroczyć wytrwale po drodze postępu i być dla innych społeczeństw wzorem pracy i obowiązkowości.“

Okólnik Towarzystwa ma na widoku przeważnie potrzebę wypoczynku dla subiektów i ze względu na nich wniosek swój motywuje. Ale wypoczynek świąteczny, a raczéj uwolnienie od zwykłéj pracy obowiązkowéj należy się także uczniom handlowym, przemysłowym i rzemieślniczym, którzy nie mając dnia swobodnego, nie mieliby czasu na zdobycie nawet tego elementarnego stopnia nauki, bez którego w obecnych stosunkach trudno byłoby zapewnić sobie byt materyalny.

Spółczując celom okólnika, pragnęlibyśmy, aby znalazł jaknajlepszy posłuch w sferach, do których jest zwrócony, a że go znajdzie — nie wątpimy, bo oto już w dziennikach spotkaliśmy wiadomość, że pewne magazyny handlowe (przy ul. Marszałkowskiéj) dały dobry początek, umawiając się między sobą, że w dnie niedzielne sprzedaży odbywać nie będą.



LISTY DO REDAKCYI „ATENEUM”.

I.

Szanowna redakcyo! Nie mam bynajmniéj zamiaru polemizować, jak się mówi, to jest ucierać się z p. W. Niedźwiedzkim za to, że nie wszystko podobało mu się w artykule moim „Gwara warszawska“ (Bibl. Warsz. 1890, sierpień), któremu — rzadki to zaszczyt dla luźnych artykułów, recenzent poświęcił obszerne sprawozdanie w sierpniowym zeszycie „Ateneum“. Jeżeli więc, spodziewając się, iż mi będzie dozwolone skorzystać ze zwyczaju dziennikarskiego, który krytykowanym autorom pozwala w tém samém piśmie na recenzye odpowiadać, upraszam o wydrukowanie kilku uwag, czynię to głównie ze względu na ogół niespecyalistów, oraz tych wszystkich, którzy artykułu mego o gwarze warszawskiéj nie znają. Pan N. powiada, że „w nauce języka dwóch zdań w jednéj kwestyi być nie może“ (str. 395). Słyszałem, że nawet w matematyce są kwestye sporne; wiadomo zaś każdemu, iż w astronomii, fizyce, chemii, historyi, geografii i wszystkich bez wyjątku naukach, są takie kwestye, co do których „mogą być dwa zdania“: czyżby więc nauka języka miała być już tak

doskonałą, ścisłejszą nawet od matematyki, że w niéj żadnéj kwestyi spornéj nie masz? O ile wiem, przed panem N. nikt tego nie utrzymywał, a niektóre własne jego twierdzenia dowodzą, że tak nie jest. Oto np. tuż poniżéj recenzent nie zgadza się, żeby słowo *przewidzieć* miało powstać z *przedwidzieć* i utrzymuje, że *prze* oznacza tu raczéj *nawskroś* jak w *przebić*, *przedziurawić* i t. p. Jednakże za pierwszém przypuszczeniem przemawia analogia z innemi jęz. słowiańskiemi, oraz porównanie np. z greck. *pro-horan* (προορᾶν), łac. *praevideo*, niem. *vor-sehen* — wszędzie tu mamy przyimek=*przed:* upatrywanie go więc także i w naszém *przewidzieć* nie jest, jak mniemam, tak straszną herezyą i można tu zezwolić na „dwa zdania“, tém bardziéj, że pojęcie *widzenia naprzód*, jako prostsze i nie tak subtelne jak *widzenie nawskroś*, lepiéj odpowiada prostocie pierwotnéj doby tworzenia się języków. Broni téż pan N. formy *wrodzy* (str. 397), ale skoro nie może dowieść, aby którykolwiek z lepszych pisarzy jéj używał (wszyscy bowiem piszą od wieków *wrogowie*), zachowując więc upodobanie osobiste w owéj formie, niech pozwoli istnieć także „drugiemu zdaniu“ w téj kwestyi. Bierze również pod opiekę wyrażenia, przez ludzi niewykształconych używane i nietylko przezemnie potępiane, jak np. *przyszykować szklankę herbaty* (str. 399), a nawet *paru* i *paroma* (str. 400), zdaje się jednak, że wywody jego nie zawsze są przekonywające do tego stopnia, aby posiadały wagę wyroku nieomylnego ostatniéj instancyi, nie dopuszczającego „dwóch zdań“. Jeżeli bowiem w przytoczonym ze Stryjkowskiego ustępie „mistrz *szykuje* przyczyny“ — wyrażenie to zupełnie jest zgodne z mojém zapatrywaniem się na znaczenie tego czasownika, gdyż znaczy: porządkował, układał w swym umyśle rozmaite przyczyny, pozory i pobudki do wojny i t. d., a jeżeli wyrażenia *naszykować* i *przyszykować* „są bez zarzutu“, gdyż znaczą tyle, co „doprowadzić do porządku“, to zachodzi kwestya, czy na téj zasadzie możnaby np. żądać, aby zamiast „kawa przyszykowana“ chłopiec w cukierni mówił: „kawa jest przyprowadzona do porządku“? Co się zaś tyczy form *paru* i *paroma*, mnie również „niepodobna zrozumieć“, dlaczego pan N. nie chciał pojąć należycie mego o tych dziwolągach zdania, które potępia nie końcówki l. podwójnéj (bez wielkiéj potrzeby przez p. N. wyjaśnione), ale *przymiotnikowe* używanie form powyższych, bo w tém właśnie tkwi barbaryzm, że mówią np. przed „paroma *dniami*“ a więc na wzór przymiotn. *ilu*, *wielu*.

Nie zapuszczając się w dalsze szczegóły co do innych drobiazgów, dodam jeszcze, że Linde i pisarze dawniejsi, na których p. N. kilka razy się powołuje, nie zawsze już dziś mogą być uważani jako ostatecznie rozstrzygające powagi, z powodu, że wiele tam anachro-

nizmów, które obecnie albo byłyby niezrozumiałe, albo wyglądałyby dziwacznie. Tąk np. Rej przemawia do zegara: „*Tłuczże*, miły zegarze“ i wyraz *tłuc* podany jest w témże znaczeniu u Lindego, a jednak wątpię, czy pan N. zapyta swego przyjaciela: „czy dobrze tłucze twój zegarek?“

W kwestyi czasu teraźn. dokonanego — najważniejszéj, która mnie głównie do niniejszego wystąpienia skłania — pan N. posądza piszącego o nowatorstwo i zarzuca mi, jakobym „pojmował znaczenie czasu teraźn. w sposób inny, aniżeli wszyscy“ (str. 397). Pojmuję to, że wyczytawszy coś dla siebie całkiem nowego i przedtém nieznanego, uczuwa się pewien podziw, oraz chętkę przypisania téj nowości „autorowi, u którego znaleźliśmy ją po raz pierwszy; ale muszę „wymówić“ się od zaszczytnego w tym razie posądzenia o oryginalność i nowatorstwo. Określenie bowiem czasu teraźn. dokonanego zupełnie takie, jakie podałem, wcale nie jest nowe: można je znaleść w gramatykach sanskryckich, greckich i łacińskich, gdyż we wszystkich tych językach istnieje czas teraź. dokonany, którego pan N. „pojąć nie może“, a formą jego jest tak zwane (niewłaściwie) *perfectum* (w jęz. greckim zawsze, a po łacinie t. zw. *perfectum praesens*, to jest o ile ten czas nie zastępuje zaginionego aorystu=*perf. historicum*). Nawet w elementarnych gramatykach szkolnych np. greckiéj Curtiusa i łac. Schultza uczniowie klas V i VI znajdują powyższe określenia i dowiadują się, że owo *perfectum* pod względem zależności i następstwa czasów, tak ściśle w językach starożytnych określonego, różni się zupełnie od czasów przeszłych i uważane jest zawsze za czas teraźniejszy dokonany. Niemcy nazywają go „*Praesens der vollendeten Handlung* a w terminologii łacińskiéj miano czasu teraźn. dokon. jest *praesens actionis perfectae*. Wobec tych faktów zupełnie naturalném wydaje się takie same pojmowanie form polskich: *rzeknie*, *zawoła* i t. d., bo wszystkie języki aryjskie, pokrewne są między sobą formą i duchem i posiadają wspólną składnię, na tych samych prawach logicznych opartą. Są téż i u nas specyaliści, którzy doszli do takiego pojmowania czasu teraźn. dokonanego, a mianowicie prof. A. Kalina w „Historyi jęz. pols.“, przez akademię uwieńczonéj i za jego to poglądami przeważnie poszedłem, rozwijając je tylko na podstawie analogii z językiem starożytnym. W artykule o gwarze warsz. cytuję tom i stronicę dzieła A. Kaliny, które miałem wówczas pod ręką i które, jak mniemam, powinno być znane badaczom jęz. polskiego. Gdyby znał je pan N., to już jeżeli nie gramatyka grecka lub łacińska, przynajmniéj ta książka ustrzegłaby go od nadmiernego podziwu dla moich określeń czasu teraźn. dokonanego. W każdym razie przekładam

powagę Kaliny nad tę, która dla pana N. jest najwyższą, mianowicie gdy po niebardzo jasnych i niekiedy sprzecznych wywodach (na str. 397 nie uznaje czasu teraźn. dokonanego, na str. zaś 398 uważa formy *rzeknie*, *zawoła* za *praesens historicum*, a więc bądźcobądź, za czas *teraźniejszy*), gdy mówię, ostatecznie szuka ucieczki pod skrzydłami p. A. A. Kryńskiego, który odnajdując aoryst w jęz. polskim, rzekomo „odkrył nową stronę bogactwa naszéj mowy“ (str. 398). Odkrycie to niezbyt nowe (wszak nawet przed Kolumbem znano Amerykę), bo skoro aoryst istnieje w pokrewnych językach: sanskryckim, greckim i starosłowiańskim, nic więc dziwnego, że mógł istnieć także i w polskim; wiedziano téż oddawna, że np. końcówka czasowania *bym* jest właściwie resztką zaginionego aorystu *bych*. Zresztą w jęz. polskim pozostało kilka zaledwie aorystów, jak np. może owo staropolskie *pry* (prawi) oraz *rzecze*, ale jeżeli się nie mylę, kompetentni krytycy już zarzucali panu Kryńskiemu, że bynajmniéj nie są aorystami formy, które on za takie uważa.

Pan N. prostuje także niektóre moje wywody lingwistyczne. Może być, że *Narew* nie pochodzi od *nar* ale od *narwania* (niech więc w téj kwestyi będą „dwa zdania“), atoli *Drwęca* mogła być tak nazwaną od *drzewa*, *drew*, nie zaś od *rwania*, jak utrzymuje p. N. twierdząc, że miano to brzmiało dawniéj *Rwęca*. Lingwiści zbliżają nasze *rwać* z łacińs. *ruere*, *ruina* i t. d.: niewiadomo więc, coby tu przed *r* jeszcze *d* robić miało. Co więcéj, owo ucieszne a skoczne *d*, które w nazwie *Drwęcy* jest dodatkiem rzekomo późniejszym, istniało także, jak uczy p. N., w wyrazie *rdza*, ale tym razem już w formie dawniejszéj, która jakoby brzmiała *drdza* (wszystko na str. 400). Nie wiem, czy ktokolwiek z dawniejszych naszych przodków miał tak ukształtowane organa głosowe, aby mógł wykrztusić dzikie i wszelkiéj fonetyki zasadom przeciwne połączenie brzmień *drdz*, ale obeznani z lingwistyką porównawczą wiedzą, że nasze *rdza*, *ruda*, *rydz*, *ryży* i t. d., pochodzą od tegoż pierwiastku co łacin. *rutilus* (rudy), niem. *Rost* (rdza) i *roth* (czerwony), sanskr. *rudhira* (czerwony, a także krew), grec. *e-rythros* (czerwony) i t. d. a więc dla owego pląsającego *d* zgoła tu miejsca nie ma. *L. W. Szczerbowicz.*

II.

Czasopisma warszawskie obficie są zawsze przepełnione bąkami różnego rodzaju, które zwykle pozostają bez sprostowania i wskutek tego pozostawiają czytelników w błędzie, szerząc fałszywe wiadomo-

ści. Przypuszczam, że redakcya „Ateneum“ stawia prawdę ponad drażliwości osobiste, nie tolerujące sprostowań i dlatego *pro bono publico*, mam nadzieję, że zechce wydrukować kilka poniższych uwag.

Poczynając od rzeczy nieco już dawnéj, poważam się wytknąć dwa błędy, popełnione w zajmującym życiorysie Reverdila, bibliotekarza Stanisława Augusta („Atenenm“, 1890, roku). Powiedziano tam mianowicie, że z kochanką królewską Lullié niewiadomo co się stało po znanéj przygodzie ulicznéj, a także zaznaczono dwukrotnie, jakoby Stanisław August wyjechał „z Warszawy do Petersburga.“ Otóż, co do pierwszego, można dowiedzieć się z dzieła P. J. Bykowskiego „Dwór Stan. Augusta w Grodnie“ (wyd. 1875 r.), że panna Lullié znajdowała się na tym dworze zdetronizowanego króla i nawet intrygami walczyła o lepsze z panią Grabowską. Co się tyczy drugiego, wiadomo powszechnie, że Stanisław August na początku 1795 r. wyjechał z Warszawy do Grodna (pobytu w Petersburgu wtedy nikt jeszcze nie przewidywał) i dopiéro po dwuletnim pobycie w Grodnie i po śmierci Katarzyny II-éj, na początku 1797 r. cesarz Paweł przeniósł Poniatowskiego do Petersburga, chociaż sam on wolał zamieszkać gdzieindziéj, np. w Moskwie.

W art. „Nowe szczegóły z życia Mickiewicza“ („Ateneum,“ 1891, maj) znajduje się wzmianka o tém, że poeta, odwiedzając kochankę swą Józię, która wyszła za ubogiego szlachetkę, pod tak ubogą strzechą „wstydził się swego fraka i chustki“ (str. 256), wykrzyknik zaś, położony obok tego ostatniego wyrazu w nawiasie, wskazuje, że ten szczegół nie przedstawiał się dosyć jasno autorowi i w saméj rzeczy będzie może niezrozumiałym dla wielu czytelników teraźniejszéj generacyi; nie bąk to wprawdzie, ale rzecz potrzebująca komentarza, który tu podaję. Mianowicie aż do połowy bieżącego wieku na Litwie nie noszono krawatów, ale chustki, misternie związane (było to swego rodzaju sztuką wiązanie „fontazia“, czyli kokardy), u bogatszych i przy stroju galowym owe chustki bywały jedwabne (zawsze czarne) i o takiéj to niezawodnie wytwornéj chustce na szyję wspomina Mickiewicz.

W końcu muszę jeszcze zaznaczyć podziwienie, że redakcya „Ateneum“ przepuściła taki dziwoląg gwary niepoprawnéj, jak „zrozum“ (maj, 242), jak również wzmiankę (dwukrotną) o jakimś w Rzymie moście Sublicyusza (sierp., 217 i 218), gdyż żaden Sublicyusz nigdy nie istniał, most zaś, o którym mowa, dlatego nazywał się *pont Sublicius*, że *sublica* znaczy po łacinie *pal*, a więc był to po prostu „most na palach.“

L. W. Szczerbowicz.

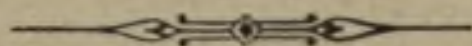
NEKROLOGIA.

† **Alfons Goldberg** urodził się w r. 1854 w Rakowcu pod Warszawą; początkowe wykształcenie otrzymał w klasztorze ks. dominikanów, nauki gimnazyalne odebrawszy w Warszawie r. 1872, wszedł na wydział prawny tutejszego uniwersytetu, który ukończył w 1876. W 1880 mianowany był sędzią śledczym powiatu białostockiego; ze względu na zdrowie przeniósł się jednak niebawem do Warszawy, gdzie zajmując stopniowo posady podsekretarza i sekretarza sądu, zmarł na stanowisku naczelnika archiwum 5-go września r. b. Artykuły treści prawnéj pomieszczał w „Gazecie Sądowéj,“ sprawozdania zaś sądowe w „Kuryerze Codziennym,“ „Kraju“ i „Wieku.“ Podpisywał je pseuodnimami: *Algo* lub *Semper idem.*

† **Aleksander Szumowski** urodzony r. 1825 w Kaczynie, powiecie Kowelskim, wykształcenie uniwersyteckie odebrał w Kijowie, poczém lat czterdzieści kilka poświęcił nieustannéj pracy pedagogicznéj, wykładając zrazu język ruski w gimnazyum czerniehowskiem, następnie łacinę w Kijowie, Lublinie, wreszcie w Warszawie. Zajmował się archeologią i geografią. Kilka prac jego pomieścił „Przegląd archeologiczny,“ „Biblioteka Warszawska,“ „Pamiętnik fizyograficzny,“ gdzie drukował: „Groty o inkrustowanych napisach i ich znaczenie w sprawie znaków runicznych.“ Był redaktorem przez lat kilka „Przeglądu pedagogicznego“ a w wydawnictwie „Wielkiej encyklopedyi ilustrowanéj“ kierował działem geograficznym i sam w nim bardzo wiele artykułów cennych obrobił. Wielką zacnością charakteru i taktem pedagogicznym pozyskał sobie miłość i szacunek kilku pokoleń uczniów i uczennic. Zmarł w Warszawie 22 września r. b.

† **Izydor Kopernicki** urodził się na Ukrainie w r. 1826, studyował medycynę w Kijowie i był lekarzem wojskowym w Sewastopolu w czasie oblężenia; następnie był prosektorem w uniwersytecie kijowskim a odczyty jego o anatomii w związku z fizyologią, licznych miały słuchaczy. Następnie zamieszkał na czas jakiś w Jassach

i urządził tam muzeum anatomiczne. Przeniósłszy się wreszcie do Krakowa, znowu zajął stanowisko w uniwersytecie jako profesor antropologii na nowo utworzonéj katedrze i z zapałem badania te, które oddawna najwięcéj go ku sobie pociągały, prowadził daléj. Umarł w Krakowie 24 września r. b. Rozprawy jego pomieszczane w pismach antropologicznych angielskich, francuskich, niemieckich, zwróciły nań uwagę świata uczonego. Po polsku, prócz licznych rozpraw ogłoszonych w wydawnictwach Akademii Umiejętności, któréj był członkiem, drukował: „O dziełach Jana z Głogowa mających styczność z antropologią“ (Krak, 1870), „Spostrzeżenia nad właściwościami językowemi w mowie górali bieskidowych“ (1875), „Anatomiczno-antropologiczne spostrzeżenia nad murzynem,“ „Pieśni Górali bieskidowych“ (1888), „Przyczynek do etnografii ludu na Wołyniu“ (1877). „Ateneum“ pomieściło także kilka prac jego, a między innemi przekład rytmiczny pieśni serbskich.



SPROSTOWANIE.

Arkusz 11 powinien być oznaczony cyframi **147—162**, nie, jak mylnie oznaczono, 161—176.



Дозволено Цензурою. Варшава. 25 Сентября 1891 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*.—Redaktor *P. Chmielowski*.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale II-gim i III-cim 1891 r.

1. *Karol Filipowicz.* **Wobec niskich cen zboża.** (Odbitka z „Gazety Rolniczéj"). Warszawa, 1891, 8-o, str. 22.
2. **Iwonicz,** zakład zdrojowo-kąpielowy. Szczawy alkaliczno-słone, jodobromowe. Przewodnik dla chorych. Opisał d-r *Klemens Dębicki*, lekarz zakładu. Lwów, 1891, 8-o, str. 21.
3. *Stefan Pawlik.* **Die Molkerei-Genossenschaften** im Deutschen Reiche. Inaugural-Dissertation zur Erlangung des philosophischen Doctorgrades an der Universität Leipzig. Kraków, 1891, 8-o, str. 52.
4. D-r med. *Ludwik Natanson.* **Hygiena praktyczna,** zeszyt XIV (ostatni, str. 165—201).
5. **Corpus Juri Polonici** medii ævi. Program wydania zbioru ustaw polskich średniowiecznych oraz regesta tychże ustaw napisał *Oswald Balzer.* Lwów, u Seyfartha i Czajkowskiego, 1891, 8-o, str. 87.
6. **Homeopatya,** jéj podstawy i prawa ze stanowiska naukowego traktowane. Skréślił d-r *Józef Drzewiecki.* Warszawa, nakł. autora, 1891, 8-o, str. 32.
7. **Przyczynek do embryologii maika** (Studya nad morfologią zwierząt. I). Napisał d-r *Józef Nusbaum.* Lwów, nakł. czasopisma „Kosmos", 1891, 8-o, str. 106 z 7 tabl. litogr.
8. **Sprawozdanie** o dwóch pracach konkursowych na temat „Polskie pieśni kościelne, używane w kościołach katolickich od najdawniejszych czasów aż do końca XVI wieku", podał prof. d-r *Nehring.* Poznań, 1891, 8-o, str. 17.
9. **Romanowa.** Przeróbka z powieści *Elizy Orzeszkowéj.* Z obrazkami. Warszawa, druk *Józefa Jeżyńskiego,* 1891, 8-o, str. 86.
10. **Dzieje literatury powszechnéj,** z illustracyami. Tom III. Okres pierwszy: Czasy humanizmu i reformacyi. (Część II). V. Literatura angielska przez *Feliksa Jezierskiego.* VI. Literatura niemiecka w wieku XVI-tym i XVII-tym, przez d-ra *Alberta Zippera.* VII. Literatura słowiańska w wieku XVI-tym i XVII-tym, przez *Bronisława Grabowskiego.* Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1891, 8-o, str. 416.
11. **Historya prawdziwa,** która się stała w Landzie, mieście niemieckiem. 1568. Wydał d-r *Zygmunt Celichowski.* („Biblioteka pisarzów polskich"). Kraków, 1891, 8-o, str. XVI i 50.
12. *W. Lutosławski.* **O logice Platona.** Część pierwsza. O tradycyi tekstu Platona. Kraków, nakł. Akad. Um., 1891, 4-to, str. 69.
13. *Antoni Borzemski.* **Kronika Miechowity.** Rozbiór krytyczny. Kraków, nakł. Akad. Um., 1890, 4-to, str. 200.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

